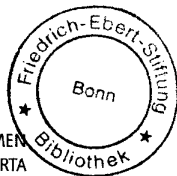


ofiary czy współwinni

**nazizm i sowietyzm
w świadomości historycznej**

A 98 - 01957



OFICyna WYDAWNICZA VOLUMEN
FUNDACJA im. FRIEDRICHA EBERTA

WARSZAWA 1997

Copyright © Fundacja im. Friedricha Eberta,
Oficina Wydawnicza VOLUMEN, Warszawa 1997

Redakcja i korekta
Joanna Łukasiak-Mikłasz

Projekt graficzny
Jerzy Grzegorkiewicz

Skład
FELBERG

ISBN 83-86857-88-9

Oficina Wydawnicza VOLUMEN
Mirosława Łatkowska & Adam Borowski
02-942 Warszawa, ul. Konstancińska 3a m. 59

Fundacja im. Friedricha Eberta

Spis treści

Kazimierz Wóycicki, Wstęp	7
Andrzej Paczkowski, Czy historycy dokonali „obrachunku” z PRL?	13
Zbigniew Głuza, Pozory obrachunku	31
Barbara Szacka, Transformacja społeczna a świadomość historyczna . . .	43
Tomasz Żukowski, Świadomość historyczna Polaków w połowie lat dziewięćdziesiątych	65
Krystyna Kersten, Ofiary czy współwinni?	77
Andrzej Friszke, Polacy – ofiary historii czy współwinni tragediom? . . .	89
Włodzimierz Borodziej, Podobne czy różne przypadki odpowiedzialności – totalitaryzm rodzimy i narzucony – nazizm i sowietyzm w Niemczech?	105
Adam Krzemiński, Psychospołeczne aspekty dekomunizacji w byłej NRD . . .	133
Marcin Kula, Jakiej historii Polacy potrzebują?	147
Antoni Mączak, Jakiej syntezy historii potrzebują Polacy?	163

Referaty publikowane są w kolejności ich wygłoszenia w cyklu kolokwii, które odbyły się od marca do października 1996 r. w siedzibie Fundacji im. Friedricha Eberta w Warszawie. Układ tematyczny i tytuły referatów wynikały z programu, ułożonego przez Kazimierza Wóycickiego.

Kazimierz Wóycicki

Wstęp

Trwające przez cały rok 1996 seminarium „Obrachunek z historią – wyzwanie europejskie”, którego wynikiem jest tom, jaki macie Państwo w rękach, zainicjowane zostało w przekonaniu, że sprawom najnowszej historii Polski należy się znacznie intensywniejszy i bardziej pogłębiony namysł niż to dotychczas miało miejsce. Po roku 1989 powstało w Polsce mniemanie, obecne do dzisiaj, że obrachunek z historią półwiecza PRL-u prowadzić może do silnych i emocjonalnych podziałów politycznych. W polskiej polityce takich obrachunków unikano, z wyjątkiem parumiesięcznego okresu rządów w pierwszym półroczu 1992 r. Ówczesna sprawa „teczek” nie dla wszystkich, ale w dość powszechnym przekonaniu, stała się potwierdzeniem niebezpieczeństw związanych z „obrachunkiem”, a obrachunek z historią zaczął być nieszczęśliwie kojarzony z porachunkami z ludźmi. Równolegle i podobnie jak w życiu politycznym dla świata polskich historyków, socjologów czy pisarzy sprawa najnowszej przeszłości nie stała się nigdy po 1989 r. pierwszorzędnym tematem. Pisarstwo poświęcone najnowszej historii zdominowały świadectwa, nie zaś analityczne i krytyczne studia. Andrzej Paczkowski wskazuje w tym tomie na to zjawisko i sporą literaturę wspomnieniowo-martyrologiczną, dotyczącą zwłaszcza epoki

1945-56. Najskuteczniejsi jednak w oddziaływaniu na opinię publiczną okazali się byli promineneci PRL-u. Ich liczne publikacje są zarówno obroną własnego postępowania i własnych biografii jak i wyrazistą próbą interpretacji najnowszej historii. Świadczą o tym zarówno wysokie nakłady jak i badania opinii publicznej. W ten sposób dyskusja o historii lat 1945- 89, raz ledwie słyszalna, innym razem spektakularnie głośna, nigdy nie stała się pogłębioną i poważną publiczną debatą. Jej emocjonalny ton, przyznajemy rację Paczkowskiemu, związany jest z tym, że jest ona dyskusją świadków i uczestników wydarzeń, którzy bronią swojego postępowania lub opisują własne cierpienia i krzywdy.

Wydarzenia polityczne roku 1993 i zwycięski powrót na scenę polityczną osób o PZPR-owskich biografjach wniosły nowe tony do toczonych dyskusji, ale nie zmieniły w niczym zasadniczej sytuacji. Przy nadal trwających, a nawet wzmocnionych podziałach emocjonalnych, dyskusja o latach 1945-89 nie otrzymała żadnych poważniejszych intelektualnych impulsów.

Oceniając sytuację z niewielkiego jeszcze, lecz powoli narastającego dystansu czasowego można zaryzykować stwierdzenie, że pytanie o znaczenie i potrzebę obrachunku z historią wciąż pozostaje w Polsce otwarte. Związane jest ono z wieloma paradoksami, których w roku 1989 być może nie oczekiwano. Obrachunek nie miał miejsca, ale mimo to – albo może właśnie dlatego – podziały związane z przeszłością są istotnym elementem polskiego życia politycznego. Pytanie o dzieje PRL przestają być pytaniem o przeszłość, stając się raczej pytaniem o jakość współczesnej, powstałej po 1989 r. kultury politycznej. Paradoksalnie też zadają je coraz częściej nie tylko Polacy samym sobie, ale zadawane są Polakom z zewnątrz, z Zachodu, przez polityków i intelektual-

stów zainteresowanych rozwojem polskiej demokracji. W ostatnim czasie doszło do kilku „obrachunkowych” konferencji, organizowanych przez ciekawe spraw polskich zagraniczne instytucje. Rzecz jest poniekąd oczywista. Nie sposób rozumieć Polski współczesnej, jej przemian społecznych i politycznych, bez znajomości jej dziejów najnowszych. Pytania zadawane nam przez obcych nie powinny dziwić. Jest europejskim standardem, że demokracja „rozrachowuje” czas dyktatury, jakkolwiek ona była: krwawa i okrutna, czy łagodna i oświecona.

Sprawa historycznego obrachunku miała w polskiej dyskusji od samego początku podskórne odniesienia do podobnych sytuacji w innych krajach. Można powiedzieć, że ci, którzy po roku 1989 wykazywali sceptyczny czy negatywny stosunek do dyskusji obrachunkowych, posługiwali się lub zachowywali w pamięci przykład hiszpański. Istotnie w po frankistowskiej Hiszpanii wstrzymywano się od „rozdrapywania ran” wojny domowej. Analogia z Hiszpanią kazała (zdaniem niektórych) postępować podobnie. Hiszpańskie przeobrażenia demokratyczne były však pozbawione wielkich napięć i mogły stanowić wzór również dla Polski. Narzucały się jeszcze dwa przykłady możliwe do wzięcia pod uwagę – francuski i niemiecki. Francja powojenna, ze swoim uwikłaniem we Francję Vichy, byłaby raczej dowodem na to, że najtrudniejsze sprawy własnej historii można niemal całkowicie przemilczeć, trzeba tylko do tego odpowiedniej dozy hipokryzji. Z tych względów przykład ten wspomniano raczej rzadko. Znacznie istotniejsze jest porównanie z ponazistowskimi Niemcami, o czym w niniejszej publikacji dyskutuje Włodzimierz Borodziej. Do tego doszło jeszcze porównanie z niemieckim rozrachunkiem z NRD. W obu wypadkach sprawa budziła spore zastrzeżenia i emocje. Możliwość porównania epoki PRL-u

z epoką Niemiec hitlerowskich wymaga z oczywistych względów wielu wyjaśnień i dodatkowych zastrzeżeń, jeśli porównanie to zachować ma swój sens. Nikt dotychczas nie pokusił się o jakiś esej w tej sprawie, dzięki czemu próba Borodzieja ma wartość szczególną.

Do tych możliwych porównań dochodzą jeszcze ważne pytania. W jaki sposób polski rozrachunek z historią najnowszą jest częścią rozrachunku z komunizmem? W jakim sensie Polacy winni traktować się jako „uwikłani” w te dzieje, w jakim zaś mogą traktować się jedynie jako ofiary komunizmu? Jest to pytanie trudne, które z pewnością wzbudzi w Polsce wiele emocji.

W dyskusji prowadzonej w ramach seminarium „Rozrachunek z historią – europejskie wyzwanie” od razu też pojawiła się kwestia, czym właściwie ma być ten rozrachunek. Niektórzy uczestnicy, co historyków nie może dziwić, dopatrują się w obecnym sporze o historię analogii z wcześniejszymi, podobnymi sporami Polaków o własne dzieje i w sytuacji lat 90-tych nie widzą nic szczególnego. Dla innych rozrachunek prowadzony po roku 1989 ma charakter specyficzny i wyjątkowy, czy też taki charakter winien posiadać, choć skarżą się oni, że go nie dokonano.

W roku 1995, w czasie przygotowywania programu „Obrachunek z historią – europejskie wyzwanie” było jasne, że w polskim życiu politycznym nie będzie prawdziwych impulsów do sporów o najnowszą historię. Wobec faktu, że w polityce co najwyżej manipulowano tymi sporami, nie można było tego nawet żałować. Osoby, którym na poważnej dyskusji zależało, zdały sobie sprawę, że są w pewnym sensie pozostawione samym sobie, mimo że miały zająć się tematem, który rzekomo interesuje wszystkich. Kwestia obrachunku historycznego (a nie porachunków politycznych z wykorzystaniem

historii) przeszła ostatecznie w ręce historyków, socjologów i badaczy współczesności z różnych dziedzin. Wydaje się, że tak już pozostanie. Niezależnie od tego, jaki obóz polityczny będzie w Polsce rządził w najbliższym czasie, nie wydaje się, aby sprawa obrachunku z historią najnowszą zyskała w polityce polskiej obiektywnych i chłodnych zwolenników. W jednym obozie pragnie się o najnowszej historii milczeć, a jej obraz w społeczeństwie pozostawić możliwie nieporuszony. W drugim obozie rozrachunek zdaje się oznaczać przede wszystkim porachunek z „innymi”. Osoby o krytycznej postawie, pragnące trudnego namysłu nad własną historią Polaków, mającego na celu ustalenie win własnych Polaków i nie mówienie, że wszystkiemu wini są „oni”, z pewnością jeszcze przez pewien czas nie będą szerzej poważnie wysłuchiwane. Trzeba jednak zdecydowanie powiedzieć, że jeśli Polska pragnie integrować się z zachodnią Europą nie tylko politycznie i gospodarczo, ale także kulturalnie (tam gdzie słowo kultura nie oznacza jedynie bardziej wąsko pojętej kultury artystycznej), to krytyczny obrachunek z własną historią, i to przede wszystkim najnowszą, jest nam niezbędnie potrzebny.

Choć nie świadczy to koniecznie o trafności porównywania przeszłości komunistycznej z przeszłością faszystowską, charakterystyczne jest, że sens polskich wysiłków najlepiej pojęli Niemcy z ich obolałą świadomością historyczną. Nie jest sprawą przypadku poparcie Fundacji im. Friedricha Eberta dla tego projektu, a Hansowi Blumenthalowi, szefowi warszawskiego biura Fundacji należeć się za zrozumienie wagi sprawy gorąca wdzięczność. Umożliwił on gronu polskich intelektualistów bezstronną dyskusję w momencie, gdy gdzie indziej problematyka tą manipulowano. Referaty Włodzimierza Borodzieja, Andrzeja Friszkego, Zbigniewa Gluzy, Krystyny

Kersten, Marcina Kuli, Antoniego Mączaka, Andrzeja Paczkowskiego, Barbary Szackiej i Tomasza Żukowskiego stanowią ciekawy przyczynek do dyskusji nad najnowszą historią Polski. Na tle dotychczasowego pisarstwa, na którego ogólny stan można narzekać, pamiętając jednak o wielu bardzo ciekawych pozycjach, tom obecny ma wyjątkowy charakter – jest próbą sporu o sens historii, a nie tylko o przebieg wydarzeń.

Jesień 1996 r.

Andrzej Paczkowski

Czy historycy dokonali „obrachunku” z PRL?

Nie bez obawy, że będzie zbytnim uproszczeniem, można powiedzieć, iż to, co określa się zazwyczaj jako „obrachunek z historią” rozgrywa się na kilku – trudnych do rozdzielenia – płaszczyznach:

- opisie przeszłości, który jest domeną historyków,
- osądzie osób w przeszłości działających, który jest domeną ustawodawcy i judykatury,
- w pamięci zbiorowej, czyli w obrębie owego tajemniczego fenomenu rządzącego się własnymi prawami. Profesjonalnie wykonany „opis” jest tylko fragmentarycznie przez nią wchłaniany, zaś częściej ważniejsze są doświadczenia osobiste lub przekaz rodzinny czy środowiskowy. Zbiorowość wydaje „osąd” nad przeszłością w formach pośrednich, np. głosując w wyborach.

Zamierzam zająć się tu tylko „opisem przeszłości”, pozostawiając pozostałe płaszczyzny odpowiednim specjalistom.

Rozterki

Jakkolwiek chciałoby się, aby „opis” oddzielić od „osądu” i „pamięci zbiorowej”, separacja taka wymaga ze strony historyka skomplikowanej operacji na sobie sa-

mym. Napotyka on bowiem na takie choćby problemy jak np. wezwanie, aby wziął udział w „osądzie” – całej epoki, jakiegoś zjawiska czy instytucji – nawet wręcz orzekał o winie (rzadziej o niewinności) konkretnego człowieka, protagonisty czasów, które bada. I rolę tę często przyjmuje. Z różnych powodów: czy to z poczucia obywatelskiego obowiązku, czy z solidarności grupowej wobec domagających się współuczestnictwa w dziele „osądzania”, czy też dlatego, że podjęcie się takiego zadania – publicznego wszakże, a więc „nagłaśnianego” – po prostu schlebia próżności.

Nie tylko separacja od „osądu” jest trudna dla historyka. Należy on wszakże do społeczeństwa i wobec tego nosi w sobie część „zbiorowej pamięci”. Pamięci, która nie jest – jak dobrze wiadomo – u wszystkich taka sama, co dowodnie ukazują nawet najbardziej pobieżne sondaże. Tak więc historyk, tak jak każdy, uczestniczy w pamięci o tyle zbiorowej, o ile jest pamięcią jakiejś grupy (np. pokolenia lub nurtu ideowego). Z faktu, iż podstawowy wymóg jego profesji nakazuje mu „oderwanie” się od owej pamięci i dochowywanie wierności wymogom warsztatu, nie należy wnosić, iż zabieg taki gwarantuje immunizację na wpływ otoczenia.

Jest inny jeszcze, może ważniejszy, problem. Cóż znaczyć ma bowiem dla historyka „obrachunek z przeszłością”? Czy nie jest to jedno z tych pojęć, które zamiast być pojęciem-kluczem, staje się wytrychem? Przecież każde nowoczesne społeczeństwo prowadzi nieustający „obrachunek z przeszłością”. Widać to choćby w fakcie, iż rzadko bywa ono jednomyślne, gdy odwołuje się do wydarzeń minionych i toczy o nie – nieraz gwałtowne – spory. Żeby przypomnieć np. polemiki, które miały miejsce we Francji z okazji 200-lecia Wielkiej Rewolucji. Ponadto jest przecież zupełnie naturalne, iż nowe poko-

lenia stawiają przeszłości pytania, które rodzą się z ich własnych doświadczeń, a więc podejmują własny – częściowy lub globalny – „obrachunek”. Podobnie historycy: wracają – ba, muszą wracać – do faktów, ludzi czy zjawisk wielokrotnie już opisywanych. Wracają stosując nieznane uprzednio techniki, odnajdując niewykryte (lub niedocenione) ongiś źródła czy stawiając i weryfikując nowe hipotezy, które powstały pod wpływem obserwacji współczesności lub z inspiracji innych dyscyplin naukowych. Należy więc powiedzieć, że „obrachunek z historią w ogóle” nie może zostać nigdy zakończony, a więc musi być przeprowadzany wciąż na nowo.

Jakie dyrektywy winny w tej buchalterii obowiązywać? Tzvetan Todorov przypomina w eseju o „nadużyciach pamięci”, iż praca historyka polega nie tylko na ustaleniu faktów, ale także na ich wyborze. I niespodziewanie podkreśla, iż właściwy jest wybór taki, w którym kierujemy się „nie prawdą, ale dobrem” [1]. Wypowiedź ta powstała w kontekście rozważań nad Holocaustem, wątpię jednak, by ją to uprawomocniało jako dyrektywę badawczą. Niemniej pogląd taki istnieje, choć rzadko wyznawca ma odwagę przyznać się do tego. W pewnym sensie jego odwrotnością jest zalecenie Andrzeja Walickiego, który uważa, iż historyk powinien być „funkcjonariuszem pamięci narodowej, tak jak artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej” [2]. Pomijając, iż termin „funkcjonariusz” może budzić złe skojarzenia, należałoby najpierw wyjaśnić, co to takiego „pamięć narodowa”. Wskażmy dla przykładu dzisiejszy dylemat: czy i na ile w tej samej „pamięci narodowej” mieszczą się – pospołu – pamięć kata i pamięć ofiary? Czy oficer śledczy Adam Humer pamięta to samo (i tak samo) co przesłuchiwany przez niego więzień? Czy jest ona sumą pamięci jednostkowych, czy ich syntezą? Warto także ostrzec, iż „pa-

mięć narodowa” dosyć często opiera się na dwóch filarach: jednym, który zwie się „pokrzepianiem serc” (byliśmy zawsze dzielni i dobrzy) i drugim, który wywodzi się z martyrologii (byliśmy zawsze ofiarą złych lub zdradzieckich mocarstw). Ponadto – jak przypomina w cytowanym tekście Walicki – istnieją obszary „niepamięci”, fakty, które zostały nie tyle zatarte przez upływ czasu, ile wyparte np. w psychologicznej reakcji na klęskę. Której historii mam być „funkcjonariuszem”: tej, która zawarta jest w pamięci zbiorowej, czy tej, która wynika z (możliwie rzetelnej) analizy dostępnych źródeł? Przecież nader często są to dwie różne historie.

Rzecz jasna, iż takie pytania i wątpliwości rodzą się przede wszystkim (a może wyłącznie) wówczas, gdy społeczność, do której historyk należy, znajduje się w trakcie procesu gwałtownej zmiany, rewolucji czy – żeby użyć bardziej nowoczesnego terminu – w „momencie nieciągłości”. Słowo „obrachunek”, wraz z jego obocznościami takimi jak „rozrachunek”, jest charakterystyczne dla takiego właśnie okresu, bo przecież (nie łudźmy się) chodzi po prostu o „rozliczenie ze starym systemem”. W takiej sytuacji wybór, zda się nieuchronnie, przesuwają się od bieguna „prawdy” ku biegunowi „dobra”, który definiują – nie zawsze pilnie słuchani – filozofowie i kaznodzieje (a częściej po prostu politycy). Nie chciałbym, aby powyższe zrozumiane było jako próba uzalania się nad losem autorów, którzy parają się historią najnowszą. W dyskomforcie tym można znaleźć pewne intelektualne bodźce: jest się zmuszonym do kontrolowania samego siebie, do podejmowania wysiłku nad zdystansowaniem się od „pamięci zbiorowej”, do zdwojonej czujności deontologicznej.

Wojna domowa...

Jeżeli „obrachunek” traktować jako „rozrachunek”, to rozpoczął się on w istocie jeszcze przed „końcem PRL”, a związany był – najogólniej rzecz biorąc – ze sprzeciwem wobec systemu i służył jako jeden z instrumentów jego delegitymizacji. Warto o tym wspomnieć m.in. dlatego, że ówczesne kierunki poszukiwań (popularnie określane jako „wymazywanie białych plam”), generalne hipotezy, a także konflikty wewnątrz środowiska historycznego, przetrwały świętą cenzurę roku 1989. Nie ma, jak sądzę, potrzeby robienia tu dłuższego wywodu o tym, co nazwałem swego czasu „wojną domową o tradycję” [3], która na szerszą skalę rozpoczęła się w końcu lat siedemdziesiątych. Ale kilka słów przypomnienia należy się tej batalii. Tym bardziej, że trwa ona nadal.

Kulminacja starcia przypadła na drugą połowę lat osiemdziesiątych. Wówczas to na mocy decyzji najwyższych władz partyjnych przygotowany został program „Edukacji historycznej”, zaś „partyjne środowisko historyczne” – które miało nawet swoją reprezentację afiliowaną przy KC PZPR – zostało zobligowane do „sformułowania konkretnego programu neutralizującego naukowo-polityczną działalność” opozycyjnych kolegów [4]. Działania te były defensywne. Bronić miały – mówiąc w skrócie – system przed narastającą falą publikacji „drugiego obiegu”. Ekipa rządząca nie lekceważyła tego niebezpieczeństwa, a choćby nawet tylko niedogodności wynikających z delegitymizacyjnego ataku: „przeciwnik nas z różnych stron naciska”, „nie zostawiać pola przeciwnikowi, który będzie nas tłukł”, „najgorsze jest trwać w takich okopach, które wiadomo, że trzeba kiedyś oddać”. Te słowa gen. Jaruzelskiego nie odnosiły się do rewolty robotniczej czy choćby „konspiracy” – wypowiedziane zo-

stały w dyskusji nad przygotowaniem do obchodów (przypadającej 15 grudnia 1988 r.) czterdziestej rocznicy utworzenia PZPR [5]. Były to słowa nie jakiegoś rozgłoszonego publicysty, ale przewodniczącego Rady Państwa PRL i pierwszego sekretarza KC PZPR – prawnej i faktycznej głowy państwa.

O tym, iż zasadne jest łączenie „przedczerwcowej” aktywności „obrachunkowej” z tą, która miała miejsce po 1989 r., przekonuje nie tylko ciągłość personalna, którą można wykazać na wielu przykładach. Ostały się niektóre pozaakademickie środowiska zorganizowane wokół gromadzenia dokumentacji dotyczącej zagadnień, które były w tamtych latach objęte partyjnym tabu (np. Ośrodek „Karta”, Instytut Wschodni). Do tej pory działa kilka oficyn specjalizujących się wówczas w literaturze historycznej (czytaj: obrachunkowej). Umocniła się obecność historiografii profesjonalnej na łamach czasopism „niehistorycznych” (np. „Więź”). Dla osoby z zewnątrz, spoza „cechu”, mało zapewne widoczne jest zjawisko silnie rzutujące na funkcjonowanie polskiej historiografii dziejów najnowszych, a mianowicie trwałość podziałów wewnętrznych. Nie mają one nic (lub niewiele) wspólnego z rozbieżnościami szkół naukowych czy sporami metodologicznymi. Wynikają nie z różnic co do sposobów badania przeszłości, ale z różnych systemów wartości i postaw ideowych. W stanie załazkowym obecne zapewne zawsze, zaczęły być odczuwalne i oczywiste w końcu lat siedemdziesiątych, a stan wojenny pogłębił je i zdramatyzował. Po 1989 r. przybyły – lub ujawniły się – nowe, związane z rozpadem „obozu solidarnościowego”. Nie mam zamiaru absolutyzowania tych zjawisk, ani opatrywania ich jednoznacznie ujemnym znakiem. Ostatecznie „jedność moralno-polityczna” (także wśród historyków) gwarantuje raczej zastój niż zmianę.

Stan na dziś

Jerzy Szacki, jeden z intelektualnych guru dnia dzisiejszego, napisał przed paru laty, iż pod względem poznania niedawnej przeszłości znajdujemy się „w fazie niespiesznej likwidacji białych plam” oraz „rekonstrukcji historii martyrologicznej”. Do „bilansu”, dorzucił, „jest niesłychanie daleko” [6]. W istocie – poznawanie tego, co było dotychczas zamknięte w archiwalnych papierach i pamięci uczestników wydarzeń, odbywa się powoli. Nie oznacza to jednak, iż brakuje osób (także badaczy), którym warto zarzucać „niespieszność”. Nieraz czytając to, co napisali koledzy – a także oczywiście to, co sam napisałem – skłonny byłbym raczej ganić zbyt ni pospiech niż zrywać się nad ślamazarnością. Nie wiem, ile ukazuje się książek (artykułów, rozpraw), ale mam wrażenie, że działy historii najnowszej w księgarniach są pełne. Przez tygodniki przechodzą fale debat. Otworzył je „Bilans czterdziestopięciolecia” w „Polityce” w 1990 r., potem były dwa obszerne cykle „Tygodnika Powszechnego” – „Czym była PRL?” na przełomie 1992/93 i „Bilans PRL” w drugiej połowie 1994 r.; w 1993 r. głos zabrał organ teoretyczny SdRP („Myśl Socjaldemokratyczna”), publikując kilkanaście wypowiedzi pod wspólnym tytułem „Polska 1944-1989. Próba oceny”; w tym samym mniej więcej czasie „Nowa Res Publica” ogłosiła zestaw artykułów pod ogólnym hasłem „Dziedzictwo Peerelu”. W wielu dyskusjach na bieżące tematy polityczne – np. inicjowanych przez „Rzeczpospolitą” – często pojawiają się odwołania do „obrachunku” i to nie tylko wówczas, gdy uczestniczą w nich historycy.

Nie wymieniam tu pojedynczych tekstów. Czynię tak z braku miejsca, ale także dlatego, iż ukazała się już pierwsza próba analizy dotychczasowych wypowiedzi

„obrachunkowych” [7], której autorka przywołuje około 150 artykułów i opracowań. Nie licząc podręczników szkolnych, opublikowano – już czy dopiero? – kilka prób opisu całej epoki. Jako autorowi jednej z nich niezręcznie mi wypowiadać się na temat ich wartości i poziomu, ale fakt zaprzecza opiniom, iż historycy nie zrobili „obrachunku” z epoką PRL. Niektórzy, przynajmniej na poziomie opisu, zrobili go. Zapewne podejmą się tego kolejni. A przecież owe – mniej lub bardziej udane – syntezy nie ukazałyby się, gdyby nie było publikacji monograficznych i dokumentalnych.

Minorowy nastrój w ocenie dotychczasowego „obrachunku” wyraża jednak nie tylko obserwator z zewnątrz. W opublikowanej niedawno dyskusji, czworo znanych i uznanych sług Klio nie zostawiło właściwie suchej nitki na historiografii dziejów najnowszych [8]. W istocie: jest to w znacznym stopniu „historia martyrologiczna”, zwłaszcza jeżeli bierze się pod uwagę publikacje paranaukowe i amatorskie (w negatywnym znaczeniu tego terminu), które – jak się wydaje – przeważają na „rynku”. Zarzucać im można nie tylko monotematyczność, ale także lekceważenie najbardziej podstawowych standardów, co dotyczy zwłaszcza wydawnictw dokumentów: wiele publikowanych jest bez rzeczowego komentarza i bez jakichkolwiek objaśnień; niektóre ogłaszane są wielokrotnie i bez wskazania źródła. Powtarzane są w nieskończoność – może zasłużone, ale przecież nieudokumentowane – epitety w rodzaju „agent NKWD”. Nie tylko „zwykły czytelnik”, ale i zawodowy historyk tonie w bezwartościowych książkach. Nie lekceważyłbym jednak tych bubli. Nie tylko dlatego, że wiele z nich zawiera sporą garść nowych faktów. Można, jak sądzę, zaryzykować tezę, iż w książkach tych – często nieudolnych, nieraz przesyconych najbardziej żenującymi stereotypami, pisanych

w emocjonalnym uniesieniu odbierającym możliwość racjonalnej analizy – zawiera się głos ważkiego (bez względu na wielkość) segmentu „pamięci zbiorowej”: to głos „pamięci ofiar”. Czy jest samo przez się naganne, iż po latach zapomnienia, pomniejszania i skalowania, druga strona medalu błyska wierzchem? Odnoszę wrażenie, iż wiele z wyrzekani na zalew nieudolnej „literatury martyrologicznej” nosi znamię pięknoduchostwa.

Teksty pisane z zachowaniem standardów naukowych – niewygórowanych zresztą i na ogół metodologicznie konserwatywnych – są rzeczywiście niezbyt liczne, co może sprawiać wrażenie, iż historycy bojkotują „bilans PRL”. Ale jest to, jak sądzę, przede wszystkim rezultatem tego, iż całe polskie środowisko historyczne jest małe. Po prostu społeczeństwo, którego większość kończy edukację na szkole podstawowej lub zawodowej, nie potrzebuje tabunów badaczy. Tak czy inaczej warto zastanowić się, czy i na ile „obrachunek” – robiony dziś i odpowiadający na dzisiejsze potrzeby – jest zaawansowany.

Rozbieżności

Cokolwiek by sądzić o wydarzeniach, które rozgrywają się od 4 czerwca 1989 r. i niezależnie od wyobrażeń o ostatecznym (tzn. na czas niemożliwy dziś do określenia) kształcie Polski, pewien etap procesu historycznego został zamknięty. Nic bardziej normalnego w dziejach niż koniec – a więc i początek kolejnego – okresu. Co do tego zgadzają się zarówno historycy, jak i tzw. ogół. Jest to bardzo ważny punkt wspólny, poza nim jednak rozpocziera się obszar sporny. Są na nim miejsca szczególnie wystawione na polemiki. Jest ich wiele, toteż ograniczę

się tu do wskazania tylko niektórych fragmentów „protokołu rozbieżności”.

1. Jednym z nich jest opozycja „suwerenność-okupacja”. Prawdę powiedziawszy, nie znalazłem zwolenników tezy, iż Polska komunistyczna była państwem wolnym. Niemniej wśród tych, którzy uważają, iż generalna ocena minionej epoki wypada pozytywnie, wyraźna jest tendencja do podkreślania, iż – z wyjątkiem okresu 1948-1956 wszystkie kolejne ekipy kierownicze wkładały wiele wysiłku, aby uzyskać maksymalnie duże pole niezależności. Zwraca się też uwagę na stopniowość pojęcia „zależność”, co prowadzi często do konkluzji, iż suwerenne były tylko dwa supermocarstwa. Na tym terenie istnieje pewna ciągłość stanowisk między (hipotetycznymi) skrajnościami. Np. wśród niektórych, którzy uznają iż „bilans PRL” jest negatywny, pojawia się tendencja do rozpatrywania stosunków polsko-sowieckich jako prostej aplikacji ogólnego modelu „centrum-peryferie”. Prowadzi to (lub może prowadzić) do uznania, iż władztwo ZSRR nad Polską – i innymi krajami „bloku” – było czymś normalnym, a nawet typowym. Radykalni krytycy utrzymują jednak, iż od 1944 r. miała miejsce okupacja, która zrazu wykonywana była bezpośrednio przez ZSRR, a później w ramach systemu namiestniczego, w którym „tubyłcy” pełnili funkcje wykonawcze. Koncepcja okupacji, która w intencji jej twórców prowadzić miała – i prowadzi – do uznania tych, którzy uczestniczyli w systemie namiestniczym za kolaborantów (zaprzkańców etc.), bywa jednak po drugiej stronie „obrachunkowej” barykady interpretowana w ten sposób, aby pełną odpowiedzialność złożyć na Centrum, a „tubyłczych uczestników” – a zwłaszcza komunistów-patriotów – uznać za kolejne ofiary Moskwy.

2. Elementem tej kontrowersji jest niezgodność co do tezy, czy istniała alternatywa dla objęcia władzy przez

komunistów, co niejako z założenia prowadziło do poddania kraju obcej kurateli. I w tej kwestii wśród spierających się istnieje gama postaw pośrednich. Z jednej strony powtarza się, iż jedyną realną alternatywą było wcielenie Polski jako „17 republiki”. Było to w rzeczywistości (cichym na ogół) życzeniem części komunistów, ale jak dotąd nie znaleziono dokumentów świadczących, iż Stalin podzielał te marzenia. A więc fakt, iż komuniści przyjęli przekazaną im władzę, uchronił Polskę przed losom państw nadbałtyckich i przed rządami (jeszcze) gorszych, często o niepolskim pochodzeniu, wasali, nabiera waloru aksjomatu. Skoro nie mogło być inaczej to dobrze, że było tak jak było – brzmi konkluzja. Trzeba powiedzieć, iż nawet radykalni krytycy Polski komunistycznej mają trudności z repliką. Trzecia Wojna Światowa? Na wielkiej scenie światowej nie było chętnych. Samotna walka z mocarstwem? Została przegrana. Model benešowski? Tolerowany był przez Moskwę zaledwie kilka lat, po czym Czechosłowacja „wyrównała szereg”. Konsekwencje owego przymusu sytuacyjnego znajdują entuzjastów, i to w niespodziewanych miejscach sceny: „Polska na tych latach wyszła nadspodziewanie dobrze i wiele opłaciłoby się zapłacić za uzyskanie takiego terytorium, takiego społeczeństwa bez różnic stanowych i takiego kraju, niemal bez mniejszości narodowych” – pisał Marcin Król, jeden z czołowych intelektualistów dawnej (i dzisiejszej) opozycji [9]. Geopolityka bliska stanu czy-
tego.

3. Stwierdzenie o „społeczeństwie bez różnic stanowych” wprowadza na kolejny teren sporu: czy w Polsce miała miejsce autentyczna (choć wspierana z zewnątrz) rewolucja, czy też była to inżynieria społeczna, którą stosowano dla urzeczywistnienia utopii komunistycznej (stworzenia „nowego człowieka”) z użyciem wszelkich

dostępnych narzędzi, wśród których przymus – fizyczny i psychiczny – były najważniejszymi? obrońcy pierwszej tezy zwracają uwagę, iż złamano ostatnie bariery stanowe i „uczułowiczono chłopstwo”. Że przez wiele lat, dzięki komunistom właśnie, odbywał się potężny proces „awansu społecznego”, którego beneficjenci stanowili główną podporę systemu. Podkreśla się robotniczo-chłopski, lub po prostu plebejski charakter samej partii komunistycznej i udział „warstw uciśnionych” w dziele budowy państwa i w zarządzaniu gospodarką. Nie przecząc tej tezie – jest ona bowiem oczywista – warto wszakże zwrócić uwagę, że nieomal identyczny jak partii komunistycznej był skład socjalny ruchu oporu z lat 1945–1948, że wśród aresztowanych w latach następnych wyraźną większość stanowili „synowie robotników i chłopów”, że ludność wiejska stawiała bierny opór bardziej wytrwale niż inteligencja, że robotnicy strajkowali także w czasie najgłębszej „nocy stalinowskiej” (1951 r.), że wreszcie czysto plebejskie były rewolty 1956 i 1970 r. Zwolennicy drugiej zwracają uwagę nie tylko na ogrom bezprawia i zbrodni, których dokonywano, ale także – a po 1989 r. częściej niż przedtem – na dewastacyjny charakter owej narzuconej rewolucji. Prowadziła bowiem do zraty motywacji dla „uczciwej pracy”, wypychała do pierwszych rzędów pozbawionych skrupułów, cynicznych techników władzy, korumpowała grupy zawodowe. Z rewolucji takiej, wskazują najbardziej radykalni, wyłonił się rzeczywiście nowy typ człowieka – „homo sovieticus”. Warto tu także zasygnalizować, iż być może zmitologizowane zostało działanie owej „pompy ssącej” awansu społecznego. Np. wedle niektórych badań socjologicznych (w zespolu Stefana Nowaka) przynależność do „nizin społecznych”, nawet połączona z aktywną akceptacją ustroju, bynajmniej nie gwarantowała promocji.

4. Ważnym składnikiem sporu są próby opisu rzeczywistości gospodarczej. Rozpowszechniona wśród zwolenników „bilansu pozytywnego” teza brzmi, w uproszczeniu, następująco: przejęcie władzy przez komunistów z ich programem radykalnych reform i żelazną wolą jego realizacji, wprowadziło Polskę na ścieżkę modernizacji. Społeczeństwo poniosło znaczące koszty, a ekipy rządzące popełniły wiele błędów (część nie z własnej woli), ale takiego tempa – a więc i takich ilościowych wymiarów – zmian pod innym przywództwem nie można było osiągnąć. Mniej zdeterminowani zwolennicy tej tezy podkreślają, iż od pewnego momentu, który różnie lokowany jest w czasie, wystąpiły symptomy wyczerpywania się modernizacyjnej energii systemu. Niemniej dokonane zmiany wprowadziły Polskę w krąg nowoczesnej cywilizacji przemysłowej. Przeciwnicy tej tezy dążą do przeprowadzenia dowodu – opartego na statystykach porównawczych – iż w istocie Polska komunistyczna, po kilku dziesiątkach lat wyrzeczeń i wysiłku, znajdowała się w innym miejscu europejskiego rankingu niż w 1939 r., ale było to miejsce gorsze niż przed 60 laty [10]. A więc, iż ta ścieżka modernizacyjna, na którą wstąpiono i której się kurczowo trzymano, była drogą w ślepy zaułek. Błąd zaś leżał nie w pomyłkach ekip rządzących, ani nawet w posłuszeństwie wobec „rekomendacji” przekazywanych z Moskwy, ale w samej istocie systemu: nieinnowacyjnej, centralnie sterowanej gospodarce niedoboru, której zasady wywiedzione zostały ze skostniałej ideologii.

5. Na marginesie tego wątku debaty pojawiają się poglądy – wcale nieodosobnione – iż Polska nie była państwem socjalistycznym (komunistycznym). Jeden z dyskutantów (Edward Erazmus) we wspomnianym cyklu „Myśli Socjaldemokratycznej” stwierdza, iż panował tu „kapitalizm państwowo-totalitarny”. Można łatwo wy-

- racjonalny dystans
- postkomunistyczny rewizjonizm
- krytyczna afirmacja.

Zdaję sobie sprawę, iż typologia ta nie jest niczym więcej, niż tylko próbą wyjścia poza rozpowszechnione stereotypy „nachalnych antykomunistycznych skrybów (Kazimierz Doński dixit) czy „czerwonych fałszerzy”. Nie chciałbym tu egzemplifikować wskazanych postaw, ale wypada chyba dokonać samookreślenia. Jeśli tak, wydaje mi się, iż najbliższe mi do postawy „radikalnego krytyka”, choć zapewne badawczo najbardziej kreatywne jest zachowanie „racjonalnego dystansu”.

Zaiste niespiesznie, ale jednak trwa wypełnianie rbyku w „bilansie PRL”. Mam wszakże przekonanie graniczące z pewnością – że nie będzie nie tylko ostatniego, ale nawet jednego „obrachunku”. Pojawi się ich wiele, niektóre będą wobec siebie komplementarne. Inne wykluczające się. Ale nawet gdyby pojawił się jakiś gniałny Główny Księgowy, który sporządziłby jeden, wnikły z kompromisu bilans, to komu ma go przedstawić do zatwierdzenia?

7 Anna Magierska: *Dylematy historii PRL*, Warszawa 1995, s. 124.

8 Krystyna Kersten, Włodzimierz Suleja, Tomasz Szarota i Wojciech Wrzesiński w dyskusji *Historia najnowsza – między polityką a nauką*, w: „Odra”, nr 11, listopad 1995.

9 Marcin Król: *Długie trwanie a PRL*, w: „Nowa Res Publica”, nr 54, marzec 1993, s. 39.

10 Czynili to m.in. historycy młodszego pokolenia (Antoni Dudek, Dariusz Jarosz, Paweł Machcewicz, Andrzej Friszke) w dyskusji *Czym była PRL?*, w: „Więź”, nr 2, 1996.

11 Tezę tę wykladała najobszerniej w referacie *O użyteczności konceptu totalitaryzmu w badaniach historii PRL*, w: *Czy PRL była totalizmem totalitarnym?* (red. A. Paczkowski), Warszawa 1991.

12 Nieco szerzej piszę o tym w artykule *Stalinizacja Europy Środkowo-wschodniej i casus Polski*, w: „Obóz”, nr 28, 1993.

Przypisy

1 Tzvetan Todorov: *Les abus de la memoire*, Paris 1995 s. 50.

2 *Fałszywe podziały* – rozmowa z Andrzejem Walickim, w: „Początki” nr 3, 20 stycznia 1996.

3 „La Nouvelle Alternative”, nr 32, Decembre 1993.

4 Archiwum Akt Nowych, KC PZPR, p. 156, t. I (sygn. tymczasowa) – protokół z posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR z 1 lutego 1985 r.

5 Tamże, p. 161, t. VI.

6 *W drodze do przyzwoitej demokracji* – rozmowa z Jerzym Szankim, w: „Nowe Książki”, nr 5, maj 1994.

Zbigniew Gluza

Pozory obrachunku

Minęło z górą sześć lat od przełomu politycznego w Polsce. Z dzisiejszej perspektywy można bez wątpienia przyjąć, iż czerwiec 1989 stanowi cezurę oddzielającą Polskę komunistyczną od demokratycznej. Od pierwszej chwili tej nowej Polski wiadomo było, iż jednym z warunków istnienia w naszym kraju normalnej demokracji jest uporanie się z dziedzictwem 45-letniego okresu powojennego w każdym z nas z osobna i we wszystkich razem, przede wszystkim zaś w strukturach państwa.

Sześć minionych lat to ciąg kolejnych zaniechań. Z każdym rokiem mniejsze były szanse na zbiorowy obrachunek, nie odwołano się na znaczącą skalę do pamięci świadków zdarzeń wymagających opisanie; nie otwarto (gdy była jeszcze sprzyjająca temu sytuacja polityczna) tej części archiwów specjalnych, które tłumaczą mechanizmy dawnej władzy, nie stanowiąc jednak współczesnego narzędzia samosądu. Zdumienie może budzić, ile ignorancji, lekceważenia, braku wyobraźni, ale przede wszystkim obojętności, wykazały osoby będące u władzy, które mogły zrobić wiele dla tej sprawy.

W 1992 roku ogłosiłem na łamach „Życia Warszawy” tekst *Powinność państwa*; pisałem tam:

„Dzisiaj, po trzech latach, bilans jest zatrważający. Rozproszone i zakrojone na małą skalę akcje instytucji

państwowych nie złożyły się na spójny program działania. Nie stworzono żadnych struktur konsekwentnie prowadzących prace badawcze lub koordynujących pracę innych (zarazem władze państwowe nieustannie podkreślały wagę takich działań i deklarowały poparcie dla nich). Poza kilkoma symbolicznymi gestami oraz nadaniem uprawnień kombatanckich środowiskom dotąd ich pozbawionym, instytucje państwa polskiego wykazały wobec historii rozbrajającą bezradność.

Nie podpisano także żadnych całościowych umów międzynarodowych, które porządkowałyby sprawy przeszłości (przede wszystkim dwudziestowiecznej) w stosunkach między Polską a krajami sąsiedzkimi. Fakt, że nie ma takich ustaleń w relacjach z Rosją, Ukrainą, Białorusią czy Litwą, w zasadniczy sposób utrudnia dokumentowanie polskich losów na Wschodzie. Nie powstał zader program działań polsko-niemieckich.

Państwo nie próbowało w sposób przemysłany pomagać liczным nowo powstałym organizacjom społecznym deklarującym zainteresowanie przeszłością. Organizacje te, działając bez jakiegokolwiek koordynacji, a najczęściej też nie współpracując ze sobą, roztrwoniły bezpowrotnie mnóstwo ludzkiej energii. (...)

Poważny udział w marnowaniu potencjalnej zbiorowej energii, która przed trzema laty była stosunkowo duża miały środki masowego przekazu, głównie telewizja państwowa, ale także radio i prasa. Historia traktowana koniunkturalnie, rocznicowo lub na zasadzie sensacji politycznej, z podkreślaniami elementów martyrologicznych i zazwyczaj ciągle tych samych, zaczęła być powszechnie postrzegana jako kombatanctwo. Społeczeństwo zostaje znudzone historią, nim zdążyło ją poznać.”*

W następnych latach nie nastąpiła żadna zasadnicza zmiana. Ocena ta dotyczy generalnych procesów, nie uwzględnia wielu konkretnych, lokalnych czy środowiskowych przedsięwzięć, bo taki wykaz byłby już odpowiedź na inne pytanie. Wymieniam tu parokrotnie Ośrodek KARTA, bowiem jego prace stanowią moje bezpośrednie doświadczenie, są więc dla mnie najlepszym przykładem.

Ze swoich rozważań wyłączam pracę nielicznej grupy historyków profesjonalnie zajmujących się historią najnowszą, których dokonania i publikacje zasługują niejednokrotnie na duże uznanie, ale których dzieło wobec opisywanych tu procesów nie wpływa istotnie na stan wiedzy i wyobrażeń społeczeństwa.

Pozór główny: motywacje ludzi władzy

W żadnej z podstawowych struktur władzy nie pojawił się w Polsce nikt, kto naprawdę chciałby zmierzyć się z dziedzictwem komunistycznej przeszłości: ani we władzy ustawodawczej, ani wykonawczej, ani w sądownictwie. Nikt taki nie pojawił się też w wielkich mediach, wiele było natomiast takich zapowiedzi, szczególnie przedwyborczych. Cytujać różne deklaracje polityków, a także – choć w innym planie – dziennikarzy, można by stworzyć niebagatelny areopag ludzi sprawiedliwych, pryncypialnie odnoszących się do ciemnych czy zafałszowanych bądź zatartych stron naszej własnej przeszłości.

Lech Wałęsa w trakcie swojej prezydentury nie zrobił żadnego kroku, który warto by odnotować jako krok na drodze obrachunku z historią (a mógłby zrobić wiele); gdy zaś poczuł, że może stracić urząd, zapowiedział pisanie niejako przeciw postkomunistom „białych ksiąg”;

* nr z 6-7 czerwca 1992

a gdy stracił go naprawdę, powołał instytut swojego imienia do badania niedawnej przeszłości...

To swoją drogą charakterystyczne, że w Polsce upominają się o historię niemal wyłącznie politycy tracący pozycję.

Politycy polscy wykorzystują przeszłość jako zasób argumentów w rozgrywkach między sobą. Najwyraźniej nie rozumieją, jakie znaczenie ma dla normalniejącego społeczeństwa, jak i dla państwa, które uczy się demokracji, odtworzenie historii nienormalności i dyktatury. W zasadzie jedynym zajmującym polityków tematem „historycznym” jest tzw. lustracja, ta zaś może stanowić najwyżej cząstkę obrachunku z kłopotliwym dziedzictwem.

Jak wiele zależy w pracy nad historią najnowszą od woli polityków, pokazały działania sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, badającej mechanizm wprowadzenia stanu wojennego. Gdy w poprzedniej kadencji Sejmu zabrakło w niej posłów dociekliwych, chcących naprawdę odkryć ten mechanizm, skutki pracy Komisji były iluzoryczne. W obecnej kadencji Sejm postanowił kontynuować prace, a w Komisji znaleźli się dwaj posłowie, którzy wymusili jej intensywny wysiłek. Gdyby nie Bogdan Borusewicz i Jacek Taylor, pozostałyby niedostępne i nieznane dokumenty wyjaśniające, jak doszło do stanu wojennego w Polsce, nie powstałyby tak znaczące ekspertyzy historyków. Ta wiedza wydaje mi się ważniejsza niż niedoszte wyroki na członków WRON.

Jedynie wprowadzenie stanu wojennego doczekało się wnikliwej debaty.

Pozór fachowości struktur państwa

Oczywiście, zadaniem polityków nie jest badanie przeszłości; biorą jednak odpowiedzialność za to, jakie warunki stworzono, by historia była odkrywana, a jej skutki łagodzone. Biorą też odpowiedzialność za instytucje państwowe, których są to statutowe obowiązki.

Poza Urzędem ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, stworzonym, by zajął się zadośćuczynieniem dla tych, którzy przeżyli, nie powstała żadna nowa struktura państwa, której zadaniem byłoby zintegrowane działanie przeciw skutkom wieloletniego kłamstwa propagandy i historiografii komunistycznej. Działające instytucje są tylko lekko przestrojonymi instrumentami z dawnych czasów. I grają z takim nerwem, jak dawniej.

Za czasów Peerelu istniała fasadowa Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, mająca doradzać władzy w sprawach przeszłości, a realnie zajmująca się obeliskami, o których zresztą decydowały inne gremia. W nowej Polsce pomniki zostały nominalnie zastąpione przez pamięć, a nowo ukonstytuowane ciało przy Radzie Ministrów miało współtworzyć politykę państwa wobec tego, co zasługuje na Pamięć Narodu.

Owa, mająca społeczny, czyli nieetatowy charakter, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa jest instancją doradcą wobec rządu, a więc dano jej możliwość wpływania na zasadnicze decyzje. Jednak żaden z rządów Polski demokratycznej nie zainteresował się tym, że owa grupa doradców-autorytetów nie wykazuje inicjatywy, że w związku z tym nikomu niczego nie doradza. Wszyscy przyjmują za normalne, że w imieniu Rady wypowiada się co najwyżej urzędnik z jej biura i to wyłącznie w takich sprawach, w których głos Rady wymuszany jest z zewnątrz.

Cała sprawa wydaje się zapewne politykom błaha, toteż forma istnienia Rady ich nie niepokoi. Jednak ten rodzaj zaniechania jest niebezpieczny. Bo skoro istnieją w Polsce instytucje, których zadaniem jest współtworzenie polityki państwa wobec przeszłości, sądenie winnych nie ściganych wcześniej przestępstw, zadośćczynienie ofiarom, to sam fakt ich istnienia już uspokaja. Z trudem dociera do świadomości, że państwo nie ma takiej polityki, że nie karze winnych, a o ofiarach zapomina.

Pozór sprawiedliwości

Szczególnie przykry jest w tym pozór praworządności – sprawiedliwego nazwania i ukarania win. Procesy sądowe odnoszące się do powojennej historii, bez poważnych powodów ciągnące się latami, stały się już groteską, kompromitującą prokuraturę i sądy. Przez cały ten czas brakowało najwyraźniej politycznej woli skuteczności.

Jest to też bardzo widoczne na przykładzie Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, w której prokuratorzy prowadzą wprawdzie śledztwa (dotyczące głównie zbrodni stalinowskich), ale nie mogą mieć inicjatywy procesowej, w związku z czym zazwyczaj pracują *ad acta*. Że taka konstrukcja jest bez sensu, że na swój sposób gwarantuje nieskuteczność, wiadomo od dawna i... nic się nie zmienia.

Rezygnacja z publicznego nazwania przeszłych win (dawniej zwykle ukrywanych) jest w oczywisty sposób społecznie destrukcyjna, odbiera poczucie sprawiedliwości. Nie mniej niszczące jest, jak sądzę, także nieusznanie ofiar.

Najpoważniejszy wydaje się problem obywateli polskich represjonowanych w ZSRR, którzy zaginęli bez

wieści. Jeśli przez 50 lat nie można było ani w Polsce, ani w ZSRR nic zrobić dla wyjaśnienia ich losów, to po zmianie sytuacji oczywisty powinien być zbiorowy wysiłek na rzecz dotarcia do odpowiednich danych (które zresztą można odnaleźć także w Polsce).

W 1995 roku w rocznicę 17 września odsłonięto w Warszawie Pomnik Poległym, Pomordowanym na Wschodzie. W trakcie uroczystego odsłonięcia, pod najwyższym patronatem Prezydenta RP, stwierdzono, iż pomnik czci pamięć około dwóch milionów Polaków zamęczonych w Sowietach po 17 września i że liczby ofiar nigdy już nie uda się uściślić. Podana liczba, oparta na bardzo dawnych szacunkach emigracji polskiej, jest znacznie zawyżona i w ostatnich latach została już wstępnie zweryfikowana. Zastanawia fakt, że środowisko, które ów pomnik budowało, nie próbowało poznać aktualnych, bardziej wiarygodnych szacunków. Symbol ma widać dla nich większą wagę niż prawda, do której się on odnosi.

Zasadniczą częścią owych dwóch milionów są deportowani w głąb ZSRR w czterech falach wywózki lat 1940-41. Szacunki emigracyjne, twarzo podtrzymywane do dzisiaj, mówią o milionie do półtora miliona deportowanych. Podana w marcu 1994 na łamach „Karty” (nr 12) analiza dokumentacji sowieckiej dotyczącej tych czterech fal mówi o 320 tysiącach wywiezionych. Apelowaliśmy do badaczy i świadków, by podważyli te szacunki. Przez półtora roku do odsłonięcia pomnika, a też do dzisiaj, nikt nie zakwestionował żadnego elementu podanej analizy.

W ciągu sześciu lat w Polsce badana była gruntownie dokumentacja jedynie zbrodni katyńskiej (obecnie dane o 19 tysiącach osób). Wszyscy pozostali mieścili się w kategorii nieweryfikowalnych dwóch milionów.

Instytucje państwowe w zbyt małym stopniu korzystały z obecnej w ostatnich latach koniunktury, związanej z częściowym choćby dostępem do archiwów posowieckich. W tym nie mogły ich zastąpić organizacje społeczne. A koniunktura powoli się kończy.

Nasze środowisko od 1987 roku stara się gromadzić wszelkie informacje o represjonowanych na Wschodzie. Najpierw metodami chałupniczymi, potem w komputerowej bazie danych zestawialiśmy bardzo rozproszone dane, teraz również sowieckie. Obecnie Ośrodek KARTA dysponuje bazą z ponad 400 tysiącami biografów (na razie często się dublują); rocznie może ich przybywać około 100 tysięcy, więc po weryfikacji możliwe byłoby jednak przedstawienie listy strat zbliżonej do rzeczywistości.

Dzieje się to jednak zupełnie poza zainteresowaniami władz państwa. Gdyby nie przyznawane nam jednoroczne dotacje Komitetu Badań Naukowych (które przedsięwzięcie częściowo wspierają, ale nie dają gwarancji ciągłości prac), można by powiedzieć, że struktury państwa polskiego nie biorą w tym żadnego udziału. A czyż jest to przedsięwzięcie na miarę niedużej organizacji społecznej?

Zresztą, trudno się dziwić obojętności wykazywanej przez polityków czy przedstawicieli administracji państwowej, gdy towarzyszy jej często całkowita niewiedza. W wysokich sferach władzy (Sejm, Rada Ministrów) odbyła się w ostatnich miesiącach dyskusja na temat represji wobec Polaków w ZSRR przed 1939 rokiem, w związku z próbą (na razie nieudaną) przeprowadzenia w Rosji procedury uznania Polaków za naród represjonowany w Związku Radzieckim. Urzędnicy MSZ wyjaśniali, że resort nie zajmował się dotąd okresem Wielkiej Czystki, jako że... gnębieni w ZSRR funkcjonariusze Kominternu nie mogą szczególnie interesować dyplomacji Polski nie-

podległej. Dyplomaci nie wiedzieli, że polska operacja NKWD w latach 1937-38 objęła 150 tysięcy osób polskiego pochodzenia, a około 75 tysięcy zostało wówczas rozstrzelanych. Członkowie Komunistycznej Partii Polski stanowili jedynie około 1% represjonowanych.

Pozór pojednania z sąsiadami

Fakt, że na drodze dyplomatycznej nie inicjuje się razem z sąsiadami prób wspólnej pracy nad wspólną przeszłością, ilustruje stan świadomości poszczególnych rządów tej części Europy. Jak dalece lekceważyć muszą wspólne dziedzictwo historyczne (ze wszystkimi jego obciążeniami), skoro sfera ta pojawia się tylko w reakcji na incydenty polityczne, nigdy zaś sama dla siebie. Politycy, deklarujący często utrwalanie dobrosąsiedzkich stosunków, jak dotąd nie są pomocni w tym, by zbliżyły się do siebie sąsiadujące społeczeństwa. A historia najnowsza bywa tu najczęstszą nie dającą się pokonać przeszkodą.

Wobec braku inicjatyw tego rodzaju na szczytach władzy, znaczące mogą się stać przedsięwzięcia środowiskowe czy lokalne, które także można by wykorzystać dla przełamania lodów. Gdy jednak nie przynależą bezpośrednio do świata polityki, rzadko docierają do świadomości zbiorowej.

Charakterystycznym przykładem jest dla mnie reakcja mediów na polsko-ukraińskie spotkanie „Polacy i Ukraińcy 1918-48. Trudne pytania”, jakie w czerwcu 1994 zorganizował Ośrodek KARTA wspólnie z Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji Batorego. Doprowadziliśmy do konfrontacji badaczy z obu stron, którzy zajmowali się wcześniej tym okresem wzajemnych stosunków – sądząc, iż jest to najlepszy sposób rozbroje-

nia pozostałego po nim ładunku wzajemnych nienawiści. Spotkanie zakończyło się uzgodnieniem – po dwóch dobach intensywnych negocjacji – wspólnego komunikatu, podpisanego przez jedenastu badaczy z każdej strony.

Komunikat przedstawialiśmy dziennikarzom sądząc, iż pokonana została psychologiczna bariera, że w tej sprawie udało się jednak całkowicie polaryzującej stronie sprawić udało się jednak powiedzieć coś wspólnie i że to może być znaczący krok do polsko-ukraińskiego porozumienia. W nielicznych gazetach, w kilku audycjach telewizyjnych i radiowych pojawiły się jedynie zdawkowe informacje. Wynegocjowanego komunikatu w gazetach i programach informacyjnych nie ogłosił nikt.

Także inspirowany tą konferencją, a rozpoczęty rok później w „Gazecie Wyborczej” (lipiec-listopad 1995) cykl „Wołyń – szukanie prawdy” pominął skutki dwustronnego spotkania, a zaczął się wystąpieniami dwóch ukraińskich naukowców „sprzed” wspomnianego wyżej porozumienia, prowokacyjnie agresywnymi, co w praktyce oddaliło poważną wspólną rozmowę.

Myszę, że dziennikarze są generalnie przeświadczeni, iż w stosunkach między narodami wszystko zależy od polityki i polityków (chętnie nagłaśniane są także ich nieodpowiedzialne wysoki dotyczące sąsiadów). Wysilił społeczne są dla nich jedynie marginesem, będącym co najwyżej materia reporterskich ciekawostek.

Pozór pełnego obrazu w mediach

Media publiczne ponoszą, moim zdaniem, największą odpowiedzialność za wygaszenie w społeczeństwie naturalnego po zmianach politycznych zainteresowania przeszłością. Nie znalazł się wśród dziennikarzy nikt, kto

umiałby wykorzystać środki masowego przekazu dla pracy nad historią w sposób przemyślany, dalekosiężny. Działania koniunkturalne czy wylapywanie sensacji, najchętniej związanych z martyrologią, a zarazem komunistycznym aparatem represji – to było niemal wszystko, co w bilansie lat można by zauważyć w szerszej oddziaływania.

Najważniejsza była tu postawa władz telewizji państwowej. Gdy prezesem Radiokomitetu został Andrzej Drawicz, udało mi się do niego z namową, by użył telewizji jako pośrednika w kontakcie ze świadkami nie zdokumentowanych dostatecznie wydarzeń (wówczas wielu tych świadków jeszcze żyło). Chodziło o akcję na dużą skalę, nadrabiającą czas. Sugerowałem, by w telewizji powstała specjalna redakcja (nie chcieliśmy jej tworzyć, lecz współpracować z nią), która poradzi sobie i z merytorycznym i archiwistycznym wymiarem takiego przedsięwzięcia. Drawicz zbył te sugestie, proponując jedynie drobne realizacje, zgodne z istniejącą ramówką.

Odbylem potem kilkuletnią wędrowkę po gabinetach kolejnych dyrektorów pierwszego i drugiego programu Telewizji Polskiej i żaden, mimo deklarowanego poparcia, nie zdobył się na poważne decyzje. Co najwyżej proponowano nam, ludziom spoza telewizji, własne realizacje. Także inne, pojedyncze, autorskie (czasem: gwiazdorskie) programy historyczne, nie stały się formą zbiorowej pracy nad historią, a więc nie spełniają funkcji, o której mówię. Do tego potrzebna byłaby jednak wola telewizyjnych władz.

Zresztą, teraz jest już za późno. Telewizja nie stanie się już pośrednikiem między społeczeństwem a jego przeszłością. Jeszcze niedawno mogła nim być, ale nie chciała. Teraz już nie zechciałaby widownia.

Uważam, że przez tych sześć lat nie został dokonany

zbiorowy obrachunek z przeszłością, lecz prowadzoną w związku z nią grą, której celem były doraźne korzyści polityków, urzędników, dziennikarzy... Dosadne podkreślanie znaczenia prawdziwego obrachunku, pojawiające się w wielu uzasadnieniach różnych pozornych działań wzmacniało w społeczeństwie przekonanie, że historia stała się głównie polem partykularnych przetargów. A tych można mieć dość.

Przegapiony został moment, który się nie powtórzy. Obrachunek z polską przeszłością ciągle jest zadaniem do wykonania, ale już nie w planie wielkiej polityki czy I. wielkich mediów. Wątpię, by nawet niezwykle odkrywczej historiografii wywołały choćby letnie zainteresowanie społeczeństwa. Pewnie utrwali się pokutujące powszechnie przekonanie, że historia najnowsza to przed wszystkim martyrologia i kombatanctwo, które związane z innymi czasem już niczego nie mogą nas nauczyć.

A przecież jest jeszcze w historii mnóstwo obszarów nie odkrytych, frapujących. Warto na nie wkraczać. Nie dla jakiegokolwiek obrachunku, lecz poznania.

Barbara Szacka

Transformacja społeczna a świadomość historyczna

Podjmując wskazaną w tytule problematykę, zacząć chcę od przedstawienia stosowanej przeze mnie perspektywy, którą najchętniej określiłabym mianem „socio-logicznej”.

Za stosowne uważam poświęcenie na wstępie nieco uwagi samemu terminowi „świadomość historyczna” i wiążanym z nim znaczeniom, ponieważ termin ten bywa wyposażany w rozmaite treści.

Mówi się po pierwsze o „świadomości historycznej”, mając na myśli sytuowanie wydarzeń na osi czasu linearnego, ilościowego, nieodwracalnego oraz postrzeganie teraźniejszości jako umieszczonej pomiędzy przeszłością a przyszłością. Tak rozumiana „świadomość historyczna” przeciwstawiana bywa „świadomości mitycznej”, której elementem jest specyficzna koncepcja czasu jakościowego.

Po drugie, przez „świadomość historyczną” rozumie się wszelką uświadamianą obecność przeszłości w teraźniejszości, wszelkie, aktualnie funkcjonujące obrazy przeszłości i odniesienia do przeszłości, wszelkie rytuały i praktyki upamiętniające postaci i wydarzenia przeszłości. Również wiedzę o przeszłości. Takie rozumienie

„świadomości historycznej” wprowadziła u nas Nina Anich, a w literaturze światowej ten zespół zjawisk i ich roli w życiu społecznym. Jednakże jest to temat określany bywa zazwyczaj terminem „pamięć społeczna” i na tyle obszerny, że na jego podjęcie nie ma tu miejsca.

Po trzecie, „świadomość historyczna”, bywa utożsamiana z „poprawną” wiedzą o przeszłości i określenie tym terminem, skłoniły mnie do poniechania go w mojej pracy badawczej i posługiwania się w to miejsce padku pytając o „świadomość historyczną”, mamy na myśli stopień upowszechnienia „poprawnej” wiedzy o „świadomości historycznej” w drugim z wymienio- przeszłości – to, co ludzie o niej wiedzą, a także o jej znaczeniu.

Wiedza ta jest „dostateczna”, „poprawna”, „właściwa”. Obszar tak rozumianej „pamięci społecznej” jest bardzo podobnie kiedy pytając o „świadomość prawną”, chcąc do rozległy i wielce zróżnicowany. Wymaga to pewnych my dowiedzieć się, czy ludzie są poinformowani o przebiegu wydarzeń dotyczących jego konstrukcji. Sprawą pierwszą pisach i procedurach prawnych w stopniu, który uważa się za właściwy. Otóż wyznaję pogląd, że historia – nauka jest jedną w życiu społecznym i nie popełniać wykroczeń z prostych form pamięci społecznej, powstała w danym czasie nieświadomości.

Jednakże w przypadku takiego rozumienia „świadomości historycznej” pojawia się pewna istotna komplikacja. Specyfikę historii można sprowadzić do trzech punktów, która nie występuje w przypadku „świadomości praktycznej”: instytucjonalizacji, profesjonalizacji, z którą związanej”. Przepisy prawa są ponumerowane i ujęte w kodeksy, które są powstaniem reguł warsztatu zawodowego historyków, a procedury prawne wyraźnie określone przepisami i akceptacji wzoru nauki wolnej od wartości.

Stosunkowo łatwo jest uzgodnić, które z nich powiniemy przyjąć. Jeżeli historię – naukę (którą można by określić jako pamięć społeczną najwyższego poziomu) potraktować możliwie gładko, a państwo funkcjonowało jako jeden biegun pamięci społecznej, to za jej przeciwnie. Inaczej jest w przypadku analogicznie rozumianego biegunu należy uznać „potoczną” pamięć społeczną, „świadomości historycznej”. Kto i wedle jakich kryteriów ma orzekać, jaka wiedza o przeszłości jest „dostateczna”, „właściwa” i „poprawna”, w sytuacji, kiedy nie ma sondaży socjologiczne. Pomiędzy tymi biegunami, z natury rzeczy pełna wiedza o przeszłości nie jest możliwa, co do tego, która została osiągnięta przez naukę i upowszechniana, obejmująca wszelkie postaci nauczania historycznego, wciąż toczą się spory interpretacyjne?

U podstaw tego ostatniego rozumienia „świadomości historycznej” leży szereg nieporozumień co do „świadomości historycznej” – pisanych z myślą o szerszym kręgu odbiorców niż kole- dzy – profesjonalistów, zajmujący się tym samym co i autor

kresem zagadnień, poprzez programy szkolne dla ról nad przeszłością nie tylko kontroluje przyszłość, ale nych poziomów nauczania, różnego rodzaju audycje edy to, kim dzisiaj jesteśmy⁷¹. W odniesieniu do drugiej, rangę oczywistości zyskał kacyjne w środkach masowego przekazu, literaturę popo. W odniesieniu do drugiej, rangę oczywistości zyskał larnonaukową i różnorodną publicystykę, aż po filmy i p.pogląd, że „Historia jest systematycznie wykorzystywana wieści historyczne, nazewnictwo ulic i stawianie pomnika jako jedno z najbardziej użytecznych narzędzi do tworze- nia ideologiczno-kulturowych warunków, sprzyjających ków.

Podając rozważania problemów, związanych z p.utrzymaniu istniejących struktur władzy⁷². Istnieje też mięci społeczną w okresie przebudowy społecznej, świ.powszechna zgoda, iż żadne państwo nie osiągnęło takie- domie pomijam historię – dyscyplinę akademicką. Tgo stanu, który pozwoliłby mu wyrzec się odwoływania jakie wyzwania stwarza dla historyków okres przemia.do czasu przeszłego jako źródła prawomocności. Jeżeli jakie zadania stają przed nimi i jakie nowe badania m.zaś tak jest, to dziwić nie może, że wszelka dogłębna sza podjąć, by wypełnić luki w posiadanej wiedzy i jak.przebudowa społeczna i każda zmiana ustrojowa wiązać sądy zrewidować w rezultacie uzyskania dostępu do z.się muszą ze zmianą kształtu upowszechnianego obrazu mkniętych dotychczas archiwów i dotarcia do nowy.przeszłości. Zmiany tej nie należy w żadnym razie rozpa- źródeł wykorzystywanych zgodnie z regułami ich PROFE.trywać w kategoriach prawdy, fałszu i manipulacji, cho- – to sprawa samych historyków, w każdym razie t.ciaż i tego rodzaju elementy mogą wchodzić w grę i by- długo, jak długo występują w rolach zawodowych i n.wa, że w jakiejś mierze wchodzą. Lecz nie one są najważ- niejsze. Bogate zasoby wiedzy o przeszłości zgromadzone

W odniesieniu do pamięci upowszechnianej należy przez historię-naukę zgodnie z obowiązującymi w niej początku postawić pytanie: dlaczego we wszystkich okr.regułami nigdy nie są upowszechniane w całości – jest to sach przemian pojawia się szczególne zainteresowanie n.wykonalne. Zawsze dokonuje się jakaś selekcja treściami i kształtem? Odpowiedź nie jest trudna, zważ i z wielowątkowej tkaniny wiedzy o przeszłości wybiera- wszy istnienie bogatej literatury poświęconej funkcjo. ne są tylko niektóre wątki – te, które współgrają ze pamięci społecznej w życiu zbiorowości. Dwie z ty.współczesnością – z tym, kim są dzisiaj ludzie i kim chcą być, jakimi sprawami żyją, co ich boli a co cieszy, a także funkcji przyciągają szczególną uwagę. Jedną jest r.z tym, co nadaje prawomocność i uzasadnia panujący pamięci w określaniu tożsamości grupowej, drugą – le.porządek. Ogląd przeszłości w nieunikniony sposób do- tymizacja istniejącego porządku. Do tego dodać moż.pasowuje się do sposobu widzenia dnia dzisiejszego, trzecią, równie ważną, którą dostrzegał już Plutarc.albowiem na przeszłość patrzymy tymi samymi oczyma a polegającą na pełnieniu roli środka przekazu pożą.co i na teraźniejszość. Jak stwierdził David Thelen, nych wzorów zachowań, w tym zwłaszcza postaw wob. w przypadku pamięci społecznej podstawowym proble- zbiorowości.

W odniesieniu do pierwszej z nich, angielscy psych.mem nie jest, w jakiej mierze to, co pamiętane zgodnie logowie społeczni David Middleton i Derek Edwards jest z tym, co kiedyś się zdarzyło, ale dlaczego historyczni parafrazując Orwella błyskotliwie stwierdzili: „Kto pan. aktorzy w danym czasie konstruują treści swej pamięci

w taki a nie inny sposób³. Każda zmiana świata, w którym żyjemy powoduje dysonans pomiędzy naszym zmierzaniem dzisiaj, a dotychczas upowszechnianym obrazem naszego wczoraj – stąd poczucie znacznego dyskomfortu i postulaty przebudowy programów nauczania historii – dopominanie się o nowy obraz przeszłości w środkach masowego przekazu etc., które często pojawiają się w postaci żądania likwidacji „białych plam” czy też jego „ociekłamanie” pomimo, że w istocie dotyczą głównie zmian zasad jego konstrukcji.

Czym bardziej radykalna i dogłębna zmiana społeczna i polityczna, tym jaskrawsza potrzeba zasadniczej zmiany upowszechnianego obrazu przeszłości. Nie znaczy to, że obraz ten zmienia się tylko wtedy. Moje doświadczenia wyniesione z badań nad pamięcią przeszłości w okresie PRL przekonały mnie, iż upowszechniane obrazy przeszłości są czułym instrumentem pomiaru zmian politycznego klimatu. Istotnych informacji o ten temat dostarcza niezwykle interesująca praca Andrzeja Szpocińskiego, pod mało ekscytującym tytułem „Przegląd obrazu przeszłości Polski. Analiza słuchowisk historycznych dla szkół podstawowych 1951-1984”.⁴

Praca ta warta jest przywołania tutaj również dlatego, że autor zwraca w niej uwagę na trzy wymiary upowszechnianego obrazu przeszłości, których uwzględnienie jest bardzo przydatne dla określenia jego charakteru.

Jest to po pierwsze wymiar „przodków” – jakie kategorie żyjących w przeszłości ludzi są włączane, a jakie wyłączone ze wspólnoty, za której kontynuację uważają i chcą się uważać aktualnie istniejąca zbiorowość.

Po drugie wymiar „miejsca pamięci” – nazw postaci i wydarzeń, które są nośnikami wartości ważnych w życiu danej zbiorowości. Są to miejsca „dobrej pamięci” – postaci i wydarzenia oceniane pozytywnie i będące no-

śnikami wartości; „złej pamięci” – oceniane negatywnie postaci i wydarzenia będące nośnikami „antywartości” oraz miejsca pamięci „ambivalentnej”, które są nośnikami zarówno wartości jak i antywartości. Zbiór „miejsca pamięci”, których znajomość charakteryzuje pełnoprawnego członka danej zbiorowości, tworzy „kanon historyczny” danej grupy.

Po trzecie wymiar wartości – jakie wartości są uosabiane przez postaci i wydarzenia przeszłości („odnajdywane w miejscach pamięci”) i jak przedstawia się ich hierarchia.

Po tych wstępnych uwagach dalsze rozważania poświęcę kolejno upowszechnianej pamięci społecznej i politycznej pamięci społecznej.

II.

Okres przebudowy, którą obecnie przeżywamy, jest świadkiem dążeń do rewizji upowszechnianego obrazu naszej przeszłości, przy czym szczególną uwagę przyciąga przeszłość najbliższa, okres PRL, w odniesieniu do którego zgłaszana jest nieustannie wciąż niezaspokojona potrzeba „rozliczenia się” czy „obrachunku”. To skupienie uwagi na najbliższej przeszłości i niemal wyłączne nią zaabsorbowanie dziwić nie może, albowiem stanowi przejaw ogólniejszej prawidłowości. Wszystkie nowe twory ustrojowe powstałe w wyniku dogłębnych zmian dotychczasowego porządku odczuwają palącą potrzebę określenia własnej tożsamości, powiązaną z potrzebą usytuowania się wobec przeszłości przede wszystkim najbliższej, której są zaprzeczeniem lub za takie się uważają i chcą być uważane. Czym zmiana jest głębsza i radykalniejsza, tym silniej podkreślany jest brak ciągłości pomiędzy dzi-

siaj a niedawnym wczoraj. Z czasem ostrość tego przeciwstawienia słabnie.

W toczących się obecnie dyskusjach, zauważamy bez trudu ten mechanizm, często w postaci bezpośredniego pytania o umiejscowienie okresu PRL w obrazie dziejów narodowych. Czy się w nich mieści, czy też stanowi „czarną dziurę”? Czy należy do nich tak, jak okres zaborów, czy tak, jak okresy suwerennego bytu państwowe? Wątpliwości z tym związane, znakomicie oddał Jerzy Działowski, dając cyklowi swoich audycji poświęconych historii PRL tytuł „Rzeczpospolita 2 i 1/2”. A więc ciągłość czy jej zerwanie?

Dyskusje te można też zinterpretować jako proces kształtowania się uzgodnionego języka, a raczej języków opisu tych czasów. Rozumiem przez to powstanie ustalonego i powszechnie akceptowanego zbioru „miejsc pamięci”, wyselekcjonowanie godnych zapamiętania postaci i wydarzeń, które każdy znać powinien, i z których rozmaicie wybierając, to jest nadając im różną rangę jak również przypisując różne wartości, można by tworzyć rozmaite warianty tego obrazu. Innymi słowy, chodzi o jednolity zestaw klocków, rozmaicie używanych do konstruowania jego różnych wersji. Współczesne dyskusje dotyczące tego okresu to żmudne tworzenie takiego języka i takiego zestawu klocków. Sądzę także, że żmudność ta jest pochodną braku klarowności współczesnej sceny politycznej, na której podziały wedle poglądów na poszczególne kwestie krzyżują się z podziałami na tych, którzy wczoraj znajdowali się w dwu różnych miejscach dychotomicznie podzielonej sceny politycznej: jedni po stronie partii i rządu, drudzy po stronie „Solidarności” i opozycji. Ci ostatni w sposób naturalny skłaniają się do uogólnionego potępienia tego okresu, chociaż niektórzy z nich mogliby w nim znaleźć wątki bliskie ich poglą-

dom; ci pierwsi nie bardzo wiedzą kim są i do czego mają się przyznawać, w czym szukać swoich korzeni, a co grozi kompromitacją i należy się od tego odżegnać.

Jest jeszcze niejasny problem „przodków”. Kogo, spośród wówczas żyjących ludzi gotowi są uznać za przodków ci, co żyją dzisiaj? Czy tylko działacze opozycyjnych tamtego okresu i prześladowanych przez władzę? A co z rewizjonistami w PZPR? A z przodownikami pracy i tymi wszystkimi, którzy ze szczerą ochotą odbudowywali kraj po wojnie i cieszyli się z każdej uruchomionej fabryki i zbudowanego domu? Czy ktoś gotów by się do nich przyznać a jeśli tak, to kto?

Są to istotne pytania, na które odpowiedź zostanie znaleziona dopiero wtedy, kiedy w pluralistycznym społeczeństwie teraźniejszości ukształtują się wyraźne, odrębne światopoglądowo orientacje polityczne, które dla wyrażenia swojej tożsamości wskazywać będą na powinowactwa z jednymi wątkami przeszłości i podkreślać obecność wobec innych, bliskich z kolei innym orientacjom. Póki nie będzie można jasno i wyraźnie powiedzieć, kto jest kim dzisiaj i jak w dniu dzisiejszym układają się pokrewieństwa, kto kogo akceptuje jako swego współobywatela, a kogo odrzuca, toczyć się będą gorące spory o przeszłość najbliższą, a język jej opisu pozostanie nie uzgodniony. Również w tym sensie, że nie powstaną warianty tego języka charakteryzujące poszczególne orientacje i będące ich znakami rozpoznawczymi.

We wszystkich dyskusjach o przeszłości można zasadnie widzieć kontynuację dyskusji, które zaczęły się wcześniej, jeszcze w dobie PRL, a szczególnej intensywności nabrały w latach osiemdziesiątych, w czasach rozkwitu wydawnictw drugiego obiegu. Jednak przy wszystkich podobieństwach, dostrzec można i pewną różnicę. Wówczas rewizja i dążenie do zmiany upowszechnianego ob-

razu dziejów zmierzały w pierwszym rzędzie do podważenia legitymizacji istniejącego porządku. Obecnie zadaniem pierwszoplanowym jest określenie tożsamości nowego kształtu ustrojowego. Konsekwencją tego jest mniejsze niż wówczas zainteresowanie dalszą przeszłością, której upowszechniany obraz wykorzystywany był przez ówczesny ustrój dla jego legitymizacji.

Mechanizm tego wykorzystywania był szczególnie widoczny w przekazach najbardziej elementarnego poziomu, na przykład w podręcznikach szkolnych dla klas najmłodszych. Ich analiza przeprowadzona przeze mnie ujawniła cztery charakterystyczne cechy zawartego w nich obrazu przeszłości Polski.

Po pierwsze, cała przeszłość ukazywana była jako proces postępu, przy czym nie był to proces, który będzie ciągnął się bez końca, ale kończący się realizacją tego co istnieje dzisiaj. Współczesna, socjalistyczna Polska przedstawiana była jako kraj spełnionych marzeń, o cechach zrealizowanej utopii, w której czas ulega zatrzymaniu.

Po drugie, poczesne miejsce w opisie dziejów Polski zajmował opis zagrożeń. Dzieje Polski ukazywane były jako kolejne, takie same w swej istocie walki z wrogiem, jako kolejne wzmacnianie się po okresach zagrożenia, jako kolejne zrywy wolnościowe, będące jak gdyby powtórzeniem poprzednich walk z najeźdźcą, kolejne wybuchy pragnień, tęsknot, i nadziei, które zostają w pełni zrealizowane i zaspokojone dopiero w teraźniejszości, kiedy to powstanie Polski Socjalistycznej przynosi zwycięstwo ostateczne i kres wszelkich zagrożeń.

Po trzecie, z obrazu dziejów wyeliminowane były wszelkie przejawy rozbieżności interesów, konfliktów, a także różnicowania i pluralizmu. Dawne polskie społeczeństwa przedstawiane były jako zwarte, pozbawione konfliktów wspólnoty przeniknięte duchem patriotyzmu.

Po czwarte, silny nacisk kładziono na jedność grupy narodowej. W opisie dziejów dominował podział na swoich i obcych spoza wspólnoty. Nie wspominało się o przedstawicielach innych grup etnicznych, współzamieszkujących z Polakami te same ziemie i będących współobywatelami tego samego wielonarodowego ongiś państwa. Jednocześnie to, co „obce”, było wyraźnie zaborzane ujemnie, a to co „swoje” – dodatnio.

To skrótowne wyliczenie pokazuje skryty za obrazem przeszłości system wartości, w sposób widoczny rozbieżny z tym, który chcielibyśmy dziś propagować dla wsparcia konstrukcji nowego, demokratycznego i pluralistycznego ładu, a także budowy państwa dążącego do Europy. Pokazuje również, że dyskusji o dalszej przeszłości, a w każdym razie o programach nauczania o niej w szkołach, odkładać nie możemy.

III.

Podjmując z kolei rozważania dotyczące potocznej pamięci przeszłości, zacząć chcę od dwu uwag. Otóż zauważyć należy po pierwsze, że pamięci tej nie można w żadnym razie traktować jako prostego odbicia treści propagowanych i upowszechnianych. Treści te bowiem na poziomie odbiorcy są poddawane selekcji, a następnie nierzadko układają się w inne wzory, niż te, które występują na poziomie pamięci upowszechnianej. Problem relacji pomiędzy tym, co jest upowszechniane, a co zostaje przez odbiorców przyjęte i tak lub inaczej przetworzone, dotyczy zresztą nie tylko pamięci przeszłości, ale wszystkich treści świadomości społecznej. Nie wchodząc bliżej w tę zawiłą kwestię, zaznaczę jedynie, że pamięć potoczną rozpatruję jako twór samoistny i nie pytam

o jego pochodzenie ani nie zastanawiam się, w jakiej mierze jest odbiciem treści upowszechnianych.

Po drugie pragnę wyjaśnić, kogo moim zdaniem należy rozpatrywać jako podmiot potocznej pamięci społecznej. Otóż jeśli interesujemy się zasięgiem informacji o faktach i postaciach przeszłości, czy skutecznością nauczania historii i poziomem wiedzy historycznej, wówczas zasadne jest uczynienie przedmiotem uwagi całej populacji. Jednakże jeśli interesuje nas coś więcej, nie tylko poziom wiedzy, ale kształt potocznej pamięci przeszłości, jej wewnętrzne konfiguracje oraz mechanizmy rządzące jej przemianami, wówczas przedmiotem uwagi musimy uczynić osoby mające okazję otrzymać odpowiedni zasób informacji, które następnie po swojemu przetwarzają, poddając je selekcji, interpretacji i reinterpretacji. Takimi osobami są ludzie z co najmniej średnim wykształceniem. Jest rzeczą oczywistą, że aby mieć taki bądź inny stosunek do wydarzeń i postaci przeszłości, trzeba je przede wszystkim znać. Pomijanie tej prostej prawdy stało się przyczyną nie jednego rozczarowania badawczego, tak socjologów jak i historyków.

Dlatego też w moich dalszych wywodach odwołuję się głównie do badań przeprowadzanych wśród ludzi z wyższym wykształceniem w 1965-1988 roku oraz studentów warszawskich w 1977 roku. Opierając się na badaniach, chcę scharakteryzować przemiany potocznej pamięci społecznej w okresie PRL, a następnie na tej podstawie sformułować hipotezy dotyczące tego, co dzieje się z nią obecnie. W charakterystyce tej uwzględniłam trzy sprawy: 1. zainteresowanie przeszłością, 2. obraz dawnych dziejów Polski; 3. obraz okresu PRL.

1.

W próbie z 1965 roku zainteresowanie historią mierzone złożonym wskaźnikiem orientacji historyczystycznej deklarowało 50,8% respondentów. Podstawowymi zmiennymi niezależnymi różnicującymi zainteresowania historią były wiek i zawód. Odsetek zainteresowanych historią obniżał się w sposób ciągły w miarę obniżania się wieku respondentów. W kohorcie najstarszych wynosił 67,7%, a najmłodszych 38,4%. W przypadku zawodu, zainteresowania te najczęściej występowały wśród nauczycieli (60,3%) i prawników (57,0%) a najrzadziej wśród inżynierów (38,4%). Analizy korelacyjne wykazały, że zmienne te były alternatywnymi czynnikami wpływającymi na zainteresowanie historią, co skłoniło mnie do interpretowania wieku jako wskaźnika typu kultury, w jakim respondentci wyrastali i zdobywali wykształcenie. Zmianę struktury zawodowej w młodszych kohortach uznałam za przejaw przechodzenia od kultury humanistycznej do politechnicznej i tego rodzaju zmianą tłumaczyłam występujący wśród nich spadek zainteresowań historią. Na rzecz takiej interpretacji przemawiało dodatkowo to, że zainteresowania historią deklarowało 59,4% najstarszych (urodzonych przed 1900 rokiem) inżynierów, podczas kiedy wśród najmłodszych (urodzonych po 1931) przedstawicieli najbardziej „historycznego” zawodu, nauczycieli, odsetek ten był sporo mniejszy i wynosił 49,4%. W młodszych rocznikach nasilał się także różnicujący wpływ zawodu.

Wyniki badań w populacji studenckiej w 1977 r., złożonej z osób urodzonych w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, potwierdziły tę interpretację. Dramatycznie, bo do 14,3%, spadł odsetek deklarujących zainteresowania historyczne. Nasilił się także wpływ kierunku studiów. Kazało mi to wówczas stwierdzić, że: „zaintereso-

wania historyczne coraz bardziej tracą charakter elementu ogólnego wykształcenia, stając się częścią specjalizacji zawodowej". Jednym słowem w populacji studenckiej w spadku zainteresowań historią wyraźnie widać było kontynuację wcześniejszych tendencji.

Ich znaczącą zmianę przyniósł rok 1988. Mimo, że w badanej próbie znalazły się jeszcze młodsze niż uprzednio badane roczniki, odsetek respondentów zainteresowanych historią wzrósł do 55,5%. Wzrost zainteresowań historią był jeszcze bardziej uderzający przy porównywaniu odpowiadających sobie kohort wieku z różnych prób. Tak na przykład, wśród urodzonych w latach 1931-40 odsetek zainteresowanych historią wynosił w roku 1965 38,4%, a w 1988 – 65,6%.

Co ważniejsze jednak, w próbie z roku 1988 wśród zmiennych różnicujących zainteresowania historyczne, oprócz tych samych co poprzednio zmiennych – wieku i zawodu – pojawiła się nowa zmienna: przynależność do związków zawodowych przed 13 grudnia 1981 r. Ci, którzy nie należeli do żadnego ze związków przejawiali mniejsze zainteresowanie historią, niż ci, którzy należeli do któregośkolwiek z nich. Tym, co różnicowało częstość występowania tych zainteresowań były więc nie określone opcje polityczne, ale aktywne zaangażowanie w życiu politycznym, czego wskaźnikiem była przynależność do ówczesnych, opozycyjnych względem siebie i silnie upolitycznionych związków zawodowych.

O skali zainteresowania przeszłością w owych latach świadczy też to, że 78% respondentów przyznało się do rozmów na tematy historyczne w kręgu rodziny i znajomych. We wszystkich tych rozmowach występowały tematy, o których oficjalne środki przekazu milczały – wojna z bolszewikami w 1920 roku, wywózki do ZSRR w okresie drugiej wojny światowej, zamordowanie pol-

skich oficerów w Katyniu, terror okresu stalinowskiego, działalność opozycyjna w latach siedemdziesiątych, natomiast nie pojawiały się takie, które środki te upowszechniały – Gwardia Ludowa, ZWM, szlak Lenino-Berlin.

W rozmowach z rodziną i znajomymi, tak samo jak i w rozmowach z dziećmi o historii Polski – najczęściej poruszano sprawy polityczne, wojny, powstania i konspiracje. Chociaż w obu rodzajach rozmów najwięcej zajmowano się czasami od zakończenia pierwszej wojny światowej do dni dzisiejszych, to w rozmowach z dziećmi czasy dawniejsze były przedmiotem uwagi nieco częściej niż w rozmowach z rodziną i znajomymi. Można mniemać, że rozmowy z dziećmi miały na celu przede wszystkim uzupełnianie i korygowanie wiedzy przekazywanej w kontrolowanej przez państwo szkole, podczas kiedy rozmowy ze znajomymi i rodziną służyły tworzeniu uzgodnionego społecznie języka opisu najbliższej przeszłości, alternatywnego w stosunku do tego, jakim posługiwała się oficjalna propaganda. W stosunku do dalszej przeszłości nie było potrzeby jego tworzenia, gdyż istniał język, wykształcony w dawniejszych, przedkomunistycznych czasach i można było z niego korzystać jeśli chciało się o tym, co było kiedyś, mówić inaczej niż życzyła sobie tego aktualna władza państwowa.

Prowadzi to do wniosku, że **ożywienie życia politycznego i panujące w nim napięcia sprzyjają wzrostowi zainteresowań przeszłością na poziomie świadomości potocznej.**

2.

Jeśli idzie o obraz dawnych dziejów Polski w pamięci społecznej, to w roku 1965 dojrzeć w nim można było

przejawy niejakiej akceptacji nowego, socjalistycznego porządku, aczkolwiek w stopniu daleko nie zadowalającym z punktu widzenia wprowadzających ten porządek. Akceptacja ta bowiem przejawiała się najczęściej w sposób, który każe ją interpretować jako poszukiwanie możliwości pogodzenia się z tym, co postrzegane było jako nieuniknione podobnie jak to miało miejsce w koncepcji realizmu politycznego, rozwijanej kilka lat wcześniej na łamach prasy reprezentującej środowiska niezbyt entuzjastycznie nastawione do nowego ustroju¹, ale szukające w nim jakiegoś miejsca dla siebie.

W deklarowanych przez respondentów zainteresowaniach poszczególnymi epokami historii Polski, w wymienianiu szczególnie cenionych postaci historycznych, w faktach wskazywanych jako powód do dumy oraz wstydu Polaków dostrzec można odpowiednik wizji przeszłości, która towarzyszyła wspomnianej koncepcji realizmu politycznego. W obu wypadkach wyraźnie zaznaczał się zwrot ku czasom najdawniejszym, czasom początków państwa oraz Polski przedrozbiorowej z jednoczesną niechęcią do romantycznego, dziewiętnastowiecznego wieku i krytyczną oceną dziewiętnastowiecznych powstań, w których widziano przede wszystkim próżne zrywy zakończone klęską i których głównym efektem były ogromne straty i bezmiar cierpień.

W następnych latach ulegało zmianie. Jej oznaki pojawiły się w badaniach przeprowadzonych w latach siedemdziesiątych wśród studentów warszawskich. Wykazały one, że zniknął „realizm polityczny” – zainteresowania zamiast ku Polsce przedrozbiorowej zaczęły się zwracać ku wiekowi XIX, straciły popularność takie wartości jak rozwój gospodarczy i reformy społeczne, zaś zyskała walka zbrojna i niepodległość oraz wszystkie postaci je uosabiające, w tym przede wszystkim Józef Pił-

sudski, którego jako szczególnie cenioną postać wskazywało uprzednio 13% respondentów, zaś obecnie czyniło to 20%.

Najpełniej jednak zmiana ta ujawniła się w 1988 r., kiedy to kształt potocznej pamięci społecznej uległ zasadniczej zmianie w porównaniu z rokiem 1965. Najbardziej cenioną postacią stał się Józef Piłsudski, wskazywany przez 47% respondentów, dwukrotnie częściej niż następny z kolei Tadeusz Kościuszko, który uzyskał tym razem tylko 20% wskazań (uprzednio 35%); rocznicą, którą najczęściej chciano obchodzić stał się 11 listopada (77% wskazań), wymieniany dwukrotnie częściej niż następna rocznica – 3 maja. Natomiast rocznica 22 lipca, którą w 1965 roku miało ochotę obchodzić 29% respondentów, miała w 1988 roku już tylko 6% zwolenników.

Z potocznej pamięci społecznej w roku 1988 zniknęło to wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu było i mogło być wykorzystywane dla legitymizacji komunistycznego państwa. Nie była to jednakże jedyna zmiana. Zauważalny był także znaczny spadek popularności postaci związanych z działalnością na polu nauki i kultury, a wraz z tym samej wartości nauki i kultury. Wśród wzorów tradycji na pierwszy plan wysunął się wzór tradycji legitymizującej alternatywne w stosunku do komunistycznego państwo, którego centralną postacią stał się Józef Piłsudski, a centralnym wydarzeniem odzyskanie niepodległości w 1918 roku. Wzór ten uległ znacznemu rozbudowaniu, a sama wartość „silne państwo” stała się wartością naczelną.

3.

Zobaczymy z kolei, jakim zmianom ulegało postrzeganie PRL w kolejno badanych próbach.

W 1965 roku okres PRL miał całkiem nieźle notowania. Dwudziestolecie powojenne 44,6% respondentów oceniło wyżej niż międzywojenne, 31,8% oba jednakowo, a tylko 15,1% wyżej okres międzywojenny.

Odpowiadając na pytanie, co w powojennym okresie zasługuje na ocenę negatywną, najczęściej wskazywano stalinizm (40,2%), a następnie błędy i wady gospodarki oraz polityki gospodarczej (35,4%), a także wady systemu politycznego i brak swobód demokratycznych (21,6%). Niesuwerenność narodu pod względem liczby wskazań znalazła się dopiero na siódmym miejscu (8,9%). Wskazując z kolei pozytywne zjawiska z tego okresu najczęściej wymieniano osiągnięcia gospodarcze i odbudowę kraju (61,1%), a w dalszej kolejności osiągnięcia w dziedzinie kultury, nauki i oświaty (48,0%), nacjonalizację przemysłu (34%) oraz zdobycze socjalne, likwidację bezrobocia, podniesienie dobrobytu (24,7%). Dołączmy do tego wskazania zdobyczy socjalnych, ujęte w zabarwionej politycznie kategorii „ustrój sprawiedliwości społecznej, powołanie PKWN”, których było 17,2%, a uzyskamy pełny obraz odnajdywanych w PRL powodów do zadowolenia.

Ogólnie rzecz biorąc, respondentom w 1965 roku łatwiej przychodziło wymieniać plusy niż minusy tego okresu. Pierwszych wymieniali średnio 2,3, zaś drugich 1,3.

W odpowiedzi na pytanie: jakie fakty i wydarzenia stanowią powód do dumy Polaków, pojawiały się też pochodzące z okresu PRL. Obejmująca je kategoria „osiągnięcia PRL” uzyskała 9,9%, wskazań. Podobny odsetek (9,7%) uzyskały wskazania pochodzących z tego okresu zjawisk wymieniane w odpowiedzi na pytanie o fakty i wydarzenia stanowiące powód do wstydu Polaków.

W 1965 roku wśród przynoszących ujemne fakty i wydarzenia, na pierwszym miejscu znalazł się rozkład pań-

stwowości w XVIII w. oraz rozbiory w XVIII w. (39,5%), a na dalszych miejscach aneksja Zaozlia (25,5%) i Targowica (21,4%). W sumie w 1965 roku ocena PRL na tle naszych dziejów wypadła nie najgorzej.

Stopniowo, wraz z upływem lat, obraz PRL nabierał coraz ciemniejszych barw. W 1977 roku wśród budzących dumę faktów, odsetek wskazań osiągnąć PRL zmalał do 6,0%, a wśród faktów stanowiących powód do wstydu wprawdzie wzrósł niewiele, do 13%, ale i tak wystarczyło to, by tego rodzaju wskazania wyprzedziły wskazania Targowicy i aneksji Zaozlia jako powodów do wstydu. Częściej wskazywano rozbiory wraz z poprzedzającym je rozkładem państwowości.

W 1988 roku odsetek wskazań „osiągnięcia PRL” obniżył się jeszcze bardziej do 3,0%. Były to niemal wyłącznie wskazania odbudowy kraju po wojnie (2,3%). Jednocześnie odsetek wskazań zjawisk z okresu PRL jako faktów stanowiących powód do wstydu nie tylko bardzo wzrósł do (29,8%), ale wymienianie ich było częstsze niż jakichkolwiek innych powodów do wstydu. Wzrost ujemnych ocen tego okresu nie był rezultatem intensyfikacji i upowszechnienia się krytycyzmu w stosunku do tego, co również uprzednio było oceniane negatywnie, ale pojawienia się nowych, ujemnie ocenianych wydarzeń: interwencji w Czechosłowacji w 1968 r. (9,1%) oraz stanu wojennego wraz ze zdławieniem Solidarności (8,3%). Okres stalinowski, działalność UB, prześladowania AK uzyskały w 1988 r. 11,2% wyborów, a więc odsetek niewiele większy niż wynosił we wcześniejszych badaniach odsetek wskazań faktów z okresu PRL jako przynoszących wstyd.

Tak więc w miarę trwania PRL przybywało zjawisk ocenianych ujemnie, nie przybywało ocenianych dodatnio – w każdym razie związanych z jego ustrojowym funkcjonowaniem, albowiem pojawiły się w tym okresie

takie powody do dumy jak wybór Karola Wojtyły na papieża (4,7%) oraz Solidarność (8,1%).

Warto też wspomnieć, że wymieniane jako przynoszące ujmę wydarzenia z późniejszego okresu istnienia PRL były w 1988 r. znacznie bardziej „gorące” politycznie niż wcześniejszy stalinizm, co do oceny którego nie występowały już w tym czasie wyraźne rozbieżności. Stosunku do niego nie różnicowała ani przynależność do PZPR, ani do związków zawodowych, podczas kiedy zarówno stosunek do interwencji w Czechosłowacji jak i do stanu wojennego był przez te zmienne różnicowany.

Znajomość przemian zarówno obrazu dawnej przeszłości Polski, jak i postrzegania okresu PRL na przestrzeni objętych badaniami lat pokazuje, że potoczna pamięć społeczna zmieniła się, zanim nastąpiły zmiany ustrojowe. Prowadzi to do wniosku, że **zmiany potocznej pamięci społecznej są nie tyle pochodną zmian ustrojowych, co ich zapowiedzią i wstępem do nich.**

IV.

Pozostaje pytanie, co na poziomie potocznej pamięci społecznej dzieje się obecnie, to jest w czasach dogłębnej transformacji społecznoustrojowej, w momencie, kiedy najistotniejsze zmiany już się dokonały, a dalsze są w toku. Na podstawie znajomości mechanizmów pamięci społecznej, jak również uzyskanej wiedzy o przemianach potocznej pamięci społecznej w okresie PRL sformułować można dwie hipotezy:

1. **Z chwilą, kiedy zmiana ustrojowa zostaje dokonana, słabną zainteresowania przeszłością.** Dzieje się tak z kilku przyczyn:

Po pierwsze dlatego, że kiedy dyskurs polityczny może być toczony wprost, bez historycznych masek i kostiumów, zamiera potrzeba posługiwania się językiem symboli historycznych.

Po drugie dlatego, że kiedy podstawowa zmiana zostaje wywalczona, słabnie powszechność zaangażowania politycznego, które ma znaczący wpływ na zainteresowania przeszłością.

Po trzecie dlatego, że zmiany dokonujące się obecnie dotyczą w pierwszym rzędzie gospodarki. Dotychczasowe badania wykazały, że tak jak zainteresowania polityką łączą się z zainteresowaniami historią, tak zainteresowania gospodarką są z nimi rozbieżne.

2. **W miarę upływu czasu, wraz z tym, jak uwaga społeczna skupia się na gospodarce, a co za tym idzie na teraźniejszości i przyszłości, stygną emocje, które budziły wydarzenia przeszłości. Również tej najbliższej.**

Dają się już zauważyć pewne przejawy tego stygnięcia. W przeprowadzonych w grudniu 1994 roku badaniach CBOS-u, dotyczących oceny stanu wojennego z perspektywy trzynastu lat, 54% respondentów uznało decyzję o jego wprowadzeniu za słuszną, przy czym tylko 16% przyznało, że tak samo oceniał ją i wtedy, natomiast 59% stwierdziło, że wówczas oceniał ją negatywnie.

Innego sygnału tego rodzaju dostarczają badania przeprowadzone w wojsku przez Wojskowy Instytut Badań Socjologicznych w grudniu 1993 r. W 1988 r. zestaw wydarzeń wymienianych jako nadmiernie eksponowane, obejmował udział Polaków w Rewolucji Październikowej, walki Polaków na froncie wschodnim II wojny światowej, powojenne walki o utrwalenie władzy ludowej. W 1993 roku, jako nadmiernie eksponowane wy-

mieniano wojnę 1920 roku, walki AK, Katyń, walki NSZ, walki Polaków na froncie zachodnim. W tymże samym roku, wśród wydarzeń historycznych, przemilczanych w przekazach o przeszłości wojennej, pojawiły się nieobecne wówczas walki I i II Armii Wojska Polskiego na wschodnim froncie II wojny światowej i to z 44% wskazań¹.

Kończąc, pragnę wyrazić przekonanie, że obecnie walka o pamięć społeczną toczyć się będzie przede wszystkim na poziomie pamięci upowszechnianej i głównie wśród polityków reprezentujących różne orientacje polityczne, dla których rzeczą ważną jest określenie własnej tożsamości i prawomocności swoich roszczeń do sprawowania władzy. Towarzyszyć temu będzie rosnąca obojętność zaabsorbowanych innymi sprawami obywateli, z wyjątkiem tych, którzy interesują się i emocjonują polityką.

Przypisy

1 David Middleton, Derek Edwards, *Collective Remembering*, London-Newbury Park-New Delhi, 1990, s. 10.

2 Carlos Pereyra, *Po co nam historia?* w: *Po co nam historia?*, Warszawa 1985, s. 25.

3 David Thelen, *Introduction: Memory and American History*, w: *Memory and American History*, idem (ed) Bloomington and Indianapolis 1990, s. XV.

4 Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1989.

5 Zob. Stanisław T. Bębenek, *Myślenie o przeszłości*, Warszawa 1981, rozdz. I.

6 *Sprawozdanie z badań na temat: „Ciągłość i zmiana potocznej pamięci przeszłości wojennej w środowiskach wojskowych”*, opracował mjr dr Józef Lipiec, MON, Wojskowy Instytut Badań Socjologicznych, Warszawa, grudzień 1993.

Tomasz Żukowski

Świadomość historyczna Polaków w połowie lat dziewięćdziesiątych

Dzięki referatowi prof. Barbary Szackiej poznaliśmy ewolucję świadomości historycznej Polaków w czasach PRL i w początkach demokratycznej transformacji. Spróbujmy uzupełnić ten obraz o kolejną, najnowszą fotografię społecznego myślenia o przeszłości. Czy dziś Polacy interesują się historią? Jakie postacie w dziejach naszego kraju cenią najbardziej? Z których wydarzeń historycznych są dumni, które zaś – ich zdaniem – przynoszą naszemu narodowi ujmę? Odpowiedzi na te pytania – stawiane od kilku dziesięcioleci przez prof. Szacką w jej kolejnych badaniach – przyniósł sondaż Ośrodka Badań Opinii Publicznej z marca 1996*.

Czy interesujemy się historią?

Okazało się, że przeciętnych Polaków ciekawia tylko

* Sondaż Ośrodka Badań Opinii Publicznej z 9-12 marca 1996 roku. Zbadano 1109 losowo wybranych mieszkańców kraju od 16 roku życia. Błąd statystyczny dla takiej wielkości próby nie przekracza +/-3% przy wiarygodności oszacowania równej 95%. Badanie zostało zrealizowane dla potrzeb telewizyjnych „Wiadomości”. Jego wyniki zostały przedstawione 30 marca w głównym wydaniu „Wiadomości”, a następnie w komunikacie OBOP „Świadomość historyczna Polaków” z kwietnia 1996 r.

najważniejsze problemy związane z przeszłością ich kraju. Duże zainteresowanie historią deklarowała jedna piąta ankietowanych.

Jak określił(a)by Pan(i) swoje zainteresowanie historią?

bardzo duże; interesuje mnie prawie wszystko, co dotyczy historii	7%
duże; interesuje mnie wiele zagadnień związanych z historią	14%
średnie; interesują mnie tylko najważniejsze problemy związane z historią	43%
niewielkie; raczej nie interesuję się historią	22%
żadne; praktycznie historia mnie nie interesuje	14%

Przypomnijmy, że w roku 1987 (czyli prawie jedna dekadę wcześniej) duże zainteresowanie historią deklarowało nieco mniej, bo 16% osób badanych przez CBOS. Tak więc **przypuszczenie, że zmiana ustroju doprowadzi do spadku zainteresowania Polaków historią, nie potwierdziło się**. Między opiniami z lat 1987 i 1996 nie ma jakościowych różnic.

Największy wpływ na odpowiedzi badanych miał poziom ich wykształcenia. O dużym lub bardzo dużym zainteresowaniu ojczystą przeszłością mówiło 50% osób z wykształceniem wyższym, 24% ze średnim, 16% z zasadniczym zawodowym i 12% – z podstawowym. Historia w ogóle nie ciekawiła 3% absolwentów wyższych uczelni i aż 29% ludzi po podstawówkach.

Największe zainteresowanie przeszłością przejawiali ludzie lepiej sytuowani materialnie, z dużych miast, mężczyźni, zaś wśród głównych grup społeczno-zawodowych kierownicy i specjaliści, emeryci oraz prywatni przedsiębiorcy. Najmniej ciekawiła historia bezrobotnych, rolników, ludzi z wykształceniem podstawowym, mieszkańców wsi, osoby bez wykrystalizowanych poglą-

dów politycznych. Potwierdza się fakt, że brak zainteresowania polityką wiąże się z mniejszą wiedzą o przeszłości swego kraju.

„Społeczny ranking wielkich”

Jakie postacie w dziejach Polski cenią ludzie najbardziej? OBOP poprosił badanych o samodzielne (*pytanie miało więc charakter otwarty*) wskazanie trzech takich osób. Przyjrzyjmy się liście faworytów opinii publicznej. Otwiera ją marszałek Józef Piłsudski, którego wymieniła jedna trzecia ogółu ankietowanych. Kolejne miejsca zajęły dwie postacie współczesne, ciągle aktywne w życiu publicznym: Lech Wałęsa (19%) i Jan Paweł II (16%). Już mniej popularni są Tadeusz Kościuszko (10%) oraz dwaj monarchowie: Władysław Jagiełło (8%) i Kazimierz Wielki (8%). W „pierwszej dziesiątce” – by użyć języka sportowej rywalizacji – znaleźli się także (choć z niewielką liczbą wskazań) Jan III Sobieski, Kazimierz Wielki, Wojciech Jaruzelski i Bolesław Chrobry.

Na naszej liście dominują więc „ludzie walki”: o niepodległość, wolność, suwerenność, przeciw wrogim sąsiadom, także komunizmowi.

Wskazania osób z różnym wykształceniem były bardzo podobne. Wspólnymi faworytami ludzi z wykształceniem wyższym, średnim i podstawowym byli Józef Piłsudski, Lech Wałęsa i Jan Paweł II.

Jakie postacie w dziejach Polski ceni Pan(i) najbardziej?

(można było wskazać trzy osoby)

Józef Piłsudski	33%
Lech Wałęsa	19%
Jan Paweł II	16%
Tadeusz Kościuszko	10%

Władysław Jagiełło	8%
Kazimierz Wielki	8%
Jan III Sobieski	5%
Wojciech Jaruzelski	5%
Bolesław Chrobry	4%
Władysław Sikorski	4%
inne postacie	42%
nie wiem, trudno powiedzieć, nie ma nikogo takiego	22%

W porównaniu z rokiem 1987 lista najwyższej cenionych uległa niemal całkowitej zmianie. Pierwsze miejsce w tym specyficznym „wyścigu” o względy opinii publicznej zajmował dziewięć lat temu Tadeusz Kościuszko (36%), wyprzedzający zdecydowanie króla Jagiełłę (14%), nieobecnego dziś w pierwszej dziesiątce Mikołaja Kopernika (13%) oraz marszałka Piłsudskiego (12%).

Jak widać, w ciągu ostatniego dziesięciolecia z listy znikła większość wielkich postaci ze sfery kultury, gospodarki i nauki lansowanych w czasach PRL w ramach „pozytywistycznej” wizji „jedności moralno-politycznej narodu”. Jednocześnie kontestatorska, głównie inteligencka, wizja historii z lat osiemdziesiątych, w której miano głównego bohatera narodowego przypadało Józefowi Piłsudskiemu, upowszechniła się we właściwie wszystkich grupach i kategoriach badanych. Praktycznie w całym społeczeństwie występuje dziś jakościowo taka sama struktura myślenia o przeszłości. Nawet wśród ludzi o poglądach wyraźnie lewicowych, najpopularniejszymi postaciami z przeszłości są Piłsudski i Jan Paweł II. Tylko w niewielkiej, kilkuprocentowej grupie osób, które **zdecydowanie** pozytywnie mówią o czasach PRL z Piłsudskim zrównuje się Wojciech Jaruzelski.

I jeszcze jedna, dość oczywista, konstatacja. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło swoją „wymianę pokoleniową” ulubionych bohaterów Polaków. Popularność posta-

ci sprzed XIX wieku maleje, osób z czasów nam bliższych – rośnie.

Z czego jesteśmy dumni,...

Przyjrzyjmy się teraz wydarzeniom historycznym, które – w świadomości Polaków – mogą stanowić powód do dumy. O istnieniu takich faktów przekonana jest – dodajmy – zdecydowana większość badanych – 76%. Przeciętnego zdania jest 8% ankietowanych, zaś pozostali (16%) uchylają się od odpowiedzi.

Fakty w dziejach Polski, z których Polacy mogą być dumni (można było wskazać kilka faktów)

rok 1989, odejście od komunizmu, powrót demokracji, zwycięstwo „Solidarności”, powstanie III RP	29%
udział Polaków w walkach z okresu II wojny światowej	28%
w tym:	
organizacja i walki żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie	5%
powstanie warszawskie	4%
kampania wrześniowa	3%
ruch oporu, partyzantka	2%
walki LWP (Lenino – Berlin)	1%
walki żołnierzy polskich na frontach II wojny światowej (ogółem)	13%
powstania narodowe (ogółem)	17%
w tym:	
powstanie listopadowe	2%
powstanie styczniowe	2%
powstanie kościuszkowskie	1%
opór przeciw zaborcom	2%
powstania narodowe (ogółem)	10%

wydarzenia związane z odzyskaniem niepodległości po okresie zaborów	11%
w tym:	
odzyskanie niepodległości w roku 1918	9%
powstania śląskie, wielkopolskie	1%
walki Legionów Piłsudskiego	1%
wybór Karola Wojtyły na papieża	8%
bitwa pod Grunwaldem	8%
sierpień 1980 r., okres pierwszej „Solidarności”	5%
Konstytucja 3 Maja	4%
bitwa pod Wiedniem (1683)	4%
wojna polsko-radziecka 1920	4%
odbudowa Polski po II wojnie światowej	2%
osiągnięcia naukowe wybitnych uczonych i odkrywców	2%
inne wydarzenia	20%
trudno powiedzieć	6%
	N=855

Głównym powodem do dumy są dla Polaków wydarzenia związane z odrzuceniem komunizmu i powrotem do demokracji, a więc rokiem 1989 (i – już rzadziej wskazywanym – okresem lat 1980-81).

Sporo osób przywołuje też wydarzenia z lat drugiej wojny światowej, znacznie chętniej sięgając przy tym do tradycji państwa podziemnego i sił zbrojnych na Zachodzie, niż faktów z historii obozu komunistycznego (AL, LWP).

W świadomości historycznej tkwią nadal wydarzenia z czasów powstań narodowych XIX wieku i odzyskiwania niepodległości po I wojnie światowej.

Zwraca uwagę fakt, że wśród wydarzeń z okresu PRL dominują te związane z „Solidarnością”, odrzucaniem komunizmu. Zdarzenia mogące przemawiać na korzyść owej epoki wymieniano rzadko. Relatywnie najczęściej (tylko 2% wskazań) wspomniano odbudowę kraju po II wojnie światowej.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych dumni byliśmy przede wszystkim z różnych wydarzeń wiążących się z II wojną światową (zwłaszcza powstania warszawskiego, kampanii wrześniowej, walk wojsk polskich na Zachodzie). Łącznie wymieniało je 30-40% badanych. Drugie miejsce (a pierwsze – gdy chodzi o pojedyncze zdarzenie) zajmowała bitwa pod Grunwaldem (26%), trzecie – powstania narodowe z XIX wieku.

Ostatnia dekada doprowadziła więc do wyraźnej modyfikacji świadomości historycznej Polaków. Zdarzenia z roku 1989 zepchnęły okres wojny światowej i powstania na dalsze miejsca w hierarchii narodowych dum. Potwierdza się teza o „wymianie”, „uwspółcześnieniu” postaci i wydarzeń współtworzących „skarbiec historyczny” Polaków. Proces ten pozwala wyjaśnić także gwałtowny spadek (z 26% do 8%) popularności bitwy pod Grunwaldem. Można jednak przypuszczać, że zacieranie się symboliki roku 1410 wynika również z czegoś innego: jakościowych zmian w społecznym myśleniu o relacjach Polski z sąsiadami, z zanikania lansowanych w czasach PRL stereotypów niemieckiego zagrożenia i wspólnej walki Słowian przeciw germańskiej agresji. Potwierdzeniem tej hipotezy są badania OBOP z lat dziewięćdziesiątych, rejestrujące poprawę społecznego wizerunku Niemców i Niemiec.

...czego się wstydzimy?

Wskazywanie tego, co wstydlive, jest dla Polaków – jak pewnie dla każdego narodu – dość kłopotliwe. Na pytanie, czy są w dziejach Polski fakty, które przynoszą nam ujmę, „tak” odpowiada nieco ponad połowa badanych (57%). Jedna piąta istnieniu takich faktów zaprzecza

(19%), jedna piąta (24%) wybiera odpowiedź „trudno powiedzieć”.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych Polacy wstydzieli się przede wszystkim rozbiorów, Targowicy i stanu wojennego z lat 1981/82.

Dziś nasi rodacy wstydzą się czego innego: rządów partii komunistycznej. Wymieniają przy tym represje władz PRL w stosunku do opozycyjnej części społeczeństwa (w czasach stalinizmu, w okresie stanu wojennego), błędną politykę (w tym gospodarczą) kolejnych rządów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, interwencję LWP w Czechosłowacji w 1968 roku. Rządziej wskazywano fakty z czasów końca I Rzeczypospolitej: rozbiory, konfederację targowicką, ówczesne osłabienie państwa.

Dla pewnej części badanych powodem do wstydu są negatywne cechy Polaków (pijaństwo, kłótniowość, nietolerancja), zwłaszcza zaś wady polskich elit politycznych.

Fakty w dziejach Polski, które przynoszą Polakom ujmę

(można było wskazać kilka faktów)

rządy partii komunistycznej w latach stalinizmu (1944-56),	
w tym represje	14%
rozbiory	9%
„sprawa Oleksego”	9%
konfederacja targowicka	8%
stan wojenny, represje w stosunku do „Solidarności”	7%
zwycięstwo Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich	6%
konflikty polityczne (kłótnie polityków, rozgrywki polityczne)	6%
negatywne cechy Polaków (pijaństwo, kłótniowość, nietolerancja itp.)	4%
prezydentura Wałęsy	4%
polityka władz PRL w latach 60-tych, 70-tych, w tym błędy gospodarcze	4%
udział wojsk polskich w interwencji w Czechosłowacji	4%
osłabienie państwa w XVII/XVIII wieku	3%
zwycięstwo SLD i PSL w wyborach parlamentarnych 1993 r.	3%

zajęcie Zaolzia	2%
podporządkowanie ZSRR	2%
łamanie prawa przez Polaków, przestępczość	2%
naganne zachowania Polaków za granicą	2%
inne wydarzenia	28%
trudno powiedzieć	11%
N=651	

Na liście pojawiły się – jak widać – również wydarzenia polityczne z ostatnich kilku lat, w tym te najbardziej aktualne: z końca 1995 r. i początku 1996 r. Najczęściej wskazywane wśród nich były „sprawa Oleksego”, zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego czy prezydentura Lecha Wałęsy.

Nie ulega wątpliwości, że obecność tych trzech ostatnich faktów na liście „wstydu” wynika nie tylko z ich historycznego znaczenia, ale również (przede wszystkim?) z naturalnego „skrzywienia” świadomości społecznej, przypisującej wydarzeniom najnowszym, zwłaszcza tym budzącym polityczne emocje, wagę większą od zdarzeń, które przeniosły się z telewizyjnych wiadomości i z gazet na karty podręczników historii. Pozycja owych „gorących” faktów na naszej liście będzie musiała zostać zweryfikowana przez czas, który ułokuje je w innej, szerszej perspektywie.

Antykomunizm i peerelowskie sentymenty

Podsumowując dotychczasowe rozważania zauważmy, że w pamięci społecznej dominują osoby i fakty związane z walką o suwerenność, przeciw komunizmowi. Są tu Piłsudski, Wałęsa, rok 1980, 1990. Wstydzi się stalinizmu, stanu wojennego. Nie ulega wątpliwości, że środowiska polityczne związane z PZPR przegrały wieloletnią walkę o przeszłość, o świadomość historyczną Polaków.

To ogólne stwierdzenie warto jednak uzupełnić o wyniki jeszcze jednego, już ostatniego, pytania zadanego przez OBOP, a dotyczącego ogólnego stosunku Polaków do czasów PRL. Pozytywnie oceniło je 42% badanych, negatywnie – 49%. Opinie korzystne dla PRL przeważały wśród mieszkańców wsi, osób z wykształceniem podstawowym, czterdziestolatków, zwolenników lewicy i centrolewicy. Najkrytyczniejsze wobec Polski Ludowej były osoby lepiej wykształcone, z większych miast, o prawicowych poglądach politycznych.

Wśród różnych pokoleń najgorzej o PRL mówią najstarsze i najmłodsze. Można sądzić, że decyduje o tym charakter pierwszego doświadczenia, zyskanego w okresie wchodzenia nowych roczników w świat spraw publicznych. Najkrytyczniej o czasie komunizmu mówią pokolenia rozpoczynające dorosłe życie w czasach stanu wojennego i upadku komunizmu. Najpozytywniej o PRL mówią ludzie wchodzący w życie w latach siedemdziesiątych (okresie budowy „drugiej Polski”). Ciekawe, że osoby, które dorosły w czasach, gdy komunizm jest już historią (a więc najmłodsze) oraz pokolenia dojrzewające jeszcze przed krwawym narzuceniem Polsce tego ustroju (najstarsze) mają podobny, dość krytyczny obraz „czasów Polski Ludowej”.

Powtórzmy raz jeszcze: oceny krytyczne czasów PRL tylko nieznacznie przeważają nad pozytywnymi. Jak pogodzić to z faktem, że w świadomości historycznej Polaków praktycznie nie występują pozytywnie oceniane postaci i fakty związane z okresem Polski Ludowej? Z tym, że ludzie budują swój stosunek do przeszłości na potępieniu komunizmu i pochwalę jego obalenia?

Owa różnica wynika z faktu, że w potocznej pamięci historycznej prócz postaci i wydarzeń związanych z losami państwa i narodu funkcjonuje także doświadczenie

życia codziennego. W konfrontacji z bolesnymi społecznymi początkami budowy nowej formacji pamięć pełnego zatrudnienia i większego bezpieczeństwa socjalnego z czasów PRL musi sprzyjać życzliwemu spoglądaniu w przeszłość. To przecież w czasach kapitalizmu pojawiło się masowe bezrobocie, pogorszyły się warunki życia milionów osób, zwiększyły się społeczne dystanse.

Stąd ludzie mówiąc krytycznie o najważniejszym – również dla nich – wymiarze historii najnowszej Polski: braku suwerenności i demokracji, relatywizują negatywny obraz PRL – przynajmniej częściowo – na poziomie doświadczeń życia codziennego.

Podsumowanie: o przyszłości sporów o przeszłość

Na koniec postaram się odnieść do hipotez przedstawionych w tekście prof. Szackiej. Omawiane badania raczej ich nie potwierdzają. Po zmianie ustroju zainteresowanie historią nie maleje. Nie da się też zauważyć procesu „stygnięcia emocji”, chłodnięcia temperatury debat o przeszłości. O historii myślą nie tylko politycy, ale też zwykli ludzie.

Te obserwacje mogą mieć związek z terminem badania. Zostało ono przeprowadzone kilka miesięcy po rozbudzaającej emocje kampanii prezydenckiej, odwołującej się chętnie do przeszłości. Przypomnieć trzeba, że zdecydowani krytycy PRL poparli wówczas jednoznacznie Wałęsę, osoby oceniające pozytywnie bilans rządów PZPR – Kwaśniewskiego.

Równie ważne jest to, że sondaż zrealizowany został w trakcie trwania angażującej większość opinii publicznej „sprawy Oleksego”.

Dopiero następne analizy – najlepiej prowadzone

w okresie „politycznej kanikuly” – pozwolą jednoznacznie ocenić zmiany społecznego zainteresowania historią polskiego społeczeństwa w epoce budowy rynku i demokracji.

Jaki wynik przyniesie takie badanie opinii? Czy ma rację prof. Szacka mówiąc, że walkę o pamięć społeczną toczyć będą w przyszłości głównie szukający tożsamości politycy, zaś społeczeństwo odnosić się będzie do tych sporów z rosnącą obojętnością?

Zapewne zainteresowanie zwykłych ludzi historią będzie mniejsze niż polityków. Zapewne nieuchronny upływ czasu – przynosząc nowe wydarzenia – będzie zacierał dzisiejsze spory o przeszłość, zamieniając je w kolejne rozdziały przyszłych podręczników historii.

O rosnącym znaczeniu nowych sporów i konfliktów świadczyć mogą nawet wyniki niedawnych wyborów prezydenckich. Osoby umiarkowanie krytyczne w stosunku do czasów Polski Ludowej podzieliły się mniej więcej pół na pół na stronników Kwaśniewskiego i Wałęsy. O ich wyborze (zwłaszcza tych pierwszych) z pewnością decydowało coś innego niż opinie o przeszłości.

Zgadzać się zatem generalnie z prof. Szacką wolalbym jednak jej tezę zmodyfikować.

- po pierwsze, proces obojętnienia społecznego na spory o przeszłość będzie postępować wolniej, niż dotąd się przypuszczało,

- po drugie, przynajmniej w ciągu najbliższych kilku lat, ów proces będzie blokowany (być może nawet odwrócony) przez układ sił na scenie politycznej. Jej zdominowanie przez osoby i ugrupowania wywodzące się z partii komunistycznej spowodowało, że symbole i podziały z przeszłości uległy regeneracji i aktualizacji. Zredefiniowane, stanowią element politycznego konfliktu o kształt przyszłości.

Krystyna Kersten

Ofiary czy współwinni?

Refleksje te nie będą dotyczyły diagnozy stanu współczesnej świadomości historycznej – to zadanie raczej socjologów niż historyków, by tak rzec tradycyjnych, operujących warsztatem właściwym tej nauce. Chcę spojrzeć na przeszłość i zastanowić się, jak funkcjonowały owe dwie tendencje w interpretacjach losów narodowych i w naszym – jak pisał Gombrowicz – „poufnym obcowaniu z Polską”. Co to atoli znaczy: Polska-ofiara? Polacy współwinni tragediom? Ofiara Historii duża literą pisanej? Ofiara zdrad, obcych knozań? Ale przecież także ofiara złożona na ołtarzu wolności: Polska jako Chrystus narodów, Polska – Winkelried narodów. Z pojęciem winy wiąże się z kolei problem odpowiedzialności.

Truizmem będzie konstatacja, że istnieje ścisły związek między daną chwilą dziejową a filozofią historii oczyszczej, jak też samoocenami Polaków, poglądami na cechy narodowe. Ocena: ofiary czy współwinni – wpisuje się również w zmieniające się konteksty ideologiczne i polityczne, stanowi część integralną wyznawanych systemów wartości. Zadziwiająca jest wszelako ciągłość myślenia o Polakach jako narodzie, „na który zwała się co chwila jedna kłesa po drugiej, któremu nieprzyjacieli nóż trzyma na gardle i depcze pierś kolanami” (Wacław Sobieski 1908). W 1946 r. w Rzymie Gustaw Herling-

Grudziński pisał: „Aktualność «Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego» jest chwilami przerażająca (...) Czyżby znowu więznąć nam miały w gardłach słowa najwyższego potępienia pod adresem «rządów i mędrków francuskich i angielskich, kupców; i handlarzy obojga narodów, łaknących złota i papieru, i pieniądź posyłających na zgębienie wolności?»”.

Mit Jałty był zakorzeniony w tradycji Polski – ofiary knowań oraz zdrad wrogów i sprzymierzeńców, despotów i „świata”. Władze RP w Londynie i poeta na uchodźstwie wyrażały głęboki zawód i rozczarowanie do sojuszników, do Zachodu, do sumienia świata, będący udziałem ogromnej części Polaków w kraju. Rząd w odezwie do narodu polskiego po utworzeniu TRJN stwierdzał: „Rządy sojusznicze Wlk. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, ten «rząd tymczasowy» mieniący się jakby na urągawisko Rządowi Jedności Narodowej mają uznać za rząd polski, mając cofnąć uznanie prawowitemu rządowi polskiemu, wiernemu towarzyszowi pięcioletniej walki o wolność narodów. (...) Polska pierwsza wystąpiła zbrojnie przeciw dążeniom hitlerowskich Niemiec”. Kazimierz Wierzyński zaś pisał: „Aż trząsało! Targu dobili i gwałtu: Raz Teheranem w łeb, drugi raz Jałtą” – i pytał: „Gdzie jest ten upiór, co przez długie lata zwodził nas wojną? To sumienie świata, co tak niezłomną sprawuje tu straż? (...) Pokażcie mi go, niech plunę mu w twarz”.

Pisał to 50 lat temu, ale do dziś utrzymuje się gotowość postrzegania sytuacji Polski na przełomie wojny i pokoju w kategoriach zdrady Zachodu, nie wykorzystanych możliwości.

Tak jak żyje idea Polski – ofiary (choć, oczywiście strzec się należy wszelkich generalizacji), tak nie wygasła skłonność do samobiczowania się, samooskarżeń, tropienia wad narodowych, jakże powszechna w naszej litera-

turze narodowej, historiografii, piśmiennictwie politycznym. W miecie Polski-ofiary mieści się wszelako również apoteoza narodu, wybranego ludu-ludów, wolności plemienia dławionego przez despotów, tych, którzy pierwsi stawili opór Hitlerowi, bohatersko walczyli na wszystkich frontach, by zostać zdradzonymi przez sojuszników. „Czyżby znowu – pisał we wspomnianym esej Herling-Grudziński – po wieku przeszło niewoli i wolności, trzeba było w Litanii pielgrzymskiej, w zwrocie «przez męczeństwo żołnierzy zaknutowanych w Kronsztadzie przez Moskali», słowo Kronsztad zamienić tylko na Katyń, a zaknutowanych na «zamordowanych strzałem w tył czaszki?»”.

W naszym kulturowym kodzie, ukształtowanym w wieku niewoli i niepodległościowych zrywów, zawsze jednak kończących się klęską, tkwi głęboko syndrom heroiczno-martyrologiczny, splatający przekonanie o największych cierpieniach, składanych na ołtarzu wolności ofiarach, bohaterskich walkach o wolność waszą i naszą, konspiracjach przeciw despotom, tyranom, totalitarnym dyktatorom, zmierzającym do panowania nad światem. Prowadzi to do swoistej konkurencji cierpień, co między innymi znajdowało wyraz w stosunku do Żydów – ofiar Zagłady, już podczas wojny (pisał o tym wówczas Ignacy Szwarzbart), zwłaszcza zaś w późniejszych latach, gdy Żydzi-komuniści stali się ważnym ogniwem sił „obcych i zagrażających”.

Samooskarżenie i apoteoza – to dwie skrajności współwystępowały i nadal współwystępują w polskim społeczeństwie. Historycy (nie mówiąc o publicystach, pisarzach, politykach wreszcie), podobnie jak 200 lat temu nierzadko w chaosie wypadków i porwani ogólnym wahaniem, raz krzyczą «jesteśmy narodem wybranym», a drugi raz «jesteście narodem najpodlejszym na ziemi»;

raz zachwycają się Polakami, którzy nie dali zniewolić swej duszy i trwali w oporze przez 50 lat, raz chłuszczą polską skłonność do anarchii, „polskie piekło”, ksenofobię. Listę owych grzechów narodowych wszyscy znamy. Skrajności wzajemnie się wzmacniają: oskarżenia krytyków wywołują gwałtowne reakcje rzeczników narodowego samouwielbienia, gloryfikatorzy narodu prowokują „pesymistów”, „szyderców”, „nihilistów narodowych”, na których liście figurować będą historycy szkoły krakowskiej obok Norwida, Olgierd Górka obok Gombrowicza.

Wydawać by się mogło, że ofiara – współwinni tragedii, to dwa pojęcia całkowicie przeciwstawne: w temacie naszych rozważań daje temu wyraz spójnik „czy”. W istocie jednak stanowią one refleks określonej wizji polskich dziejów – dziejów tragicznych, pasma klęsk, których Historia (przez duże H) nie szczędziła Polakom w ciągu ostatnich kilku stuleci, z rzadka tylko obdarzając nas (i to na krótko) „podarunkami”.

Jerzy Topolski w podręczniku dla IV klasy pisze: „Podarunek historii, czyli jak Polska odzyskała niepodległość” (w 1918 r.). W 1995 r. dzieci w szkole podstawowej dowiadują się, że „Polacy potrafilili sobie poradzić z tym podarunkiem” – zbudowali Gdynię, elektrownię w Rożnowie i hutę Stalowa Wola, kiedy nie sprzyjająca historia już po 20 latach „odbierała im ten dar”.

Przekleństwo historii, z rzadka jej uśmiech – było to fatum, leżące poza narodem; uosabiała je obce siły, na ogół nieprzyjazne i zagrażające, głównie zewnętrzne ale także i wewnętrzne (Żydzi, Niemcy, Ukraińcy, socjaliści, komuniści, masoni). Postrzeganie Polski jako ofiary było przeto brzemienne fatalizmem, groziło kapitulacją, kolaboracją, przystosowaniem, Norwidowskim „kłanianiem się okolicznościom”, biernością, utratą nadziei na możli-

wość odmiany złego losu własną pracą, walką. Znamien-na jest pod tym względem interpretacja „Jesieni Ludów” 1989 r., negująca znaczenie polskiej „Solidarności” i przypisująca rozpad imperium wyłącznie Gorbaczowskiemu „pierestrojce” – celują w tym publicyści i niektórzy historycy tzw. lewicy. Nasze klęski leżały poza nami, ale i nasze wiktorie nie naszym były dziełem. Tak jak III Rzeczypospolitą mamy zawdzięczać reformatorowi na Kremlu, tak Polska Odrodzona w 1918 r. powstać miała li tylko dzięki rewolucji w Rosji lub – wedle innych wykładni – zwycięstwu ententy i rewolucji zarazem. Zgadza się z tezą, że przypisywanie tragicznych momentów naszych dziejów „winie obcych” jest w istocie rzeczy pesymizmem – z takim twierdzeniem wystąpił Olgierd Górka w referacie „Optymizm i pesymizm w historiografii polskiej: odwrócenie pojęć”, który wywołał gorącą dyskusję na ostatnim przed wojną Zjeździe Historyków Polskich. Wedle niego, optymistyczny był pogląd „Stańczyków”, wskazujących na „winy własne”. Własne, a więc takie, których przezwyciężenie leży w mocy Polaków.

Wysunęłabym tezę, że między rolą ofiary i rolą winnych swych klęsk istniało ścisłe iunctim – uważając się za ofiary wrogów, czy też sojuszników, nie szczędziliśmy sobie (a zwłaszcza elitom – szlachcie, magnaterii, arystokracji, ziemiaństwu, inteligencji, poetom i politykom) gorzkich wyrzutów. Przywołać można dziesiątki przykładów, ukazujących współwystępowanie oskarżenia obcych i swoich, by wspomnieć spory popowstaniowe, wrzesień 1939 r., rok 1945, 13 grudnia 1981 r. O wrześniu Paweł Zaremba pisał: „Gorycz z doznanej klęski i niepewność, jakie będą dalsze koleje wojny, spowodowały skłonność do sądów krańcowych. (...) Animozje osobiste i poglądy dopełniały chaosu, z tym skutkiem, że albo potępiano

wszystko w czambuł, albo też broniąc np. polityki Becka na forum międzynarodowym, uważano przy tym za konieczne bronić działalności rządów przedwrześniowych na polu polityki wewnętrznej". Na uchodźstwie piętnowano niemal na równi sowiecki „nóż w plecy” i rząd, który opuścił kraj. W komunistycznej propagandzie wkroczenie Armii Czerwonej nie stanowiło o klęsce Polski, spowodowanej polityką „zarozumiałych kacyków kliki Becka i Śmigłego, którzy wpędziwszy kraj w ślepy zaułek nawet w tragicznym dla niego momencie odrzucili zuchwale pomoc Armii Czerwonej. I to był zasadniczy powód, dla którego ZSRR nie mógł pospieszyć Polsce z pomocą.” („Trybuna Wolności”, nr 1, 1 lutego 1942 r.)

Po powstaniu warszawskim oskarżenia aliantów i Sowietów szły w parze z atakiem na Mikołajczyka. Jałta przedstawiana jako zdrada Zachodu, triumf Rosji, nie wykluczała ataków na politykę polską: na politykę Mikołajczyka, albo na „niezłomnych”, tak jakby w polskiej mocy było w tym czasie zapobieżenie zapadającej „żelaznej kurtynie”; do dziś, wbrew ustaleniom historyków, przeciwstawia się politykę Polaków na uchodźstwie polityce Benesa, snuje się spekulacje, że porozumienie z Rosją mogłoby zmienić powojenną historię tej części Europy. Jakże skłonni jesteśmy do przenoszenia, przy interpretacji 13 grudnia 1981 r., światła reflektora z Moskwy na Warszawę, by wyeksponować winę generała Jaruzelskiego, czy szerzej – komunistów. Tendencja do piętnowania win polskich występowała najsilniej w okresach klęsk, upadku, niewoli, ale także w owych krótkich chwilach „dawanym” przez historię, kiedy rzeczywistość nie dorównywała marzeniom i oczekiwaniom. Jakże charakterystyczne były pod tym względem nastroje i po 1918 r., i po 1989 r. Knowania obcych to jakby jedna strona medalu, druga – to przekonanie, iż sami na siebie ściągnęliśmy

gnębiące nas plagi. W jednym wariantcie – my: naród, społeczeństwo, w innym – wyodrębniony segment zbiorowości na zasadzie klasowej (szlachta, magnaci, burżuazja), politycznej (sanacja, komuna), z tendencją do wyrzucania owych formacji poza obręb wspólnoty i łączenia ich z „obcymi” jako eksponentów wrogich sił lub ulegających naciskom „obcych”; tu można wspomnieć oskarżenia ze strony obozu narodowego wobec Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka o ich uległość wobec Churchilla. Przypisywanie upadku Polski winom własnym raczej niż siłom obcym sięga wieku XVII. To wtedy, w jednym z wierszy politycznych autor stwierdzał: „I następuje sześć koni w karocy. Pierwszy koń siodłowy – spustoszenie. Drugi koń naręczny – swawola. Trzeci koń lejcowy: obłuda. Czwarty koń szwarcowy – zepsucie prawa. Piąty koń forytarski siodłowy: zlekceważenie zasłużonych. Szósty koń forytarski naręczny: wyróżnienie niegodnych”. Tytuł: „Karoca nowo wystawiona panów konsyliarzów koronnych na uznanie utraconej ojczyzny i ratunku.”

Rozbiory i utrata państwowego bytu stały się przedmiotem dyskursu, który wszedł trwale w kanon polskiego myślenia o przeszłości. „Historiografia polska przedwojenna wraz z całym polskim życiem porozbiorowym ugięła się pod ciężarem utraty niepodległości – pisał w 1929 r. Józef Siemiński. – Historia polska stanęła pod znakiem pytania, dlaczego upadło państwo polskie?” Wedle niego powstanie 1863 – próba nieudana, pociągnęła za sobą „największe pogorszenie położenia” i typowe dla okresów pokłękowych nastroje. „Nie dziwne, że stąd padło światło ponure i na dzieje przedrozbiorowe, nie dziwne, że wielu miało za rzecz najważniejszą zapobiec dalszym klęskom nieobliczalnych romantycznych porywów przeciwko nieubłaganej rzeczywistości.” Szkoła

krakowska – Józef Szujski, ks. Walerian Kalinka, ale przede wszystkim Michał Bobrzyński – „położyli podwaliny pod to rozumienie dziejów, które dotychczas rzecz można – włada społeczeństwem polskim”.

Pisane to było w 1929 r., lecz taki pogląd na narodowe dzieje kształtował świadomość kilku generacji. Narodowe klęski skłaniały do krytycznych refleksji: Polska zginęła z własnej winy, bo nie wytworzyła silnej władzy, bo społeczeństwo folgowało swoim skłonnościom do anarchii, bo nie dostawało nam ducha karności i zgody. Polska uległa przemocy – bo szlachcic nie płacił podatków. Egoizm szlachty legł u podstaw ekonomicznego zacofania, powstanie styczniowe upadło, bo to car uwłaszczył chłopów, winę (a co najmniej współwinę) za stan wojenny ponosi „Solidarność”, która się nie dość samograniczała, nie dość liczyła z nieubłaganą rzeczywistością.

Zgodnie z tym, co już podkreślałam – piętnowanie polskich win nie prowadziło, jak to twierdzili antagoniści szkoły krakowskiej, do duchowego załamania, poddania się niewoli, zwątpienia w Polskę, abdykacji z dziejowej roli. Świadomość, iż źródła klęsk leżały w złym rządzie i narodowych przywarach, torowała drogę nadziei, że można je przezwyciężyć. Historycy krakowscy pisali o tym, co było złe w naszej przeszłości, „by stare złe wykorzystać i aby Polskę przez krytykę odrodzić”, stwierdzał Wacław Sobieski.

Obok wzoru: Polska – ofiara przemocy, ale Polacy współwinni, współodpowiedzialni za klęski i biedy spowodowane przez obcych, istnieje także inny: ofiara niewinna, ofiara złożona na ołtarzu. Polska jawi się tu niczym Hiob, którego Bóg (Historia) niezasłużenie doświadcza. Tu nie ma miejsca na samobiczowanie, samoskarzenie. Jeśli Polacy okazywali się współwinnymi, to

jak wspominałam, nie byli to „prawdziwi Polacy”, ale „zdraycy”, agenci, „reakcja”, faszyci, komuniści, Żydzi. W tak widzianej historii czci się klęski, tragicznym bohaterom stawia się pomniki. Obrazem narodowych cnót i minionej chwały krzepi się serca a atakiem na „szyderców” potwierdza własny patriotyzm i cementuje wspólnotę. Rzeczywiste zagrożenie narodowego bytu, brak niepodległości, lub owa niesuwerenna niepodległość powojennych 45 lat sprzyjały temu kierunkowi myślenia: krytycyzm wobec narodowej historii wpłatał się w operacje mające na celu moralne rozbrojenie polskiego oporu.

Kiedy prześledzić polskie piśmiennictwo historyczne i polityczne dwóch ostatnich stuleci, o propagandzie nie wspominając, okazuje się, że między posturzeniem Polki jako ofiary, eksponowaniem polskich przywar i niedostatków w rządzeniu państwem czy też przeciwnie – gloryfikacją narodu, a programami bieżącymi różnych obozów politycznych nie było ścisłego związku. Charakterystyczna pod tym względem jest myśl polityczna endecji, piętnująca wypaczony sposób politycznego myślenia Polaków. W 1902 r. w „Myślach nowoczesnego Polaka” Roman Dmowski pisał: „Zapowiadziawszy się w dziejach jako jeden z najpierwszych ludów Europy i gospodarz na olbrzymim, ciągle powiększanym jej obszarze, naród nasz usunął się w krótkim czasie na tyły pochodzący cywilizacyjnego, stracił prawo kierowania własnymi losami.” Na ogół wątki te były splecione – chłosta obejmowała jednych, apologia – innych. Także w komunistycznej wykładni dziejów polskich – masy ludowe, proletariatus, komuniści byli przeciwstawieni szlachcie, arystokracji, burżuazji etc.

Ostatni problem, który tu chciałabym podnieść, to psychologiczne korzenie pojmowania historii polskiej

przez przyznanie upadków i klęsk, mitu Polski – ofiary przemocy i Polski na ofiarnym stosie, oraz szukanie przyczyn klęsk we własnych winach. Wydaje się, że w micie ofiary znajdowała wyraz potrzeba uwolnienia od odpowiedzialności za wszystko co niepomyślne, naganne w przeszłości i teraźniejszości poprzez przerzucenie winy na innych: obcych, wrogich, lub przynajmniej na niepomyślny dla Polski układ międzynarodowy, fatalne położenie geopolityczne. Mit ten stwarzał alibi bierności, konformistycznym zachowaniom, ugodowym tendencjom. W wariacie ofiary na ołtarzu wolności – służył podniesieniu samooceny, wzmocnieniu nadwątlonego wskutek klęski poczucia wartości. Realna klęska zmieniała się w moralne zwycięstwo, pokonani mogli się czuć triumfatorami.

Przypisanie Polsce roli ofiary – gdyby było konsekwentne – klóciło się wszelako z wpisanym w dzieje kolejnych pokoleń imperatywem walki o sprawę narodową – różnymi zresztą środkami, w różnych formach. Z bronią w rękę i poprzez pracę „od podstaw”. Aktywność prowadziła do krytycznego spojrzenia nie tylko na teraźniejszość, ale i na przeszłość. Gombrowicz pisał o sobie jako o Polaku doprowadzonym do ostateczności przez Historię – z tego wynikały jego polskie bunty przeciw zdominowanemu przez mit ofiary i krzepiące serca gloryfikowanie cnót i zasług wielkich przodków. Odrzucenie mitu Polski – ofiary i uznanie współodpowiedzialności własnej Polaków za ich historię stanowiło też wyraz dojrzałości – tylko dojrzały naród, tak jak dojrzały człowiek szuka przyczyn swego złego losu nie w otaczającym go świecie, lecz w samym sobie.

Zakończę uwagę: wymienione przeze mnie wątki wzajemnie się spletały, prawie nigdy nie występowały (występują) w postaci czystej. Można raczej mówić

o swoistym rozdzieleniu jaźni, zawieszeniu między gloryfikacją a samobiczowaniem, między Polską – ofiarą obcych sił i Polską, której klęski wyznaczyły przewiny Polaków. Historycy współuczestniczą w tym borykaniu się z narodową historią, choć – trzeba to stwierdzić z pewnym optymizmem – w dużym stopniu reprezentują tendencję do wprowadzenia pewnej równowagi.

Andrzej Friszke

Polacy – ofiary historii czy współwinni tragediom?

Postawione w tytule pytanie jest niezręczne, przynajmniej w odniesieniu do polskich doświadczeń okresu II wojny światowej i lat powojennych. Do jakiej współodpowiedzialności za tragedie mógłby się przyznać człowiek ujęty na ulicy w łapance i wywieziony do obozu koncentracyjnego lub na ciężkie roboty? Czy można mówić o jakiegokolwiek współwinie ofiar Oświęcimia lub Katynia? Czy nieszczęściom narodowym byli współwinni żołnierze spod Monte Cassino lub powstańcy warszawscy? Już samo postawienie takich pytań brzmi absurdalnie i musi wywoływać zdecydowany sprzeciw. Tak więc z perspektywy jednostkowego losu Polaków nie można mówić o współodpowiedzialności za narodowe tragedie.

Pytanie to można postawić narodowej historii, a więc politykom, którzy podejmując ważne decyzje, stwarzali fakty, które w konsekwencji miały wpływ na losy milionów. Po klęsce wrześniowej ogromna część społeczeństwa obciążała odpowiedzialnością za przegraną obóz sanacyjny. Rząd generała Sikorskiego powołał nawet komisję, która prowadziła śledztwo, analizując winy i zaniedbania przedwojennych przywódców państwowych. Szczególną winą obciążano ministra Becka i marszałka Rydza-Śmigłego. Po latach, w miarę postępu badań historycznych, okazało się, że o winie i złej woli trudno

mówić, że przywódcy poruszali się w określonych przez rozmaite czynniki warunkowaniach, zaś decyzje były – jak zawsze w dziejach – mniej lub bardziej racjonalne. Upływ czasu wyciszył napiętności i sprzyjał bardziej obiektywnym ocenom.

Zgłaszając zastrzeżenia do postawionego w tytule pytania, godzi się zauważyć, że istniały w naszej najnowszej przeszłości momenty dziejowych zakrętów, kiedy zachowania i decyzje przywódców określały dalszy bieg historii, przynajmniej historii narodowej. Jest więc zrozumiałe, że wokół tych dziejowych zakrętów toczyły się dyskusje publicystów, polityków, a także historyków.

Zakreślony przeze mnie obszar problemów i pytań dotyczy emigracji polskiej po 1945 r., a także publicystów krajowej opozycji. Nim przejdę do bardziej szczegółowych rozważań, trzeba wspomnieć o kontekście toczonych dyskusji. Władze komunistyczne starały się wykazywać głupotę, złą wolę, brak realizmu elit politycznych związanych z Drugą Rzeczpospolitą, co było jednym z ważnych środków budowania legitymizacji rządów PRL. Wśród ludzi odczuwających więź z tradycją Polski niepodległej rodziło to naturalną postawę sprzeciwu, obrony atakowanych wartości i przywódców. Walka o obraz przeszłości była jednym z głównych frontów wojny o świadomość narodową Polaków między komunistami, a ich przeciwnikami. Wszystko to nie sprzyjało prowadzeniu rozliczeń z przeszłością, wydobywaniu momentów wstydlivych, kłopotliwych z punktu widzenia samopoczucia narodowego.

Wywodząca się wprost z elit Drugiej Rzeczpospolitej emigracja broniła tradycji tej państwowości. Spory i polemiki były często przedłużeniem kontrowersji i konfliktów przedwojennych lub toczących się w czasie wojny. Przykładem mogą być spory o politykę, Piłsudskiego,

Becka, Sikorskiego, Mikołajczyka. Tym niemniej, wszyscy uczestnicy dyskusji Drugą Rzeczpospolitą traktowali jako „kraj lat dziecinnych”, który łatwo idealizowali. Istniała tendencja do tuszowania przykrych momentów dziejów wewnętrznych, rzadko wspomniano o Brześciu czy Berezie, ostrych napięciach politycznych. Tym bardziej więc nie było klimatu do rozprawiania o polskich winach wobec mniejszości narodowych, czy szukania zrozumienia racji żydowskich, ukraińskich, litewskich (sprawa Wilna).

Niezależnie od różnic ujęć, przyczynę narodowych dramatów zapoczątkowanych w 1939 r. widziano w zaobcowości niemieckiej i rosyjsko-sowieckiej, zaś winy polskich przywódców polegały na błędach, które jednak nie mogły odwrócić fatalnego biegu wydarzeń. „Druga Rzeczpospolita była zagrożona niemal od początku przez dwa mocarstwa sąsiedzkie, których potencjał ludzki i gospodarczy niebawem stawał się znów groźny dla stanu rzeczy stworzonego w Wersalu, a które złączyła niebawem wspólna do tego stanu rzeczy nienawiść, i nienawiść ku Polsce” – pisał Marian Kukiel¹. Opinię tę, przyjmowaną na emigracji powszechnie, podzielają także dziś właściwie wszyscy historycy.

Dominowało poczucie braku zainteresowania, czy nawet zdrady ze strony Zachodu. Do takich wniosków prowadziła analiza zachowań dyplomacji zachodniej w sprawach żywotnych dla Polski w okresie 1918–21, a następnie zwłaszcza gorzkie doświadczenia z lat 1939–45. Jeden z emigracyjnych polityków wyciągał stąd następujące wnioski: „1. Zainteresowania Zachodu Polską nie wychodziły nigdy poza granice rozwiązań taktycznych. 2. Odnosząc się w zasadzie przychylnie do sprawy niepodległości Polski, polityka Zachodu nigdy jednak nie traktowała tej sprawy jako problemu szczególnej wagi dla

swych życiowych interesów. 3. Pomoc, jaką Zachód mógł, czy chciał udzielać Polsce w momentach krytycznych, była sama w sobie czynnikiem niewystarczającym, najpierw dla przywrócenia jej niepodległości, jak potem dla zapewnienia bezpieczeństwa”.²

Próbą przezwyciężenia tego fatalnego stanu rzeczy miała być federacja lub konfederacja krajów Europy Środkowo-Wschodniej, ku czemu kroki podejmowano jeszcze w czasie wojny, ze skutkiem mizernym. Po wojnie idea ta powracała w znacznej części publicystyki politycznej, zwłaszcza pierwszego okresu powojennego³, ale w niewielkim stopniu przekładała się na zainteresowania historyków i publicystów historycznych. Skoncentrowana na własnej historii narodowej, emigracja wykazywała małe zainteresowanie racjami i uwrażliwieniami narodów sąsiednich, także tych, z którymi mielibyśmy się łączyć w sojusze, czy nawet tworzyć wspólne organizmy polityczne.

W dziejach odbudowywania państwa w latach 1918-1920 szczególny akcent został położony na wojnę polsko-bolszewicką, co jest zrozumiałe. Wojna ta miała przecież fundamentalne znaczenie dla obrony egzystencji państwa oraz określenia jego granic. Jednak nieliczni pamiętnikarze, publicyści i historycy dostrzegali znaczenie niepolitycznych działań w tym okresie na obszarze tocących się zmagających. Mało interesowano się Ukraińcami, w tym Petłurą i państwowością, którą reprezentował. Na język polski nie przetłumaczono żadnego pamiętnika ukraińskiego, żadnej książki, nie zamieszczano też obszerniejszych streszczeń dość licznych przeciw dzieł ukraińskich poświęconych temu okresowi. Jeśli coś na te tematy się ukazywało, to niemal wyłącznie na łamach „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”, lecz – mimo tych prób Jerzego Giedroycia – cała historia ukraińska tego czasu,

tak bardzo przecież spleciona z historią Polski, pozostawała polskiemu czytelnikowi emigracyjnemu nieznaną. Równie źle, a może nawet jeszcze gorzej było z wiedzą o Litwie, Czechosłowacji czy Węgrach. Jest rzeczą zastanawiającą, że najważniejsze dzieła historiografii emigracyjnej dotyczące lat odbudowy państwa – książki Tytusa Komarnickiego, Piotra Wandyczyna i Anny Cienciły – nie zostały przełożone z angielskiego na polski, a więc miały zawężone możliwości oddziaływania na czytelnika polskiego⁴.

Jeśli potraktować te sygnały jako rezultat pewnego nastawienia, to być może świadczą one, że w oczach emigrantów wojna polsko-bolszewicka była dziełem Polaków i czerwonych Rosjan, zaś inne strony tocących się zmagających nie miały istotnego znaczenia; zainteresowanie budziły zmagania na polach bitew, natomiast niechętnie pochylano się nad historią dyplomacji, która dawała też wgląd w opinie zachodnich polityków i zachodniej opinii publicznej o naszych wysiłkach.

Do podobnych wniosków prowadzi ocena polityki wydawniczej dzieł dotyczących genezy i okresu II wojny światowej. Zwraca uwagę szczególnie brak zainteresowania dziejami dyplomacji. Pamiętnik Józefa Becka ukazał się po polsku blisko 40 lat po wydaniu francuskim, wspomnienia ambasadora w Paryżu, Juliusza Łukasiewicza – w 18 lat po wydaniu angielskim, zaś pamiętnik ambasadora w Berlinie, Józefa Lipskiego nie ukazał się po polsku do dnia dzisiejszego, choć wersja angielska została wydana przed blisko 30 laty. Dokumenty źródłowe ukazujące stosunki polsko-sowieckie czasu wojny wydano po angielsku, nigdy zaś w polskim oryginale. A przecież opisane tam wydarzenia rozstrzygnęły los Polski na następne pół wieku.

Korzystnie o wydawcach tych dzieł świadczy, że sta-

rali się przekazać polski punkt widzenia zachodniemu czytelnikowi. Jednocześnie jest zastanawiające, że nie uznano za konieczne wprowadzenia tych książek i zawartych w nich faktów do polskiego obiegu piśmienniczego, polskich dyskusji i refleksji nad doświadczeniem wojennym. Polak na emigracji najczęściej żywił się wspomnieniami martyrologii oraz czynu zbrojnego. Własne, na ogół takie właśnie doświadczenia, mógł porównywać z przeżyciami innych rodaków, zapisanymi w licznych książkach i artykułach. Umacniał się więc na emigracji stereotyp Polaka – ofiary prześladowań odwiecznych wrogów oraz Polaka-żołnierza, ofiarnego i dzielnego, a mimo to zdradzonego przez sojuszników. Nie był to stereotyp fałszywy, przynajmniej na emigracji, której większa część miała za sobą tragiczne doświadczenia z terrorem hitlerowskim lub stalinowskim oraz przeszła przez szeregi wojska. Jako wzorzec osobowy, wychowawczy, przekaz ten był jednak dla młodszych pokoleń jałowy i nawet wśród dzieci emigrantów nie budził żywszej reakcji.

Takiemu spojrzeniu na przeszłość nie poddawała się „Kultura”. Jerzego Giedroycia interesowała nie martyrologia i przewagi wojenne, ale dzieje najnowsze państwa, historia polskiej polityki, stosunków z bliższymi i odległymi sąsiadami, także stosunków kulturalnych. Właśnie dlatego publikacje „Kultury” bardziej niż polskiego Londynu uczyły Polaków budowania pomostów między przeszłością a przyszłością i dostarczały materiałów do przemyślenia historii ostatnich dziesięcioleci.

Powracając do pytania postawionego w tytule, stwierdzić trzeba, że wedle polskiego wychodźstwa byliśmy ofiarami historii, choć niekiedy własnym politykom zawdzięczaliśmy pomnożenie narodowych nieszczęść.

Z przyjmowanych powszechnie schematów myślenia

i oceniania przeszłości wyłamywali się nieliczni, przy czym możliwe były bardzo różne kierunki nieortodoksyjnego myślenia. Atakujący z Monachium Józef Mackiewicz próbował burzyć utrwalone kanony myślenia na kilku polach jednocześnie. Odrzucał pogląd, by Niemcy i Rosja były stałymi wrogami Polski. Protestował przeciw traktowaniu Związku Sowieckiego jako dziedzica tradycji Rosji. Bagatelizował problem granic, zarówno ryskiej, jak granicy na Odrze i Nysie. Odmawiał oceniania polityki wyłącznie w kategoriach interesu narodowego. Za jedyne, ale za to absolutnego wroga uważał komunizm, walce z którym podporządkowywał wszystkie inne cele. Źródło późniejszych nieszczęść widział w nie poparciu przez Piłsudskiego w 1919 r. białych Rosjan, wskutek czego bolszewicy mogli zwyciężyć w wojnie domowej w Rosji. Błąd ten Piłsudski powtórzył jeszcze raz jesienią 1920 r. podpisując z bolszewikami zawieszenie broni, co umożliwiło im pokonanie generała Wrangla. Problem nie uznawania przez „białych” prawa Polski do niepodległości Mackiewicz bagatelizował. Przywódcom polskim z lat okupacji samotnik z Monachium zarzucał jednostronne skoncentrowanie uwagi na wrogu niemieckim i nie docenianie zagrożenia sowieckiego. „Terror hitlerowski był straszny, w odniesieniu jednak do Polaków nie przekraczał znanych w historii miar terroru wojennego.” Fałszywie klasyfikując charakter terroru niemieckiego wobec Polaków, Mackiewicz godził jednocześnie w przekonanie Polaków o szlachetności i czystości żołnierskiej epopei: „Podobnie, jak odzyskanie niepodległości nie było zasługą legionów Piłsudskiego, tak też utrata niepodległości nie była winą AK i podziemia.” AK zamiast przeciwstawiać się bolszewikom, pomagała im „w dobijaniu” poprzedniego okupanta, który opuszczał już terytorium Polski. „Tylko w ten sposób mogła powstać ta ideologi-

czna «baza», na której komuniści rozbudowali swój dogmat o «wyzwoleniu Polski».⁵ Mackiewicz podważał więc również tak ważny dla polskiego wychodźstwa fundament polityczny, jakim był udział Polski w koalicji antyhitlerowskiej. Budowana w oparciu o to wojenne przeżycie najnowsza tradycja narodowa i poczucie tożsamości nie miało dlań wartości.

Na postawione w tytule pytanie Józef Mackiewicz odpowiadał, że byliśmy współwinni naszym tragediom.

Rewizjonizm zupełnie innej barwy i orientacji reprezentował Jan Ciechanowski, historyk z Londynu, urodzony w 1930 r., a więc patrzący z pewnym dystansem pokoleniowym na zaangażowania i spory starszego pokolenia. Ciechanowski próbował przemyśleć od początku sens polskiej polityki czasu II wojny światowej. Czyn zbrojny nie miał dla niego wartości samodzielnej, a tylko jako narzędzie zmiany sytuacji politycznej. Ta myśl, pozornie oczywista, nie była wcale oczywista dla pokolenia weteranów II wojny światowej, zarówno na emigracji, jak i w kraju. Ciechanowski nie miał wątpliwości, co do słuszności postawy konsekwentnie antyniemieckiej, ale oceniał, że porozumienie ze Stalinem i PPR było możliwe i pożądane. „Z perspektywy czasu wydaje się, że władze obozu rządowego popełniły błąd nie godząc się na jakąkolwiek bądź współpracę z komunistami, gdyż pozabawiły się w ten sposób wpływu na politykę PPR oraz doprowadziły do otwartej rywalizacji pomiędzy obu ugrupowaniami, co następnie przyczyniło się w dużej mierze do powstania PKWN i wybuchu otwartej walki w Warszawie. Poza tym współpraca z PPR mogłaby ułatwić nawiązanie współdziałania pomiędzy AK i Armią Czerwoną, którego tak bardzo brakowało w 1944 roku.” Ciechanowski starał się patrzeć na politykę polską tego czasu w kategoriach *Realpolitik*, a nie emocjonalnych

bądź ideologicznych zaangażowań i uprzedzeń. Stąd też starał się widzieć w PPR nie narzędzie sowieckie, a prorosyjską i prosowiecką orientację polityki polskiej. Oceniał, że niemożliwe było utrzymanie granicy ryskiej oraz pełnej niepodległości, ale było możliwe uzyskanie nieco lepszego statusu powojennego państwa oraz zmniejszenie liczby ofiar wojny. Poprzez pryzmat tych ograniczonych celów spoglądał na dzieje polityki polsko-sowieckiej i krytycznie oceniał decyzję o wybuchu powstania w Warszawie.⁶

Ciechanowski jako krytyk decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego wpisywał się w trwający od 1944 r. spór między obrońcami tej decyzji, a jej przeciwnikami. Spór ten należał do najgorętszych kontrowersji wśród kombatantów i historyków II wojny światowej. Ciechanowski był natomiast na emigracji osamotniony w swojej generalnej ocenie polityki sowieckiej i polskich komunistów.

Jak wyglądały obrachunki z historią w piśmiennictwie krajowej opozycji? Ujawniły się one już w 1945 r., szczególnie w sporze o ocenę powstania warszawskiego. Wojciech Kętrzyński dowodził, że powstanie miało sens jako walka o honor i manifestacja woli suwerenności, (dodawał też wiele argumentów praktycznych podnoszonych w sporze do dnia dzisiejszego). Wypowiedź Kętrzyńskiego wywołała kategoryczny sprzeciw Stefana Kisielewskiego, publicysty „Tygodnika Powszechnego”, który z furją zaatakował tradycję myślenia o sprawach narodowych w kategoriach honoru, romantyzmu, kultu bohaterstwa. Idealizm Polski „stał się często apologią narodowego samobójstwa”. Kisielewski bronił realizmu politycznego, trzeźwości, poświęćliwości, cierpliwości, wytrwałości.⁷

Oceny Kisielewskiego miały bezpośrednią wymowę polityczną – były wezwaniem do uznania realiów, stawianiem celów możliwych do osiągnięcia bez ryzyka katastrofy. Takie spojrzenie na sytuację narodu złączyło krąg redaktorów i publicystów „Tygodnika Powszechnego”. Ich sposób myślenia nazwano neopozytywizmem, a jego cechą była m.in. krytyka romantycznego spojrzenia na dzieje Polski. „Ostatnie 200 lat naszej historii to dzieje tragiczne” pisał Stanisław Stomma w 1957 r. Niszczeni wojnami i zaborami, mieliśmy jednak wielki potencjał czynnika ludzkiego, ale „rzucaliśmy go wciąż na szalę i to w sposób najbardziej prymitywny i nieodpowiedzialny: po prostu szafowaliśmy krwią”. Kierowaliśmy się maksymalizmem: wszystko, albo nic, osiągając oczywiście to drugie. „Wytworzyło się stąd antagonistyczne przeciwstawienie idea-siła i nawet pejoratywny stosunek do siły.”⁸ Te uwagi odnosiły się jednak przede wszystkim do okresu zaborów i miały głównie wpływ na postawy współczesnych.

W stosunku do historii dwudziestowiecznej takiej prostej opozycji nie dawało się zastosować. Wysiłki zbrojne lat 1914-21 nie były przecież bezrozumnym szastaniem polską krwią, nie dały w efekcie przegranej. Czas Dwudziestolecia był próbą stworzenia syntezy idei i siły. Mimo zdecydowanego krytycyzmu wobec Powstania Warszawskiego neopozytywiści nie negowali potrzeby obrony kraju we wrześniu 1939 r., powstania sił zbrojnych na emigracji i AK w podziemiu, co więcej – odczuwali mocne związki z tą tradycją, o czym świadczą choćby liczne wspomnienia i artykuły weteranów AK na łamach „Tygodnika Powszechnego.” Wydaje się więc, że neopozytywizm głównie miał na celu powstrzymywane kandydatów na romantycznych bohaterów w rzeczywistości pojałtańskiej, w nikłym zaś stopniu był próbą skonstruowania krytycznej wizji minionych dziesięcioleci.

Próba stworzenia takiej wizji była zresztą niezwykle trudna. Cenzura uniemożliwiała poruszenie w sposób wiarygodny najważniejszych zakrętów tej historii, zaś już pod koniec lat czterdziestych piśmiennictwu został narzucony schemat przedstawiający cały okres przed 1945 r. w najczarniejszych barwach. Historycy i publicyści nie poddający się temu schematowi musieli zamilknąć.

Jak wspomniałem na wstępie, czarny obraz Drugiej Rzeczypospolitej, rządu w Londynie i AK, miał delegitymizować tamtą państwowość i związane z nią elity oraz legitymizować państwowość PRL. Negatywny stosunek do Piłsudskiego, Drugiej Rzeczypospolitej, AK itd. stał się zatem probierzem obywatelskiej lojalności. Sytuacja ta utrzymywała się do lat sześćdziesiątych, a nawet dłużej. Nie sprzyjało to podejmowaniu autentycznych obrachunków z przeszłością wśród ludzi uznających reżim komunistyczny za obcy. Raczej przeciwnie – w indywidualnych rozmowach, przekazach rodzinnych, broniono atakowanych tradycji, postaci, idei, jako wyrazu prawdziwej Polski. Strawą dla patriotyczno-historycznego wychowania były książki przedwojenne lub nielegalnie przemycane z emigracji. Osoba Piłsudskiego, Wrzesień, Sikorski, Katyń, AK, Powstanie Warszawskie – to były punkty identyfikacji politycznej, stosunek do których określał miejsce jednostki w podziale na „my” i „oni”. W tej sytuacji nawet antypowstańcza retoryka wyglądała na podejrzanie.

Począwszy od lat sześćdziesiątych, PZPR zaczęła rozszerzać obumierającą ideologię komunizmu o wątki obecne w narodowej tradycji, zwłaszcza afirmację czynu zbrojnego i wyraźne zaakcentowanie wątków historyczno-miejskich. Stopniowo też rezygnowano z legitymizowania PRL przez negację dorobku Drugiej Rzeczypospolitej,

a wręcz przeciwnie – PRL miała być poprawioną kontynuacją Polski Niepodległej. Proces przyswajania tradycji państwowej II RP w propagandzie PRL trwał przez wiele lat i nie został zakończony nigdy. Ważne dokonania i tradycje tamtej państwowości były traktowane wrogo, choćby przez skrepowanie PRL więzami podległości wobec ZSRR.

W tę szczelinę wchodzili publicyści i historycy, którzy próbowali rehabilitować kolejne obszary tradycji. Przypominano więc wydarzenia, postacie lub nurty polityczne, dotąd obłożone anatema, co nie było zabiegiem prostym. Opis dziejów walki z cenzurą o uczciwe opisanie Września czy Powstania Warszawskiego, albo postaci Sikorskiego, czy Piłsudskiego, byłby bardzo interesującą książką. Celem starań publicystów i historyków emocjonalnie związanych z tradycjami Drugiej Rzeczypospolitej było poszerzanie ram wolności, odzyskiwanie przeszłości dla społeczeństwa, usuwanie ze świadomości obywateli naliwów wieloletniej negatywnej propagandy. Pomocą dla nich, a w znacznie mierze także wzorcem były publikacje emigracyjne. Nie istniały zatem warunki dla podjęcia przez nich krytycznej debaty nad przeszłością. Krytyczne uwagi i opinie zbyt często przyjmowane były przez czytelników jako danina płacona cenzurze.

Inna była sytuacja środowisk opozycyjnych, które wywodziły się z nurtu rewizjonistycznego. Drugą Rzeczpospolitą oceniali one surowo, a zmiana nastawienia była hamowana przez fakt, że wątki te zdawały się współgrać z ofensywą ideologiczną moczarowców.⁹ Tym niemniej pomostem do szukania zakorzenienia w tradycji patriotycznej mogła być i była tradycja PPS. Ogromną rolę w budowaniu takiego pomostu odegrała książka Bohdana Cywińskiego „Rodowody niepokornych”, a także zbiór szkiców Marcina Króla i Wojciecha Karpiń-

skiego „Sylwetki polityczne XIX wieku”. Książki te ułatwiały szukanie w minionych czasach pozytywnych tradycji, które mogłyby wzbogacić współczesny etos walki z reżimem, a także byłyby odniesieniem dla konstruowania współczesnej myśli politycznej. Adam Michnik nawiązywał do postaci Piłsudskiego sprzed 1926 r. jako patrona współczesnych opozycjonistów, ale zaznaczał, że „Brześć, Bereza i Ozon są dzisiaj wzorami dla wrogów demokracji w Polsce, a nie dla walczących o wolność.”¹⁰ Podkreślał też mocno przeciwieństwo niepodległościowych i demokratycznych tradycji PPS i piłsudczyków oraz reakcyjnego i serwilistycznego wobec Rosji nacjonalizmu endecji.¹¹

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych ukształtowały się dwie tendencje nawiązywania do przeszłości, które okazują wielką żywotność do dnia dzisiejszego.

Dla części opozycji afirmacja przeszłości patriotycznej, zwłaszcza walk orężnych, faktów męczeństwa, stała się niezwykle istotnym, nawet może głównym składnikiem ich ideologii. Polska jawiła się w tej perspektywie jako byt całkowicie czysty, idealny, a zarazem ofiara okrutnych totalizmów.¹²

Inne środowiska podjęły próbę namysłu nad dziedzicznymi tradycjami i ideologiami. Szczególną aktywnością wyróżniało się tu Polskie Porozumienie Niepodległościowe, kręgi współpracowników KSS „KOR” oraz grupy „Spotkań”, „Res Publici”, a także „Bratniaka” (zwłaszcza Aleksander Hall). Wspólną cechą ich refleksji było oddzielanie tradycji demokratycznej od tendencji autorytarnych czy totalitarnych, odrzucanie nacjonalizmu, próba szukania pomostów z kulturami i tradycjami sąsiadów. W oświadczeniu KSS „KOR”, wydanym na dzień 11 listopada 1978 r. pisano: „Polska odzyskała niepodległość (...) niezależnie od czyichkolwiek deklaracji i jaki-

chkolwiek traktatów, na mocy faktów, które stworzył naród." Podkreślono dokonania narodu w okresie Dwudziestolecia, ale wymieniono również przykre karty dziejów: łamanie praworządności przez obóz sanacyjny, zły stosunek do mniejszości narodowych, co było skutkiem podatności części społeczeństwa na hasła megalomanii narodowej, zagarnięcie Zaolzia. „Wiemy jednak, że bez tej trwającej zaledwie dwadzieścia lat wolności nie byłibyśmy dzisiaj tym nawet, czym jesteśmy. Lata te uratowały substancję narodu”. Tekstem szczególnie ważnym dla budowania samokrytycznej refleksji i otwarcia na racje innych narodów, które pozostawały z nami nieraz w konflikcie, były „Dwie Ojczyzny, dwa patriotyzmy” Jana Józefa Lipskiego (1981). W ślad za tym esejem mogły przyjść książki Kazimierza Podlaskiego (Bohdana Skaradzińskiego) „Białorusini. Litwini. Ukraińcy. Nasi wrogowie czy bracia” (1983) oraz esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, otwierający cały nurt krytycznej refleksji nad przeszłością stosunków polsko-żydowskich.

Zanikły natomiast prawie całkowicie zainteresowania tematami, które w poprzednich dziesięcioleciach podniecały wyobraźnię. Książka zamykająca – jak dotąd – spór o powstania był esej Tomusza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić”. Spór między romantykami a realistami w niewielkim tylko zakresie toczył się po 13 grudnia 1981 r., choć sytuacja – zdawało się – sprzyjała takiej dyskusji. Być może zagaśł tak szybko, gdyż romantycy okazali się bardzo realistyczni. Faktem jest jednak, że postawione w tytule pytanie mogło być kierowane pod adresem przywódców „Solidarności” i mogła się potoczyć wokół niego wielka dyskusja. Nieliczne głosy zarzucające liderom Związku zmarnowanie szans („współinni tragediom”) nie rozwinęły się jednak w szeroką debatę¹³. Brak takiej

dyskusji sprzyjał konsolidacji elit „Solidarności”, hamował szukanie winnych (winnych?) klęski grudniowej i niszczenie autorytetu dotychczasowych przywódców. Był więc jednym ze składników sytuacji, która umożliwiła w 1989 r. skompletowanie delegacji zasiadającej do rozmów przy Okrągłym Stole.

Przypisy

- 1 Marian Kukiel: *Dzieje Polski porzbirowe 1795-1921*, Londyn 1968.
- 2 *Na progu Drugiego Tysiąclecia*, Londyn 1967, s. 40 (wypowiedź Rowmunda Piłsudskiego).
- 3 Por. Marian K. Dziewanowski: *Nie jesteśmy sami. O krajach i narodach Międzyczmaro*, Londyn 1947, por. szerzej Lidia Ciołkoszowa, *ibid.*, s. 276-280.
- 4 Tytus Komarnicki: *Rebirth of the Polish Republic: A Study in the Diplomatic History of Europe 1914-1920*, London, Melbourne and Toronto 1957; Piotr Wandycz: *Soviet-Polish Relations 1917-1921*, Cambridge, Massachusetts 1969; Anna Cieniela, Tytus Komarnicki: *From Versailles to Locarno. Keys to Polish Foreign Policy 1919-1925*, University Press of Kansas 1984.
- 5 Józef Mackiewicz: *Zwycięstwo prowokacji*, Londyn 1988 (wyd. I, Monachium 1962), s. 81, 87-89, 122-123, 130.
- 6 Jan M. Ciechanowski: *Powstanie Warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego*, Londyn 1971 (także wydanie angielskie); tenże: *O genezie i upadku II Rzeczypospolitej*, Londyn, 1981 (stąd za s. 34 przytoczony cytat).
- 7 *Drogi do Niepodległości*, wybór Krzysztof Kozłowski, Kraków 1978, s. 201-212; Stefan Kisielewski: „Polityka i sztuka”, Warszawa-Kraków 1949, s. 47-54.
- 8 Stanisław Stomma: *Myśli o polityce i kulturze*, Kraków 1960, s. 31-33, 56.
- 9 Por. ZK (Andrzej Friszke): *Historia najnowsza i historycy*, w: „Res Publica” 6/1980.
- 10 Adam Michnik: *Cienie zapomnianych przodków* (1973) w: tenże: *Szanse polskiej demokracji*, Londyn 1984.

11 Publicystyka Michnika odgrała szczególną rolę w szukaniu takich nawiązań, by wspomnieć jego książkę *Kościół, lewica, dialog* (1977) oraz eseje *Powstanie listopadowe – polskie pytania* (1980), *Rozmowa w Cytadeli* (1982).

12 Przykładem może tu być szkic Natalii Naruszewicz *Dzieje PRL* i część esejów Jerzego Łojka.

13 Oprócz artykułu Ludwika Doma w nr 1 „Znaków Czasu” i Andrzeja Walickiego w „Aneksie” (nr 35/1984) trzeba wymienić „Myśli starożytnego Polaka” Piotra Wierzbickiego (1985) oraz Andrzeja Micewskiego *Kościół wobec „Solidarności” i stanu wojennego* (1987). Głosy te wywoływały bardzo stanowcze reakcje, przecinające właściwie dyskusję.

Włodzimierz Borodziej

Podobne czy różne przypadki odpowiedzialności

- totalitaryzmy rodzimy i narzucony
- nazizm i sowietyzm w Niemczech?

Kiedy w październiku ubiegłego roku wysłałem pierwszy tom z serii „PRL w oczach Stasi” ambasadorowi RFN w Polsce, wspomniałem w liście towarzyszącym o rzeczy dla mnie oczywistej, że mianowicie traktuję ten projekt badawczy jako przyczynek do wyjaśnienia trudnego fragmentu historii stosunków polsko-niemieckich. Ambasador odpisał bardzo uprzejmie, zwracając uwagę, że rzeczywiście chodzi o „trudny rozdział naszych stosunków, ale także o taki ich rozdział, którego nie można przecież przypisać większości Niemców czy też starej Republice Federalnej. Niemniej – czytamy w następnym zdaniu listu – chcieliśmy zjednoczenia i musimy stawić czoła także temu rozdziałowi.”¹ A więc problem stosunku do przeszłości może być jeszcze trudniejszy niż w naszym, polskim przypadku: przedstawiciel starego, a zarazem nowego państwa musi się ustosunkować wobec spadku po państwie, z którym nie ma żadnej płaszczyzny identyfikacji. Jedyny wspólny punkt odniesienia to narodowość, wynikała z niej wola utworzenia wspólnego państwa i wynikająca z faktu powstania takiego państwa odpowiedzialność za porządne rozliczenie się z historią – ale przecież nie własną historią nawet w tym ograniczonym sensie, w jakim historia PRL jest historią obywateli III RP. Jednocześnie, jak wiadomo, spadek po NRD to

tylko najbardziej aktualna, ale wcale nie największa część problemu. Po 1949 r. oba państwa niemieckie musiały zająć stanowisko wobec spadku po narodowym socjalizmie. Stanowiska te okazały się różne; dziś oba te 40-letnie quasi-precedensy, procesy, które uformowały świadomość historyczną obywateli obu państw, determinując stosunek do spuścizny po jednym z nich. Mówiąc inaczej, doświadczenie specyficznych rozliczeń z narodowym socjalizmem tworzy jakby ramę dyskursu o NRD, dostarcza precedensów, służy za impuls i lustro, negatywny i pozytywny punkt odniesienia jednocześnie.

Dodatkowe utrudnienie stwarza język. W tytule kolokwium znalazły się trzy pojęcia: totalitaryzm (w dwóch wersjach), nazizm i sowietyzm. Każde z nich jest dyskusyjne, każde na swój sposób odwołuje się do dziesięcioleci badań, i nie jest to rzecz obojętna dla – także wymienionej w tytule – odpowiedzialności. Ale niemieckie sposoby pojmowania odpowiedzialności za historię najnowszą tylko po części dadzą się wytłumaczyć stosunkiem do pojęcia totalitaryzmu. Z punktu widzenia naszej dyskusji najważniejsza wydaje się bowiem – w dużym stopniu niezależna od paradygmatów naukowych – samoistność procesu rozliczania z przeszłością, czyli *Vergangenheitsbewältigung*. *Vergangenheit* to przeszłość, a *bewältigen* tłumaczymy jako pokonać, uporać się, podolać czemuś. Wszystkie te tłumaczenia wskazują cel procesu, sugerując, że przeszłość można pokonać, jednym słowem – przezwyciężyć i tym samym zamknąć. Wzrastające wątpliwości mają co do tego sami Niemcy: im dłużej bowiem trwa *Vergangenheitsbewältigung*, tym słabsza wiara, że rozdział „III Rzesza” i „NRD” można definitywnie określić: odwrotnie, okazuje się, że historię tak traumatyczną można nazwać, umieścić przeżycie indywidualne w kontekście historycznym – ale przezwyciężenie,

czyli zamknięcie rachunku, jeśli w ogóle możliwe, bardziej jest rzeczą psychiatry niż historyka czy polityka. A psychiatra, przenoszący kategorie indywidualne na społeczne, ryzykuje przekroczenie progu niekompetencji tak samo jak polityk wchodzący w rolę historyka.

Jest zresztą możliwa i inna, bardziej niejako praktyczna interpretacja *Vergangenheitsbewältigung* jako historii z definicji nieskończonej: spory o III Rzeszę od lat sześćdziesiątych tak gruntownie przeorały Republikę Federalną, że odniesienie zdarzeń aktualnych do przeszłości, ciągła lustracja dnia codziennego pod kątem jego potencjalnych związków z przeszłością, stała się zarówno rytuałem jak i odruchem; stan ten nadaje historii najnowszej rangę, którą w innych krajach ma ona tylko teoretycznie, w praktyce – odwołanie. W tym sensie Niemcy są wyjątkowe, z tego też chyba faktu wynika wzmożone w ostatnim czasie zainteresowanie Polaków sąsiedzką *Vergangenheitsbewältigung*. U podłoża tego zainteresowania leży, jak sądzę, mniej czy bardziej uświadomiona chęć poznania i adaptacji pewnego wzoru, o którym sądzimy, że ma wpływ na kształtowanie zdrowego, samoświadomego społeczeństwa. Czy wzór ten da się naprawdę odnieść do naszej rzeczywistości? Spróbuję podjąć to pytanie, przybliżając różne sposoby rozliczenia niedawnej przeszłości, pięć różnych lekcji wychowania obywatelskiego, przez które przeszły i przechodzą Niemcy po 1945 r.²

Rozliczenia z nazizmem: wersja I

Pierwszy model rozliczeń z przeszłością stworzyli alianti zachodni, przede wszystkim Amerykanie.³ Podstawą było przekonanie, że Niemcy jako naród są po pierwsze winni,

po drugie – zarażeni bakcylem faszyzmu, po trzecie – reedukowalni. Pierwotnym symbolem tego modelu były obozy internowania, w których zamknięto od lata 1945 r. około ćwierci miliona podejrzanych, a od jesieni tego roku procesy norymberskie: 12 wyroków śmierci w procesie głównym, 24 w procesach „branżowych”, łącznie ponad 200 oskarżonych, sądzonych m.in. na gruncie nowatorskiego rozszerzenia prawa karnego o nieznaną dotąd zarzut „zbrodni przeciw ludzkości”⁴. Znaczenie tego aktu trudno przecenić zarówno dla rozwoju stosunków międzynarodowych jak i w interesującym nas aspekcie denazyfikacji; Norymberga stała się symbolem i punktem odniesienia dla wszystkiego, co nastąpiło później. A to „wszystko” w wypadku Niemiec na tyle różniło się od modelu pierwotnego, że można mówić o zasadniczej sprzeczności.

Kolejnym narzędziem reedukacji miała być bowiem zbiorowa, czy raczej masowa denazyfikacja. Jej przedmiotem było nie kilkuset podejrzanych jak w Norymberdze, lecz kilkadziesiąt milionów osób – dorosła populacja Niemiec. Ton nadawali Amerykanie, którzy na samym początku zwolnili takie liczby podejrzanych w aparacie państwowym i gospodarce, że ich strefa okupacyjna w krótkim czasie zagrożona została widmem administracyjnego i ekonomicznego paraliżu. Klaus Dietmar Henke pisze w tym kontekście o tragedii: „werwa, z jaką czołowa potęga Zachodu u samego progu tego delikatnego procesu niejako zapieła pierwszy guzik na drugą dziurkę” spowodowała, że „cała dalsza historia denazyfikacji da się opisać jako próba naprawienia ukradkiem wczesnego lapsusu”⁵. W myśl realizowanych od 1946 r. zasad denazyfikacji jej organem miały stać się niemieckie izby orzekające, pracujące pod amerykańskim nadzorem; przedmiotem zaś – wszyscy pełnoletni Niemcy. Efekt był

łatwy do przewidzenia – 13 milionów formularzy w samej strefie amerykańskiej urosło w górę papieru, z którą nikt nie mógł dać sobie rady. 10 milionów spraw załatwiła co prawda quasi-amnestia z 1946 r., ale i spośród pozostałych ponad 3 milionów, ogromnej większości nie rozpatrzono. Orzeczenia zapadły w końcu w niespełna 150 tys. spraw (na 950 tys. wdrożonych postępowań): ponad 1600 osób uznano za „głównych winnych”, ponad 22 tys. – za „obciążonych”, 106 tys. – za „obciążonych w nikłym stopniu”, 18 tys. uniewinniono⁶. Wiosną 1948 r., „Zimna Wojna” stawała się coraz gorętsza, denazyfikację praktycznie zakończono, a właściwie przewano.

Skutki tej lekcji były opłakane. Izby orzekające, z oczywistych względów w pierwszej kolejności wołały rozpatrzyć sprawy lżejsze, mniej skomplikowane, a tym samym mniej pracochłonne. W efekcie stawały przed izbami przede wszystkim płotki, a podejrzani o poważniejsze przestępstwa w większości pozostali bezkarni. Innym skutkiem działalności izb orzekających okazała się – wcale nie oczywista w pierwszej chwili – solidarność podejrzanych. Oczyszczyć się z podejrzeń można było m.in. przez zeznania świadków; wzajemne wystawianie sobie świadectw moralności i ich fikcyjna w efekcie wiarygodność, obciążały opinię o denazyfikacji do granic śmieszności.

Najbardziej ambitna próba „rozliczenia” Niemców z narodowego socjalizmu oceniana jest dziś dość powszechnie jako fiasko. Warto jednak pamiętać o jego granicach: kompromitacja ta nie uruchomiła mechanizmu rehabilitacji III Rzeszy. Owszem, w wyjątkowych okolicznościach nawet osoba o przeszłości „głęboko brunatnej” mogła zostać w latach pięćdziesiątych ministrem federalnym, ale przeszłość ta była poważnym argumentem przeciw tej osobie, a nie za nią.

Wersja II: brak rozliczeń

Drugą lekcję obchodzenia się z przeszłością przeżyli Niemcy Zachodni w latach pięćdziesiątych. Denazyfikacja przeszła z kompetencji sądów alianckich do zwykłych sądów niemieckich, rozpatrujących poszczególne zarzuty na gruncie kodeksu karnego. Statystyka nie pozostawia wątpliwości co do zapału, z jakim niemieccy sędziowie zabrali się do rzeczy: o ile tuż za progiem niepodległości, w 1950 r., niejako z rozpedu zapadło jeszcze około 800 wyroków skazujących, o tyle już w roku następnym liczba wyroków spadła do 259 i spadała odtąd stale, do 21 wyroków w latach 1955 i 1958⁷. Byli naziści, członkowie partii i nie tylko, byli widoczni wszędzie: już pod koniec lat czterdziestych Amerykanie oceniali, że ok. 40-45% urzędników w senacie Bremy to byli członkowie partii, a w Bawarii zajmują oni ok. 30% wyższych stanowisk urzędniczych. We wrześniu 1950 r. po raz pierwszy były członek NSDAP został premierem jednego z landów⁸; w 1958 r. po wielu kampaniach angażujących czołowe osobistości RFN, opuścili alianckie więzienia ostatni zbrodniarze, w tym skazani w latach czterdziestych na kary najcięższe⁹.

Problem obecności byłych narodowych socjalistów w życiu publicznym, symbolizowany przez Theodora Oberländera, Hansa Globke i sukcesy partii radykalnej prawicy w wyborach krajowych, miał różne wymiary. Najbardziej znany jest aspekt międzynarodowy. W całym bloku wschodnim ataki na rewanzystowską, militarystyczną czy reakcyjną Republikę były podbudowywane dowodami z tej właśnie sfery; legitymizacja własnej pozycji tą drogą siłą rzeczy najważniejsza była dla NRD¹⁰, ale i w PRL grała niepoślednią rolę. Podobne głosy krytyki słychać było również na Zachodzie: w Izraelu, Wielkiej

Brytanii i Francji, u mniejszych sąsiadów Niemiec, okazjonalnie także w Stanach Zjednoczonych. Z drugiej strony pamiętać należy, że głośnie oburzenie i katastrofalne często skutki dla międzynarodowego image Republiki szkodziły, ale nie decydowały o jej położeniu: integracja w strukturach NATO nie opóźniła się nawet wtedy, kiedy okazało się, że do Bundeswehry przyjmowani są także byli żołnierze Waffen-SS¹¹.

Drugi wymiar faktycznego zaniechania ścigania zbrodni nazistowskich dotyczył klimatu życia publicznego. W 1953 r. alianci skorzystali ze swych uprawnień okupacyjnych, aresztując grupę byłych prominentów NSDAP (tzw. koło Naumanna i koło gauleiterów), przygotowujących swój powrót na arenę polityczną. Ostrzeżenie było wyraźne: renesans nazizmu jako formacji politycznej stał poza porządkiem dziennym. Z drugiej strony alianci nie chcieli i nie bardzo mogli interweniować, kiedy na wysokie stanowiska w gospodarce i sądownictwie awansowali ci sami ludzie – jako przestrzegające zasad demokracji jednostki, a nie jako zorganizowana grupa. „Zimna amnestia”¹², sankcjonująca proces indywidualnej reintegracji do sfer mieszczańskich, z których wywodzili się czołowi „mordercy zza biurka”, najcięższej zanalizowana została w świeżo opublikowanej biografii Wernera Besta¹³. Best, koordynujący działania Einsatzgruppen w Polsce we wrześniu 1939 r., zastępca szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, następnie jeden z decydentów w okupowanej Francji i pełnomocnik Rzeszy w Danii, już rok po opuszczeniu więzienia duńskiego, w 1953 r. otrzymał stanowisko w poważnej firmie, gdzie spędził następne dziesięciolecie jako członek dyrekcji. Ulrich Herbert pokazuje, że Best i jemu podobni przyjęci zostali w swoim rodzimym środowisku bez wahań – jako „bardzo inteligentni ludzie z trudnymi

zyciorysami". Ci ludzie mieli swoje miejsce w społeczeństwie RFN, było to miejsce całkiem wygodne, lecz z zasady nie eksponowane – poza kilkoma wyjątkami nie było ich ani w polityce, ani na politycznych stanowiskach w administracji państwowej. Powrót na centralną scenę polityczną w każdej chwili groził katastrofą – nie tylko dlatego, że nie mieścił się w regułach swoistej „resocjalizacji”, ale i dlatego, że nawet najbardziej wówczas „narodowa” FDP po doświadczeniu 1953 r. nie chciała się nimi obciążać. Pozostawała więc skrajna prawica, ale jej główne hasło w latach pięćdziesiątych, czyli sprzeciw wobec integracji RFN ze strukturami Zachodu było sprzeczny z osobistym, ekonomicznym i społecznym interesem byłych nazistów, świeżo przywróconych na łono warstwy średnio-wyższej i wyższej. Herbert przypomina wreszcie, że względny – na tle rozmiaru winy: bezwzględny – komfort byłych prominentów III Rzeszy miał swoje granice: korespondencję z kolegami, utrzymywaną choćby dla uzgodnienia zeznań, prowadzono przez skrytki pocztowe – „by dzieci nie dowiedziały się o tym”, o czym lepiej było zapomnieć¹⁴.

Komfortowa sytuacja zbrodniarzy w latach pięćdziesiątych miała jednak skutki nieoczekiwane. Pierwszy wydaje się dziś niezrozumiały i bez opisanego powyżej i poniżej tła brzmiałby niewiarygodnie. Otóż przepisy wykonawcze do artykułu 131 ustawy zasadniczej RFN umożliwiały powrót do służby publicznej urzędników wydanych przez aliantów, m.in. policjantów, o ile udowodnili, że do policji bezpieczeństwa zostali przeniesieni służbowo (co miało miejsce w wypadku praktycznie wszystkich), którzy wstąpili do służby przed utworzeniem gestapo). Jeden z nich, były komendant policji bezpieczeństwa w Kłajpedzie i oficer w grupie operacyjnej, mordującej Żydów na Litwie, nie został przyjęty do policji RFN

i wstąpił na drogę sądową. W trakcie postępowania wyszły na jaw wstępne informacje o jego zajęciu w czasie wojny. Materiał ten stał się podstawą pierwszego procesu członków grupy operacyjnej przed sądem niemieckim, tzw. procesu ulmskiego w 1958 r.¹⁵ Proces ten uchodzi dziś za pierwszy sygnał zwrotu w polityce karania zbrodni hitlerowskich w RFN; pośrednio zaowocował on m.in. utworzeniem specjalnej instytucji śledczej w Ludwigsburgu, centralizującej odtąd dochodzenia w sprawie zbrodni hitlerowskich w skali całej Republiki.

Drugi skutek uwiadu rozliczeń z brunatną przeszłością w latach pięćdziesiątych także dotyczył sądownictwa. Aparat sprawiedliwości z różnych przyczyn nie wykazywał nadmiernej gorliwości w ściganiu zbrodniarzy hitlerowskich. Jednym z podstawowych argumentów za zaniechaniem śledztwa była nieprzystawalność kodeksu karnego do potencjalnych zarzutów. Im dłużej jednak trwała sytuacja komfortu zbrodniarzy, tym bardziej oczywista stała się konieczność znalezienia jakiejś podstawy prawnokarnej, uwzględniającej specyfikę sytuacji. Podstawa taka istniała już od połowy lat czterdziestych w postaci tzw. formuły Radbrucha. Gustav Radbruch przeciwstawił w 1946r. „ustawowe bezprawie i ponadustawowe prawo”, dochodząc do wniosku, że prawo sprzeczne z podstawowymi zasadami moralnymi nie jest ważne i sąd państwa demokratycznego może nad takim prawem przejść do porządku dziennego. W latach pięćdziesiątych sądy nie były skore do stosowania takiej wykładni. Po fali, zapoczątkowanej przez proces ulmski i proces Eichmanna w Jerozolimie, formuła Radbrucha zaczęła się przyjmować, w pewnym stopniu redukując jedną z większych przeszkód w ściganiu zbrodni hitlerowskich¹⁶.

Największą z nich nie były jednak przepisy kodeksu karnego, lecz wola, czy raczej brak woli dokonania rozli-

czeń. Większość opinii publicznej w latach pięćdziesiątych była przeciwna procesom. Jednoznaczne potępienie narodowego socjalizmu w oficjalnych wystąpieniach polityków wystarczało. Tak zwany szary człowiek chciał pokoju i dobrobytu, a nie – rozdrapywania ran, a tym mniej – konfrontacji własnej biografii z historyczną prawdą o narodowym socjalizmie. Oczywiście, były i wówczas wyjątki¹⁷, lecz na ogół brak zainteresowania przeszłością, tak jaskrawo różną od dnia codziennego w Republice „cudu gospodarczego” był powszechny. Wiele lat później ten brak zainteresowania, tak dobrze służący reintegracji obywateli mniej czy bardziej ubrudzonych brunatną przeszłością, nazwany został przesłanką konieczną dla przemiany *Volksgemeinschaft* lat powojennych w społeczeństwo Republiki Federalnej. Bez „pewnej ciszy” wokół drażliwych spraw niedawnej przeszłości, twierdził w 1983 r. Hermann Lübke ku oburzeniu słuchaczy i czytelników¹⁸, nie byłoby sukcesu Republiki Federalnej. Cena amnezji musiała zostać zapłacona, bo państwo musiało być tworzone na zasadzie antytezy narodowego socjalizmu, ale nie mogło być utworzone wbrew większości jego obywateli; przedmiotem integracji była nie ich przeszłość, lecz oni sami.

„Pewna cisza” jest chyba najciekawszym z poruszanych tu wątków. W 1983 r. Lübke mówiąc – przy gwizdach publiczności¹⁹ – o realnym wymiarze amnezji całych środowisk i warstw posłużył się obrazem pedela uniwersyteckiego, który dokładnie pamiętał, co robił w latach poprzednich profesor, z którym był przeciw swego czasu w jednej organizacji partyjnej – i nigdy o tym nie mówił, tak jak nie wracał do tematu profesor-reemigrant i nie wracał do tej oczywistości student. Reemigrant zostawał rektorem i znowu racjonalność tego stanu była na tyle oczywista, że nie było o czym mówić. Zmowa

milczenia, „asymetryczna dyskrekcja”, jak nazwał ją Lübke, miała charakter w gruncie rzeczy ponadpartyjny czy nawet apolityczny, była postawą ogólnospołeczną, klejem własnej biografii i całej państwowości. Czy należy w tym kontekście mówić raczej o strategii integracji i dyscyplinie społecznej w służbie odbudowy instytucji niż o tchórzostwie i wygodzie – nie wiem. Pewne jest, że z perspektywy 1996 r. osąd jest znacznie mniej kategoryczny niż był przed 13 laty.

Wersja III: NRD

Na swój sposób „pewna cisza” panowała także w NRD. „Pierwsze państwo robotniczo-chłopskie na ziemi niemieckiej” zupełnie odcięło się, jak wiadomo, od tradycji innej niż lewicowa, w tym – a może przede wszystkim – od dziedzictwa narodowego socjalizmu i III Rzeszy. Radykalna czystka, przeprowadzona w 1945/46 r. przez radzieckie władze okupacyjne, dotyczyła przede wszystkim dwóch grup urzędniczych: nauczycieli i policji. Łączne wyniki czystki w administracji szacuje się na ok. 200 tys. osób zwolnionych. Równocześnie, według różnych szacunków, przez obozy internowanych przewinęło się 160 do 260 tys. osób²⁰. Już w czerwcu 1946 r. SED zasłynęła wszakże jako „wielki przyjaciel małych towarzyszy partyjnych”, czyli szeregowych członków NSDAP²¹; zwrot ten był tym ważniejszy, że „mali towarzysze” byli w radzieckiej strefie okupacyjnej praktycznie jedynymi, gdyż co bardziej obciążeni niemal w komplecie wybrali niepewny los w strefach zachodnich, rozwiązując tym samym jeszcze przed powstaniem NRD problem stosunku do elit narodo-socjalistycznych.

Już dzięki tym dwóm okolicznościom – radykalnej

czystce w policji i szkolnictwie oraz ucieczce aktywistów III Rzeszy – NRD od początku mogła twierdzić, że problem denazyfikacji rozwiązała w 100%. Podstawy prawne tej doktryny powstały niemal w tym samym czasie co w RFN podstawy dla faktycznej amnestii: ustawa o przyznaniu pełnych praw obywatelskich byłym członkom i zwolennikom NSDAP oraz oficerom Wehrmachtu uchwalona została przez Prowizoryczną Izbę Ludową NRD w listopadzie 1949 r., miesiąc przed zachodnioniemiecką ustawą o wolności od kary, a pełna rehabilitacja tego samego kręgu osób stała się przedmiotem kolejnej ustawy z października 1952 r., półtora roku po pierwszym oświadczeniu Adenauera w tej sprawie i dwa miesiące przed powtórным zabraniem głosu przez kanclerza w sprawie honoru żołnierza niemieckiego²².

Zbieżność czasowa i współzależność działań amnestyjnych w obu państwach niemieckich, po stronie NRD przykrywana była retoryką antyfaszystowską, bogato czerpiącą z faktu, że w SED stosunkowo licznie reprezentowani byli działacze KPD, represjonowani przed 1945 r.; nowsze badania potwierdzają co prawda, że Ulbricht traktował przedstawicieli tej grupy jako groźną konkurencję i trzymał jak najdalej od realnej władzy²³, ale to już fragment zupełnie innej historii. Wreszcie wspomnieć należy argument ze sfery ideologicznej: skoro faszyzm w teorii stalinowskiej był, jak wiadomo, dziełem najbardziej „szowinistycznych, imperialistycznych i agresywnych” części kapitału, to likwidacja wszelkich podstaw tegoż kapitału niejako na zawsze zamknąć musiała problem renesansu faszyzmu – tego właśnie renesansu, który obserwowano niejako bez przerwy w sąsiedniej Republice Federalnej.

Antyfaszystowski charakter NRD podkreślany był przy każdej okazji, stanowił jedną z podstawowych racji

jej bytu zarówno jako legitymacja moralna wobec własnego społeczeństwa jak i na arenie międzynarodowej. Rola teorii o pokrewieństwie faszyzmu i kapitalizmu w legitymizacji władzy na pewno grała dłuższą rolę kluczową dla całego systemu „nadbudowy” niż model totalitarny, oparty o założenie pokrewieństwa komunizmu i narodowego socjalizmu, dla legitymizacji RFN. W latach czterdziestych równanie faszyzm = kapitalizm = demokracja parlamentarna, sankcjonowało wsadzanie do obozów ponazistowskich działaczy wszelkich partii niekomunistycznych, m.in. socjaldemokratów. Powstanie NRD, a potem jej Armii Ludowej tłumaczono koniecznością obrony przed faszyzmem, a wzniesiony w 1961 r. mur nazwany został „antyfaszystowskim murem obronnym”. W latach osiemdziesiątych teoria wegetowała już tylko jako państwowotwórczy kanon retoryczny; niemniej uważa się dziś w Niemczech, że jednym z filarów poczucia moralnej wyższości ofiary nad gwałcicielem, obecnej w świadomości postkomunistów wschodnioniemieckich i ich wyborców, jest właśnie przekonanie o wyższości własnego, kompletnego i bezkompromisowego rozrachunku z brunatną spuścizną²⁴.

Nie będzie oryginalne zwrócenie uwagi na ostatni, ale wcale nie najmniej ważny element tej „kompletności” i „bezkompromisowości”. Jeżeli rzeczywiście faszyzm był produktem „części”, czyli elit kapitalizmu, to wszyscy prócz elit byli niewinni. Jeżeli więc „*Generalplan Ost*” był tylko rozwinięciem idei „*Mittleuropa*” Naumanna, to mało istotne stało się pytanie, dlaczego zwykli, szarzy Niemcy, żandarmi batalionu policyjnego gdzieś na wschodzie, bez oporów mordowali ludność cywilną, którą rozkazano im wystrzelać. Tym mniej zasadne było pytanie o tych wszystkich, którzy w stosowaniu przemocy nie uczestniczyli w ogóle: tych, którzy po prostu

wiedzieli czy widzieli. Tym samym zwykły, szary Niemiec, obywatel NRD, jeśli akurat zupełnym przypadkiem nie znalazł się wśród podejrzanych o dokonanie jakiegś zbrodni, mógł czuć się bezpieczny, daleko od publicznych dyskusji, nieobliczalnych dziennikarzy, wścibskich historyków i – wracając do przykładu Besta – własnych dzieci.

Bezpieczne mogło się w NRD czuć całe społeczeństwo – pewne, że przeszłość obciąża wyłącznie Oberländera i kolegów, że narodowy socjalizm stanowi fragment genety tylko RFN, czyli innych, reakcyjnych Niemiec. I w tym sensie można mówić w odniesieniu do NRD zarówno o „zimnej amnestii” jak i o „pewnej ciszy”, tyle że w innym wydaniu. Socjolog Rainer Lepsius nazywa to inaczej: badając stosunek do narodowego socjalizmu w trzech państwach niemieckojęzycznych, twierdzi, że Austria wybrała drogę „eksternalizacji”, oddalenia pytania przez negację jakiegokolwiek własnej odpowiedzialności; RFN, o czym będzie mowa za chwilę, „internalizowała” tę spuściznę, czyniąc z krytycznego stosunku do III Rzeszy kryterium akceptacji Republiki; NRD zaś „uniwersalizowała” problem, interpretując narodowy socjalizm jako fragment teorii formacji, ślepy zaulek kapitalizmu, po którym zaczęła się – przynajmniej w części Niemiec – całkiem nowa historia²⁵.

Wersja IV: internalizacja

„Zinternalizowana” *Vergangenheitsbewältigung* w RFN, trwająca od lat sześćdziesiątych do dziś, jest najbardziej znana i dlatego przedstawiona zostanie tutaj tylko hasłowo. Procesy wczesnych lat sześćdziesiątych – przede wszystkim Eichmanna i oświęcimskie – skonfrontowały opinię publiczną RFN po raz wtóry ze zbrodniami III

Rzeszy. Zbieżność czasowa z rewoltą młodzieży, symbolizowaną przez rok 1968, nadała problemowi „nierozliczonej przeszłości” ostrość wyjątkową. Kiedy w 1967 r. ukazała się – już wkrótce słynna – książka Aleksandra i Margarete Mitscherlich „O niemożności/ nieumiejętności bycia w żałobie” (*Die Unfähigkeit zu trauern*) tytułowa teza stała się oskarżeniem nie konkretnej grupy ludzi – bo przecież nie o zbrodniarzy autorom chodziło – lecz „pewnej ciszy” jako podstawy integracji, a tym samym całej Republiki, jej fundamentów prawnych i moralnych, wreszcie – perspektyw. Spór wokół narodowego socjalizmu był sporem o jego miejsce w historii Niemiec, tym samym o całą historię Niemiec i wreszcie o Niemcy współczesne. Niekończące się polemiki dotyczyły moralnych i politycznych konsekwencji zbrodni III Rzeszy – normalizacja stosunków z państwami realnego socjalizmu miała i taki wymiar – stosunku do komunistycznej części antyhitlerowskiego ruchu oporu, kwestii ciągłości i braku ciągłości w XX-wiecznej historii Niemiec, roli Hitlera, elit i Prus, tradycji niemieckiego stanu prawniczego, wreszcie, w tzw. sporze historyków drugiej połowy lat osiemdziesiątych – porównywalności zbrodni narodowo-socjalistycznych z innymi, przede wszystkim komunistycznymi. „Wielkie” tematy kontrowersji przekładały się na tysiące drobnych starć: o nazwę placu, uniwersytetu czy koszar, o treść napisów w muzeum obozu koncentracyjnego, o order i hymn narodowy, wspólną wizytę Kohla i Reagana na cmentarzu w Bitburgu, pacyfizm, porównanie Gorbaczowa do Goebbelsa czy o wieloznaczność stwierdzenia o „łasce późnego urodzenia”²⁶. W sporach tych w jakiejś mierze, za pośrednictwem mediów i podręczników szkolnych, kształtowała się świadomość historyczna Niemców Zachodnich, kształtowała się także *political correctness*, zaiste zgoła odmienna od polskiej.

Filary tej *correctness* w wstrzemięźliwy stosunek do narodu i nacjonalizmu/patriotyzmu z jednej strony oraz uczulenie na semantykę, dotyczącą obcych, przede wszystkim Żydów, z drugiej. Dyscyplinująca siła nieformalnych regulacji językowych jest ogromna; jej najbardziej prominentną ofiarą stał się Philipp Jenninger, zmuszony w listopadzie 1988 r. do ustąpienia ze stanowiska przewodniczącego Bundestagu. Przyczyną dymisji było jego przemówienie z okazji 50-lecia pogromu Żydów w listopadzie 1938 r. (tzw. *Reichskristallnacht*), przemówienie jak na polityka wyjątkowo głębokie, stawiające przed słuchaczami zasadnicze pytania o mechanizm holocaustu i przyczyny, dla których zwykli Niemcy popierali narodowy socjalizm. Wina Jenningsa polegała tylko na tym, że nie trzymał się obowiązującego kanonu samobiczowania i retoryki sentymentalnej, natomiast oburzenie okazało się wprost proporcjonalne do karygodności jego przewinienia. I nic nie pomogło, że hysterii wokół „afery Jenningsa” za granicą dość często nie rozumiano, że chwalił odwagę przewodniczącego Bundestagu Robert Kempner i Szymon Wiesenthal, a komentator „The Times” uznał, że Jenninger „was forced to resign because he had made a truthful statement to Parliament”²⁷. Fakt, iż dyskusja wokół tej sprawy trwa do dziś, pokazuje, że spór wokół dzisiejszej *political correctness* tak samo należy do kultury politycznej RFN jak ona sama: trwa on niejako od zawsze na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i „Die Zeit”²⁸, ale uczestniczą w nim nie tylko intelektualiści. W kontrowersji wokół kształtu pomnika ofiar holocaustu jedną ze stron jest urząd kanclerski i sam kanclerz²⁹, a o nowej wrażliwości Niemców na kwestię ich historycznej tożsamości publicznie dyskutuje z przewodniczącym Rady Centralnej Żydów najbliższy współpracownik Kohla³⁰.

Historia rzutuje więc na politykę RFN do dziś. Bez uwzględnienia tego elementu niezrozumiałe byłyby spory o stosunek do wojny w Zatoce Perskiej, ówczesna dymisja jednego z polityków „Zielonych” (który oświadczył, że arabskie ataki raketowe na Izrael to konsekwencja polityki Izraela), czy kontrowersje wokół użycia jednostek Bundeswehry w Bośni. Na dalszy plan zszedł zaś ten rodzaj rozliczeń z przeszłością, który wiąże się bezpośrednio z nazwiskami sprawców. Po pięcioleciu 1961-1965, kiedy osądzono dwukrotnie więcej nazistów niż w całych latach pięćdziesiątych, a liczba podejrzanych, przeciw którym toczyły się dochodzenia, przekroczyła 50 tys. osób³¹, rola prawnego wymiaru rozliczeń zaczęła powoli spadać. Nowelizacja kodeksu karnego w 1968 r. ucięła przygotowania do wielkiego procesu pracowników RSHA, a ściganie zbrodniarzy z wszelkich możliwych przyczyn zaczęło się stawać z roku na rok trudniejsze. Ostatnią może ofiarą tego bezpośredniego rozliczania sprawców z ich przeszłości stał się w 1978 r. premier Badenii-Wirtembergii, były sędzia marynarki wojennej, do końca wojny sądzący bez litości ziomków w mundurach. Ale Hans Filbinger, co charakterystyczne, jak wszyscy jego koledzy z sądownictwa III Rzeszy nie stanął i nie stanie przed sądem. Sąd Federalny jeszcze w 1968 r. podtrzymał opinię, że sławetny Trybunał Ludowy Freislera, odpowiedzialny za ponad 10 tys. wyroków śmierci, był „normalnym, niezależnym sądem”, a pełnej bezkarności sędziów narodowo-socjalistycznych nie zmieniła także uchwała Bundestagu z 1985 r., określająca Trybunał jako „instrument terroru” i kasująca skutki prawne wyroków przezeń wydanych³². Były premier Filbinger może spać spokojnie.

Skandal wokół bezkarności stanu prawniczego ożywa co pewien czas³³, nie powinien jednak przesłaniać całości.

W starej Republice Federalnej końca lat osiemdziesiątych brunatna przeszłość nie została rozliczona w sensie prawnokarnym, została natomiast osądzona politycznie i moralnie. Intensywność tych rozliczeń ustanowiła zasadniczy element kultury politycznej RFN, ukształtowała świadomość aktorów życia publicznego, w pewnym stopniu także wrażliwość szarego obywatela. I ten właśnie fakt nadać miał ton dyskusji pojednoczeniowej.

Wersja V: rozliczenia z NRD

W tym miejscu należy poświęcić kilka słów odpowiedzi na pytanie postawione w tytule. Jest ona w jakimś sensie oczywista: za III Rzeszę odpowiedzialność ponoszą Niemcy i tylko Niemcy, za NRD Niemcy Wschodni są odpowiedzialni mniej więcej tak, jak Polacy za PRL. III Rzesza na tyle zbliżyła się do modelu państwa totalitarnego według typologii Brzezńskiego i Friedricha, na ile rzeczywistość może zetknąć się z konstrukcją intelektualną, zbudowaną m.in. na jej podstawie (bo przecież III Rzesza służyła jako jeden ze wzorców do skonstruowania modelu), NRD natomiast miała i cechy państwa totalitarnego, i autorytarnego, przede wszystkim zaś – satelickiego. Odnośnie do „totalitarnych” elementów NRD, ograniczę się do dwóch przykładów, pokazujących, jak skomplikowany jest problem: nie można odmówić władzom NRD wielkiej dbałości o egzekwowanie monopolu informacyjnego, o czym każdy z nas mógł się przekonać na granicy tego państwa. Ale co to za monopol informacyjny, który kończy się codziennie o godzinie 20.00, kiedy to obywatele NRD masowo przełączali swoje telewizory na dziennik ARD³⁴? Drugi przykład dotyczy aparatu represji. Służba i policja bezpieczeństwa w III Rze-

szy (czyli m.in. gestapo) liczyły przed wybuchem wojny kilka tysięcy pracowników, „pilnujących” 70 milionów rodaków. Enerdowskie Stasi natomiast, czuwające jako „miecz i tarcza partii” nad populacją 17-milionową, zatrudniało w 1989 r. 91 tys. pracowników i rozciągało nad obywatelami NRD sito obserwacyjne o szczelności, o jakiej twórcy RSHA mogli tylko marzyć. Lecz to Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy nadzorował zagładę milionów Żydów i eksterminację kolejnych milionów Europejczyków; ofiary Stasi zaś możemy liczyć na 150-200 tys. wyroków w procesach politycznych³⁵, z których co najwyżej 1% mógł zakończyć się karą śmierci lub pchnięciem obwinionego do samobójstwa – różnica w skali zbrodni okazuje się odwrotnie proporcjonalna do różnicy w zatrudnieniu.

Jesteśmy tym samym przy podstawowych różnicach między III Rzeszą a NRD. Rzesza była mocarstwem, rozpoczęła wojnę światową, popełniła zbrodnie ludobójstwa, wytrzymała lat dwanaście, w tym cztery w wojnie przeciw reszcie świata, przed której zjednoczoną siłą wreszcie skapitulowała. NRD była satelitą, który samodzielnie nie przetrwał żadnego kryzysu, ale istniał lat 40; uchodziła w swojej części Europy za państwo represyjne, ale mieszczące się „w normie” realnego socjalizmu, impledowała wreszcie pod naciskiem własnych obywateli. Czy państwo satelickie, które albo wzywało obce czołgi, albo kapitulowało przed bezbronnymi demonstrantami, mogło być państwem totalitarnym? Przed kilku laty zdania polskich historyków w sprawie „totalitarności” PRL właśnie ze względu na jej satelitarność były podzielone³⁶, podobnie jak są one dziś podzielone wśród naszych niemieckich kolegów. Bodajże najciekawszy wydaje się pogląd, że concept totalitaryzmu najdalej może zaprowadzić nas tam, gdzie rzadko do tej pory był stosowany –

w historii społecznej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że realny socjalizm w warunkach historycznych Niemiec Środkowych owocował regresem w strukturze społecznej, hamując dyferencjację i forsując jej spłaszczenie; w tym sensie socjalistyczne *social engineering* okazało się znacznie bardziej skuteczne od nazistowskiego³⁷.

Pytanie o zasadność stosowania pojęcia totalitaryzmu dla naszego tematu – jak rozliczają się Niemcy z realnym socjalizmem – nie jest jednak tak istotne. Ważniejsza wydaje się okoliczność, że – przy świadomości wszystkich różnic ustrojowych – w dyskusji nad NRD co chwila odzywają się odwołania do rozliczenia z narodowym socjalizmem: jako wzór pozytywny („zrobiliśmy tyle, co nikt inny”, „musimy stosować równą miarę”) i jako wzorzec negatywny („nie może się powtórzyć pewna cisza, bo to zabójcze dla demokracji”), że jednym słowem dyskusja lat dziewięćdziesiątych wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby nie było precedensu III Rzeszy – choć wiadomo, że sam historyczny punkt odniesienia nadaje się do porównań tylko warunkowo.

Z czterech lekcji wychowania obywatelskiego, naszkicowanych powyżej, najmniej elementów przejęto z pierwszej. Nie było obozów internowania, a „enerdowska Norymberga” też nigdy nie była rozważana – choćby dlatego, że RFN nigdy nie uznała podstaw prawnych Norymbergii właściwej. Czyny przestępcze, popełnione w NRD, sążone są na podstawie kodeksów karnych obu państw niemieckich. Ponadto układ zjednoczeniowy stanowi wyraźnie, że karaniu podlegają tylko czyny, sprzeczne z prawem NRD. Tak więc nie może być ukarany pracownik Stasi, czytający prywatne listy; Sąd Najwyższy uniewinnia także – skazanych w pierwszej instancji – pracowników ministerstwa, którzy na podstawie prawa powielaczowego wyjmowali z prywatnych listów

pieniądze. Na poziomie decydentów zaś wygląda to tak, że przewodniczący enerdowskiego odpowiednika CRZZ skazany zostaje nie za swoje decyzje polityczne, ale za sfinansowanie z kasy tegoż CRZZ wydatków kolegi z Biura Politycznego, szef Stasi zaś – za morderstwo na policjantach Republiki Weimarskiej, popełnione w 1931 r. Wszystko to żywo przypomina sytuacje znane z procesów zbrodniarzy narodowo-socjalistycznych, podobne są zresztą także argumenty obrony: wskazywanie na niesprawiedliwość sądenia płotek – wykonawców w sytuacji, kiedy bezkarni pozostają mocodawcy, powoływanie się na zasadę ciągłości prawnej, podległości służbowej i dyscypliny wojskowej, sprzeciw wobec samej zasady procesów politycznych i ucieczka w zły stan zdrowia. Miał rację Joseph Rovin, kiedy w 1992 r. zarzucał organizatorom procesu zjednoczeniowego, że kierując prawnokarną *Vergangheitsbewältigung* – po doświadczeniach poprzednich dziesięcioleci – na drogę normalnej procedury sądowej, praktycznie przesadzili o jej szczerkowym znaczeniu³⁸.

Z koncepcji ograniczenia czystki politycznej do starranie wybranych fragmentów życia publicznego wynika także stosunek do lustracji. Powszechna „dekommunizacja” nie była przewidziana. Procedurę lustracyjną kandydata do pracy wdraża instytucja państwowa, która go zatrudnia; odsetek zwolnionych na podstawie tej procedury w instytucjach komunalnych czy krajowych wynosi z reguły mniej niż połowę obciążonych współpracą ze Stasi, czyli – zależnie od instytucji i landu – między 1 a 2%³⁹. Inaczej wygląda sytuacja w wymiarze sprawiedliwości – tym samym, który po 1945 r. pozostał praktycznie nietknięty – w wojsku, gdzie z zasady przejmowano oficerów co najwyżej do stopnia podpułkownika czy w służbie dyplomatycznej, gdzie w ogóle zrezygno-

wano z urzędników enerderskiego MSZ. Niemniej w kolejnej państwowotwórczej instytucji, jaką jest policja, zwolnionych zostało – znowu: zależnie od landu – tylko od 10 do 14% pracowników z 1989 r.

Urząd Gaucka, odpowiadający na zapytania pracodawcy informacją o stanie akt pracobiorcy, jest nowością nie tylko dlatego, że podobnych instytucji nie było ani w starej RFN, ani w NRD. Właściwe novum polega na tym, że prawo wglądu do „swojej” teczki, otrzymał każdy obywatel. Rozwiązanie to nie ma, jak wiadomo, odpowiedników w Europie postkomunistycznej i nie tylko tam. Od początku wywołuje niekończące się dyskusje, co kilka miesięcy pojawiają się propozycje nowelizacji ustawy, niemniej jedno wydaje się pewne: idea urzędu Gaucka coraz wyraźniej krąży po naszej części Europy, co jeszcze kilka lat temu nie wydawało się chyba większości z nas perspektywą bardzo realną.

W kontrowersjach wokół urzędu Gaucka liczne są odwołania do drugiej lekcji wychowawczej, czyli do koncepcji „pewnej ciszy” w RFN lat pięćdziesiątych. Cisza ta, jakkolwiek ją oceniać, w wypadku rozliczenia z NRD nie powtórzyła się i chyba już nie ma szansy się powtórzyć. Nie chodzi tu tylko o fakt zaistnienia urzędu Gaucka, ale i o sytuację polityczną, której urząd jest istotnym fragmentem. Otóż w odróżnieniu od partii radykalnej prawicy w RFN, w nowej Republice całkiem dobrze daje sobie radę partia postkomunistyczna, z jednej strony odcinająca się od negatywnych aspektów spuścizny po NRD, z drugiej zaś integrująca swoich wyborców wokół hasła, że „przecież nie wszystko było złe”, a inwazja kuzynów z Zachodu na pewno nie była celem demonstrantów z jesieni 1989 r. Walka postkomunistów o przetrwanie siłą rzeczy w sporej części toczy się na polu oceny przeszłości, a ocena ta jest kluczowa nie tylko dla PDS:

najpopularniejszy polityk SPD w nowych landach, oskarżony o współpracę ze Stasi premier Brandenburgii, po latach przesłuchań i oskarżeń, w 1994 r. poprawił swój wynik wyborczy z 38% na 54%. Paradoksalnie można w tym sukcesie dopatrzeć się wyrazu woli zakończenia rozliczeń, ale właśnie ze względu na polityczną rangę sprawy nie wydaje się to możliwe.

Z podobnych przyczyn nie wchodzi wreszcie w grę skorzystanie z lekcji trzeciej, czyli z „uniwersalizacji” problemu i uznania go za zakończony przez wkroczenie na nową drogę ustrojową. Załóżków takiej postawy można się dopatrywać w niechęci do rozliczenia przeszłości tzw. partii sojuszniczych, których działacze po części znaleźli miejsce w CDU i FDP, ale trudno sobie wyobrazić, by względ ten przeważał. Koalicje „za” i „przeciw” „grubej kresce” są bowiem, jak łatwo zauważyć, zmienne i niejako pozapartyjne: partie są za grubą kreską, gdy chodzi o ich własnych działaczy i przeciw, gdy chodzi o przeszłość konkurenta; wszystkie zaś „stare” partie są przeciw, gdy chodzi o PDS. A z sondaży społecznych wynika, że podziały takie przebiegają wewnątrz społeczności i starych i nowych landów, choć w tych ostatnich sprawa budzi niewątpliwie większe emocje.

Tak więc wygląda na to, że postenerderska *Ver-gangenheitsbewältigung* dawno wkroczyła na drogę „internalizacji”. Z jednej strony, oznacza to permanentną frustrację. W procesie Honeckera – który nie został przecież skazany – kilkuletnie wyroki więzienia otrzymali niektórzy członkowie Biura Politycznego. Podobne wyroki na podstawie formuły Radbrucha otrzymują niektórzy z tzw. strzelców na murze – żołnierze, którym można dziś udowodnić zabicie uciekiniera, a którzy swego czasu otrzymywali za celny strzał nagrody, i to od znacznie niższych przełożonych niż minister obrony narodowej.

Tenże minister z kolei może tylko marzyć o losie wspomnianego Wernera Besta, ideologa i organizatora zagłady, który nigdy nie stanął przed sądem Republiki Federalnej. Nie ma także tyle szczęścia co była kapo w obozie w Ravensbrück, skazana przez radziecki sąd wojskowy na 25 lat, która za ten wyrok otrzymała od RFN odszkodowanie w wysokości 65 tys. marek; za miesiąc więzienia otrzymała prawie cztery razy więcej, niż wynosiło miesięczne odszkodowanie pilnowanych przez nią więźniarek⁴⁰. Sprawy tej nie należy traktować jako typowej. Niemniej pytanie, jak się mają do siebie państwo prawa i sprawiedliwość, nie jest abstrakcyjne.

Z drugiej strony, *Vergangenheitsbewältigung*, owo „stawianie czoła przeszłości” jako ciągły proces, konstytuujący świadomość obywateli i narzucający politykom niezwykłe reguły zachowania, to w świetle doświadczeń niemieckich nie luksus, lecz konieczność. „Stara” Republika Federalna m.in. dlatego była w decydującej chwili zjednoczenia wiarygodnym partnerem w Europie, że mimo wszelkich niedociągnięć wykonała olbrzymi wysiłek dla rozliczenia się z przeszłością nazistowską i uwiarygodniła w ten sposób swoje oblicze jako inne, nowe państwo niemieckie. Dochodzimy w tym momencie do pytania: czy rzeczywiście model niemiecki nadaje się do adaptacji? Jeżeli przyjąć tezę, że dla RFN rozliczenie z nazizmem było narzuconą z zewnątrz koniecznością, a rozliczenie to przesądziło o podjęciu obrachunku z NRD, odpowiedź może wypaść negatywnie. Jeżeli natomiast przyjmujemy, że konieczność ta wynika nie tyle z wyjątkowej zbrodniczości systemu i względów reputacji międzynarodowej, co z konieczności wewnętrznej legitymizacji ustroju przez dyskurs o przeszłości, dojdziemy do wniosku przeciwnego. Wybór jednej z tych odpowiedzi należy do polityków. Historycy mogą robić to, co robili nasi niemieccy koledzy, z reguły zresztą rozczarowani nikłymi

wynikami swojej pracy: dostarczać surowiec, który gdzieś tam po dziesięcioleciach, w tej czy innej formie, może przesiąknąć do świadomości współobywateli i pozwoli im lepiej rozróżnić biel, czerni i różne odcienie szarości.

Przypisy

- 1 List ambasadora RFN Johannes Baucha do autora z 19 X 1995 r. (w zbiorach autora).
- 2 Wszystkie te lekcje obejmuje – jako jedna z nielicznych – praca Friso Wielengi, *Schatten deutscher Geschichte. Der Umgang mit dem Nationalsozialismus...*, Vierow/Greifswald 1995.
- 3 Zob. Klaus Diemar Henke, Hans Woller (Hrsg.), *Politische Säuberung in Europa. Die Abrechnung mit Faschismus und Kollaboration nach dem Zweiten Weltkrieg*. München 1991.
- 4 Kontrowersje wokół tego tematu najpełniej omawia w literaturze polskiej Franciszek Ryszka, *Norymberga. Prehistoria i ciąg dalszy*, Warszawa 1982.
- 5 Henke, *Politische Säuberung*, s. 41.
- 6 Dane m.in. za Wielenga, *Schatten*, s. 40.
- 7 Dane za Ulrich Brochhagen, *Nach Nürnberg. Vergangenheitsbewältigung und Westintegration in der Ära Adenauer*, Hamburg 1994, s. 165.
- 8 Ibid., s. 179, 189.
- 9 Brochhagen, *Nach Nürnberg*, passim. Dane statystyczne na temat sądownictwa alianckiego, także poza zachodnimi strefami okupacyjnymi, zob. Adalbert Rückerl, *Die Strafverfolgung von NS-Verbrechern 1945–1978*, Karlsruhe 1979, s. 27–32.
- 10 Temat ten jest obecnie opracowywany. Jeden z ważniejszych wyników pierwszych badań to artykuł Michaela Lemke, *Kampagnen gegen Bonn*, w: „Vierteljahrhefte für Zeitgeschichte” 1993 (41), s. 153–174.
- 11 Por. m.in. Brochhagen, *Nach Nürnberg*, s. 204–211. Autor wykazuje, że w stosunkach niemiecko-alianckich konstelacja ta – zastrzeżenia wobec postępowania Bonn i finalna ich akceptacja – była typowa.
- 12 Pojęcia spopularyzowane przez Jörga Friedricha, *Die kalte Amnestie. NS-Täter in der Bundesrepublik*, Frankfurt a.M. 1985.

13 Ulrich Herbert, *Best. Biographische Studien über Radikalismus, Weltanschauung und Vernunft 1903–1989*, Bonn 1996.

14 Herbert, *Best*, rozdział VI i VII.

15 Sprawa ta była opisywana wielokrotnie. Por. m.in. Rückerl, *Strafverfolgung*, s. 49 n.; Herbert, *Best*, s. 492, szerzej o artykule 131 – *ibid.*, s. 483–487.

16 Wielenga, *Schatten*, s. 52; Peter Reichel, *Politik mit der Erinnerung. Gedächtnisorte...*, München-Wien 1995, s. 299.

17 Bodaj najważniejszym z nich było zainteresowanie ukaraniem przestępstw i zbrodni, popełnionych przez Niemców na Niemcach – przede wszystkim żołnierzach i działaczach opozycji antyhitlerowskiej. Było ono związane z procesami m.in. Otto-Ernsta Remera i Ferdinanda Schörnera, później Waltera Huppenkothena, Ericha von dem Bach-Zawelskiego, Seppa Dietricha i innych, skądinąd znanych przede wszystkim z racji zbrodni, popełnionych poza granicami Niemiec. Zainteresowanie to znalazło wyraz także w literaturze i głośniejszych filmach: „Mordercy są wśród nas” i „Róże dla prokuratora”.

18 Hermann Lübke, *Der Nationalsozialismus im deutschen Nachkriegsbewußtsein*, w: „Historische Zeitschrift” 236 (1983), s. 579–599.

19 Na uroczystej sesji z okazji 50 rocznicy 30 stycznia 1933 r. Por. Włodzimierz Borodziej, *Minęło 50 lat*, „Tu i Teraz”, 9 II 1983.

20 Dane za *Materialien der Enquete-Kommission*, „Aufarbeitung von Geschichte und Folgen der SED-Diktatur in Deutschland”, 9 tomów, Frankfurt/M. 1995, tu: t. IX, s. 652, t. VIII, s. 300.

21 Rezolucja kierownictwa SED z 20 VI 1946 r. przedrukowana m.in. przez Christopha Kleßmanna, *Die doppelte Staatsgründung. Deutsche Geschichte 1944–1955*, s. 384 n. Szczere wyznanie Waltera Uibricha, że SED „nastawia się na wciągnięcie byłych nominalnych członków NSDAP (die kleinen Parteigenossen)” i że „nie przyjmuje się jeszcze małych Pg. do partii, ale tylko ze względów międzynarodowych, aby nie dać argumentów Anglosasom”, cyt. przez Włodzimierza Borodzieja, *Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby*, Londyn 1990, s. 297.

22 Na tę zbieżność czasową zwraca uwagę Norbert Frei, *NS-Vergangenheit unter Ulbricht und Adenauer*, w: Jürgen Danyel (Hg.), *Die geteilte Vergangenheit*, Berlin 1995, s. 125–132, tu: s. 128.

23 Olaf Groehler, *Verfolgten- und Opfergruppen in den politischen Auseinandersetzungen in der SBZ und DDR*, w: *ibid.*, s. 17–30.

24 Ulrich Herbert, *Zweierlei Bewältigung*, w: tenże, *Arbeit. Vol-*

ktum. *Weltanschauung. Über Fremde und Deutsche im 20. Jahrhundert*, s. 193–211.

25 Typologia Lepsiusa cyt. m.in. za Reichel, *Politik*, s. 35 n.

26 Por. *ibid.* oraz Wielenga, *passim*.

27 Por. zgodne opinie m.in. Reichel, *Politik*, s. 313–320 oraz Wielenga, *Schatten*, s. 68 nn.

28 Zob. np. ostatnio Gunter Hofmann, *Der Krieg der Erinnerungen*, „Die Zeit”, 2 II 1996.

29 *Die Mordstätten statt der Namen der Toten*, FAZ 24 IV 1996.

30 Odwołuję się tu do książki-dialogu Ignatza Bubisa i Wolfganga Schäuble, *Deutschland – wohin?*, Hrsg. von Frank Schirrmacher, Freiburg 1996.

31 Herbert, *Best*, s. 497; Wielenga, *Schatten*, s. 54; *ibid.*, s. 60 dane zbiorowe, według których w okresie 1945–1989 niemiecki wymiar sprawiedliwości prowadził postępowania przeciw 98 tys. Niemców, z których skazano 6.500 (w tym lwia część przed 1950 r.).

32 Por. Reichel, *Politik*, s. 190.

33 Sprawa ta wróciła ostatnio przy okazji starań o kasację wyroku śmierci na Dietricha Bonhoeffera; por. Regina Mönch, *Versagen der Nachkriegsjustiz*, Tagesspiegel 4 II 1996.

34 Zwraca na to uwagę Arnold Sywottek, „Stalinismus” und „Totalitarismus” in der DDR-Geschichte, „Deutsche Studien” z. 117/118, 30 (1993), s. 25–38, tu: s. 29.

35 Przykład cyt. za Wielenga, *Schatten*, s. 23, 96.

36 Andrzej Paczkowski (red.), *Czy PRL była państwem totalitarnym? Stenogram konswersatorium...*, mps powielony, Warszawa 1991.

37 Przegląd dyskusji na ten temat zawierają m.in. Jürgen Kocka, Martin Sabrow (Hg.), *Die DDR als Geschichte. Fragen – Hypothesen – Perspektiven*, Berlin 1994; IX tom „Materialien” (jak przyp. 20); Ralph Jessen, *DDR-Geschichte und Totalitarismustheorie*, Berliner Debatte INITIAL 4/5 1995, s. 17–24.

38 Joseph Rovon, *Das Erbe der Tyrannei*, FAZ 8 VIII 1992 r.

39 Dane za Wielenga, *Schatten*, s. 88 n.

40 Reichel, *Politik*, s. 148 n.

Adam Krzemiński

Psychospołeczne aspekty dekomunizacji w byłej NRD

Na „przewycięzanie” najnowszej przeszłości w byłej NRD spoglądamy zwykle poprzez pryzmat akt „Stasi”, działania „urzędu Gaucka” oraz najbardziej efektowne akcje medialne: zdemaskowanie byłych agentów bezpieki wśród znanych po roku 1989 polityków byłej opozycji demokratycznej, pisarzy i dziennikarzy. To jest oczywiście sprawa główna, odróżniająca „model niemiecki” dekomunizacji od „modelu czeskiego” czy „modelu polskiego”, ale w Polsce dość znana.

Jednak dekomunizację można potraktować szerzej, nie tylko jako proces „techniczny” – prawny i administracyjny, ale jako długą ewolucję mentalną społeczeństwa ukształtowanego przez totalitarne struktury państwa i przechodzącego (lub powracającego) od komunizmu do demokracji parlamentarnej i kapitalizmu.

Wschodnie Niemcy są w tej mierze przykładem wyjątkowym, różniącym się od wszystkich innych krajów postkomunistycznych, ponieważ NRD przystępując do Republiki Federalnej nie zachowała ciągłości państwowej, instytucjonalnej i personalnej. O ile w Polsce czy w Czechach mimo transformacji ustrojowej musiała być utrzymana ciągłość instytucji państwowych i – w dużej mierze – również postkomunistycznych elit, o tyle w Niemczech dekomunizacja rozgrywała się w gruncie

rzeczy „pod kłosem” przejętej z zachodu państwowości. I nawet jeśli niektóre ramy prawne dekomunizacji – otwarcie archiwów Stasi, utworzenie urzędu Pełnomocnika do ich administracji itd. – zostały uchwalone przez Izbę Ludową NRD jeszcze przed zjednoczeniem w roku 1990, to jednak oczywistym było, że odrębna państwowość NRD przestanie istnieć, co oznaczało brak konieczności nie tylko oczyszczenia ale i zachowania dawnych instytucji, wreszcie brak obawy powrotu komunistów do władzy.

Z kolei w żadnym innym społeczeństwie postkomunistycznym nie istniała tak silna jak w byłej NRD konieczność natychmiastowego sprostania zachodniej konkurencji: napływającym urzędnikom, specjalistom czy rewindykującym swą własność byłym właścicielom. To sprawiło, że wschodni Niemcy „dekomunizacja” zyskała inny niż np. w Polsce wymiar. U Niemców z byłej NRD obok potrzeby prawnego i moralnego rozrachunku z komunizmem pojawiła się potrzeba nowego określenia tożsamości zbiorowej wobec „tych z Zachodu”, i nawet jeśli wielką przesadą jest mówienie o nostalgii za czasami enerdowskimi („ostalgie”), to jednak problem przeszłości dla wielu Niemców z Lipska, Berlina, Drezna czy Rostocku narzuca nie tylko pytanie o to, „kto spośród moich przyjaciół donosił na mnie”, ale w gruncie rzeczy: „kim byłem i kim byliśmy jako społeczeństwo?”.

Hans Joachim Maatz, psycholog społeczny z Halle, pisał w roku 1991 w książce „Przewrócone społeczeństwo. Nieszczęśliwe zjednoczenie”*: „Mój stan mogę opisać następująco: dawna nie istnieje, zmiana wartości mać *blow* duszy, samo przystosowanie do nowych wymagań nie daje spokoju... Obawiam się, że narastający

krzys społeczny ściągnie na nas nie tylko uzasadnione kłopoty, ale da pretekst po temu, że nie będziemy chcieli się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Być może nieszczęśliwe zwycięstwo potężniejszego ustroju gospodarczego uchroniło nas od gorzkiego wnikięcia w nasz „problem matki” – zarówno nowych bogaczy, jak i dawnych biedaków – w obu przypadkach byłibyśmy dobrze zaopatrzeni, albo gromadząc bogactwa, albo uzalając się nad naszą nędzą.” Na planie psychospołecznym „dekomunizacja” to zarówno rozrachunek z winnymi represji, krzywd i kolaboracji, jak i uwolnienie się od dawnej mentalności ukształtowanej przez paternalistyczny socjalizm, oparty z jednej strony na represji i wszechobecnej ideologizacji, z drugiej natomiast gwarantujący bezpieczeństwo społeczne i pozwalający – zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach – na ułożenie sobie życia w „nizach prywatności”.

Niemiecka dekomunizacja – w odróżnieniu od polskiej – była wielką publiczną debatą, w której ujawnione akta Stasi odgrywały rolę ważną, ale ani jedyną ani chyba najważniejszą. Chodziło w niej o dokładne opisanie „półpaństwa” narzuconego w 1949 roku przez zwycięskie mocarstwo okupacyjne, jego ideologii, mechanizmów represji, ale też stopnia jego akceptacji i przejścia ukształtowanych przez ustrój NRD form współżycia. Dyskusja była zatem o wiele szersza i ogarnęła wszystkie środowiska – intelektualistów i robotników, urzędników i pracowników naukowych, żołnierzy pilnujących granicy i pastorów lawirujących między akceptacją socjalizmu a (w późniejszych latach) wspieraniem opozycji. I wreszcie dotyczyła mentalności gospodarczej Niemców z NRD, skutków trzydziestoletniej (od 1961 r.) izolacji i trudności w adaptacji do kapitalizmu po czterdziestu latach państwowego socjalizmu.

W porównaniu z sytuacją polską można zaryzykować

* (Das gestürzte Volk. Die unglückliche Einheit. Berlin 1991)

też, że ten wybuch „społecznej rozmowy” był o wiele silniejszy niż w Polsce po roku 1989 – i jest to zrozumiałe. W NRD nie było długiego okresu przejściowego, a cenzura i reglamentacja oficjalnego życia umysłowego była o wiele surowsza niż w Polsce. Podczas gdy w Polsce każdemu „przesileniu” towarzyszyły mniej lub bardziej swobodne debaty na temat polskiego społeczeństwa, a nauka opisywała je od lat w miarę poprawnie, to społeczeństwo enerdownskie przez całe dziesięciolecia takich debat, i takiej wiwisekcji było pozbawione. Z drugiej strony wszechobecność zachodnoniemieckiej telewizji prezentowała alternatywną rzeczywistość niemiecką i pokazywała, jak może wyglądać autoanaliza społeczeństwa otwartego. Z tej schizofrenicznej sytuacji – twierdzi Matz – wyrosła ogromna blokada emocjonalna, którą rozładować mogła tylko wszechogarniająca dyskusja Niemców z NRD na temat swej przeszłości i tożsamości.

Po siedmiu latach tej publicznej debaty można powiedzieć, że byli enerdowncy mnóstwo dowiedzieli się o sobie i swoim dawnym społeczeństwie, ale „mentalna dekomunizacja” bynajmniej nie jest zakończona. I nawet jeśli „ostalgia” – nostalgia za czasami Ostdeutschland dawnymi – jest w „nowych landach” raczej efektywnym wymysłem publicystyki, to jednak „mentalność enerdownska” okazała się trwalsza niż państwo, które ją wytworzyło, a jej przezwyciężenie trudniejsze niż mogło się wydawać, tym bardziej, że wcale nie są jasne kryteria – polityczne, prawne, moralne i mentalne – według których należałoby osądzić NRD, jako państwo i jako społeczeństwo.

Zwykle – nie tylko w Niemczech – stosuje się matrycę totalitaryzmu, porównując komunizm z hitleryzmem, NRD z III Rzeszą, SED z NSDAP, a denazyfikację z dekomunizacją. Mówi się, że Niemcy mają doświadczenie z obydwojma dyktaturami XX wieku i po roku

1989 nie powinny powtórzyć błędu z okresu po 1945 r. Problem w tym, że mimo oczywistych analogii model totalitaryzmu nie wystarcza. III Rzesza była państwem suwerennym, Hitler doszedł do władzy legalnie, (choć prawnicy spierają się czy wybory z 1932 r. przeprowadzone w warunkach zastraszania można uznać za wzór legalności), III Rzesza wywołała ludobójczą wojnę światową i padła po pięciu latach, gdy armie koalicyjne zajęły Niemcy. NRD – podobnie jak i Polska – była państwem wasalnym ZSRR, ale uznanym międzynarodowo, wojny nie wywołała, natomiast rozpadła się, gdy jej obywatele mogli zdecydować, że wolą model drugiego państwa niemieckiego. Z drugiej strony analogie formalne między społeczeństwem hitlerowskim i stalinowskim narzucają się tak silnie, że łatwo ulec pokusie użycia schematu totalitaryzmu jako wystarczającego do opisu społeczeństwa enerdownskiego. A jednak szczegółowa analiza bardzo szybko wykazuje, że ten wzorzec nie wystarcza. Gorzej, że nie ma niepodważalnych kryteriów prawnej oceny nawet tak oczywistych przypadków, jak strzelanie do uciekinierów na granicy. Stąd dekomunizacja niemiecka – bardziej spójna i systematyczna niż polska czy czeska – przypomina jeden wielki węzeł gordyjski, który po części rozsypywano, po części przecinano, a po części pozostawiono dla następnych pokoleń.

Gdy we wrześniu 1991 r. rozpoczął się pierwszy z 13 procesów przeciwko żołnierzom wojsk pogranicznych winnych śmierci uciekiniera (w ciągu 30 lat na granicy NRD zginęło niemal 600 osób), szybko okazało się, że niezmiernie trudno jest osądzić i skazać bezpośrednich sprawców, nie osądzając ich rozkazodawców, aż po szefa państwa, Ericha Honeckera. Zresztą stosunek mieszkańców byłej NRD do tych procesów był bardzo mieszany. Z jednej strony ludzie chcieli sprawiedliwości, z drugiej

wyczuwali, że zwykli żołnierze są tu najmniej winni. I tak petycję w obronie oskarżonych podpisało tysiące ludzi, w tym również zatrzymani niegdyś na granicy i skazani za próbę ucieczki na karę więzienia. Gdy w końcu rząd federalny wymusił powrót Ericha Honeckera z Moskwy i postawił go przed sądem, proces skończył się farsą. Był sekretarz generalny SED przed ogłoszeniem wyroku został zwolniony ze względu na zły stan zdrowia i wyjechał do Chile. Winni śmiertelnych strzałów żołnierze najpierw otrzymali wyroki z zawieszeniem, potem i one zostały zrewidowane, a skazano byłego ministra obrony NRD i kilku generałów. Nawet dla prawnej oceny tak zdawałoby się jednoznacznego przypadku, jak kierowanie przez całe dziesięciolecie ministerstwem bezpieczeństwa, sąd nie był w stanie znaleźć formuły prawnej, i znieuawidzony powszechnie Erich Mielke został osądzony za udział w zabójstwie dwóch policjantów jeszcze w czasach Republiki Weimarskiej, a nie za terroryzowanie i represjonowanie mieszkańców NRD.

Znaczenie procesów wyższych funkcjonariuszy partyjnych i państwowych NRD polegało resztą nie tyle na ukaraniu sprawców, ile na napiętnowaniu mechanizmu państwa narzuconego. Niemniej nigdy nie stanęła na wokandzie kwestia kolaboracji kierownictwa NRD z Kremlem, nie było sprawy powizań Stasi z KGB, Markus Wolf, szef wywiadu NRD został co prawda postawiony przed sądem za „zdradę”, co było zarzutem absurdalnym, ale i w tej sprawie zabrakło solidnych kryteriów czym naprawdę była NRD – suwerennym państwem, czy marionetką radziecką we władzy „zbrodniczego reżimu”.

Komunizm w Europie Środkowo-Wschodniej był narzucony w różnym stopniu. Były kraje – jak Czechy – w których Armia Radziecka była witana jako rzeczywista

wyzwolicielka, a komuniści dochodzili do władzy niemal legalnie. I były kraje – jak Polska – w których tradycyjna awersja do rosyjskiego imperializmu nakładała się na silny antykomunizm. Niemcy były w sytuacji szczególnej. Z jednej strony Rosja budziła przerażenie i lekceważenie, z drugiej respekt jako mocarstwo zwycięskie. Poza tym antyfaszyzm niemieckich komunistów (zarówno autentyczne ofiary hitleryzmu, jak i mit komunistycznego antyfaszyzmu) silniej niż np. w Polsce legitymizował w latach pięćdziesiątych rządzącą partię. Chętne przejście po wojnie do zwycięskiego obozu komunistycznego wielu – szczególnie młodych – Niemców, którzy w dzieciństwie przeszli przez Hitlerjugand i Wehrmacht, jest zjawiskiem autentycznym, wielokrotnie opisywanym przez niezależnych intelektualistów żyjących w NRD, jak Franz Fühmann czy Victor Klemperer.

PRL i NRD – dwa kraje satelickie – zbudowane na tej samej stalinowskiej matrycy stanowiły w gruncie rzeczy dwa różne światy mentalne, słabo do siebie przystające. W krótkim okresie, gdy w Polsce panował stalinizm w wersji czystej, (początek lat pięćdziesiątych), w NRD – ze względu na otwartą granicę z Zachodem i niepewny status państwa – polityka wewnętrzna była bardziej liberalna, tak że pierwsza rewolta w całym bloku wybuchła właśnie tam – 17 czerwca 1953 r. – pochłaniając około 1000 ofiar. Potem jednak NRD już nie uczestniczyła w żadnej „odwilży”. Do upadku muru w 1989 u władzy pozostała w zasadzie ta sama generacja wojenna, niezdolna ani do reform ustrojowych ani do przekazania władzy następnemu pokoleniu.

O ile PRL była państwem niesuwerennym, ale organizm – jedynym wówczas realnym państwem polskim, z własną historią najnowszą, po 1956 r. – z mniej lub bardziej jawnie ścierającymi się siłami politycznymi

jak partia, kościół, chłopci, potem opozycja, z różnymi definicjami własnych interesów państwowych i narodowych – o tyle NRD była jedynie „półpaństwem podlegającym wymówieniu”.

Bierność społeczeństwa enerderskiego nie można tłumaczyć jedynie sytuacją państwa frontowego, na styku dwóch bloków, i zwiększoną z tego powodu represywnością. Akceptacja komunizmu w NRD miała więcej przyczyn. Jedną z nich było poczucie, że NRD ma wyższy standard życia niż inne kraje bloku. Ponadto komunizm stwarzał coś w rodzaju „tożsamości zastępczej”. Jeszcze w latach 1988 czy 1989 opozycja demokratyczna potrafiła przecież zbierać się pod hasłami „prawdziwych marksistów” jak Róża Luksemburg.

We wszystkich państwach realnego socjalizmu wytworzył się pewien typ mentalny który Józef Tischner za Zinowiewem nazwał – *homo sovieticus*. Jednak w NRD był on głębiej zakorzeniony niż w Polsce. Jak dowodzi w „Polityce” Jerzy Kleer, porównanie zachowań prorynkowych Polaków i mieszkańców NRD w dobie transformacji wypada na niekorzyść Niemców, którzy nie tylko nie mieli długiej przejściowej fazy otwarcia i „odklejania się” od nadopiekuńczego państwa, ale nie mieli także zarobkowych emigrantów, stypendystów, czy po prostu handlarzy krążących między Wschodem i Zachodem (tak bardzo denerwujących Niemców z NRD pod koniec lat osiemdziesiątych – nie tylko dlatego, że swobodnie jeździli do Berlina Zachodniego, ale przede wszystkim dlatego, że swą oddolną inicjatywą „deregulowali” rzekomo socjalistyczną gospodarkę enerderską).

Ogromna większość Niemców z NRD nie podważała legalności państwa, nie podważała też jego praw. To państwo ograniczało swobody, panował w nim zaduch i zakłamanie, ale też można się było urządzić w swojej

niszy. Pytanie, dlaczego w NRD komunizm był bardziej dogmatyczny i bardziej rygorystycznie przestrzegany niż w Polsce czy na Węgrzech, jest nie tylko pytaniem o niemiecką historię, ale przede wszystkim o mentalność polityczną obłożonej twierdzy.

W NRD nie było szturmów na Bastylię, nie palono komitetów partyjnych jak w Budapeszcie 1956 czy w Gdańsku 1970, nigdy też nie unieruchomiono całego kraju strajkiem generalnym. Był natomiast szturm na centralę Stasi, po to by zabezpieczyć akta Stasi przed zniszczeniem. Dla historyków syndrom Stasi, zachowanie i otwarcie akt, jest niesłychaną gratką, dzięki temu można dokładnie odtworzyć sposoby działania Stasi, oraz wejrzeć w materiały, które w normalnych państwach nie są ujawniane przez całe dziesięciolecia. Natomiast dla zwykłych ludzi otwarcie akt miało znaczenie oczyszczające, każdy mógł się przejrzeć w lustrze безпеки, zerknąć we własną przeszłość, stwierdzić czy jest ofiarą czy sprawcą, dowiedzieć się, kto ze znajomych był szpiclem, a kto nie uległ pokusie. Dla psychologa społecznego fakt, że właśnie archiwa Stasi stały enerderską Bastylią jest znamienny, jak gdyby z tych akt społeczeństwo o przeżytej, niepełnej tożsamości, chciało się dowiedzieć, kim było.

Nie ma w tym szyderstwa. W ciągu półtora roku bez mała 2 miliony ludzi złożyło wnioski o wgląd w swe akta. W momencie zjednoczenia w „urzędzie Gaucka” było 52 pracowników, dwa lata później 3500. W ciągu pięciu lat niemiecka opinia publiczna była nie raz zaskakiwana kolejnymi ujawnieniami byłych agentów, do najbardziej znanych należy sprawa ostatniego premiera NRD, Lotara de Maizera, adwokata zarejestrowanego przez Stasi jako agent „Czerny”, premiera Brandenburgii, Manfreda Stolpe – „Sekretarza”; wśród spraw najbardziej efektow-

nych znajdziemy szpiclowanie dysydentki, Very Wollenberger, przez jej własnego męża, następnie organizowanie przez agenta Stasi młodoliterackiego ruchu wśród krytycznie myślących młodych intelektualistów.

Spór o akta Stasi toczył się bez końca. Zwolennicy ich zamknięcia wskazywali na negatywne skutki rozdrapywania ran, na nieuzasadnione, ślepe zawierzenie temu, co zapisywali agenci, i na konieczność ogólnonarodowego pojednania w warunkach wciąż istniejącego rozdarcia między Wschodem i Zachodem. Przeciwnicy zamknięcia akt twierdzą, że amnestia jest możliwa jedynie w oparciu o znajomość prawdy, że nie ma powodu wątpić w autentyczność akt. To właśnie dzięki otwarciu archiwów, mówił Joachim Gauck w licznych wywiadach, można się było przekonać, że przygniatająca większość Niemców z NRD wcale nie współpracowała ze Stasi, „nie byliśmy społeczeństwem agentów”.

Dodatkowym argumentem przeciwko amnestii było porównanie z nieudaną – bo w zasadzie zbojkotowaną przez Niemców zachodnich – denazyfikacją po roku 1945, która spowodowała gwałtowny konflikt pokoleń w latach sześćdziesiątych siedemdziesiątych. A jednak: Niemcy są dziś jedną z najstabilniejszych demokracji na świecie – pisze Tina Rosenberg w nagrodzonej nagrodą Pulitzera książce „Kraje nawiedzone przez upiory komunizmu”^{*} – w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zmieniły całą swą polityczną kulturę. A więc coś się jednak udało. Być może więc denazyfikacja mimo swych braków była skuteczna i tak długo zmuszała byłych nazistów do udawania demokratów, aż maskarada stała się rzeczywistością...

Dekomunizacja jest jednak trudniejsza od dawnej

^{*} (The Haunted Land Ghosts. Facing Europe's Ghosts After Communism, New York 1995)

denazyfikacji. Niemiecki model dekomunizacji – w zasadzie znacznie mniej restryktywny niż czeski, bo oparty na analizie konkretnych a nie pomówień – ma swe zalety ale ma też wady. W odróżnieniu od czeskiej lustracji, akta są oceniane w sposób bardzo zróżnicowany, dopuszczono też względy łagodzące w ocenę współpracy ze Stasi, ale i ten wzorzec jest niejednoznaczny. Najlepszym przykładem sprawa Manfreda Stolpe, któremu mimo szczegółowych analiz nie udowodniono działalności agenturalnej, choć z drugiej strony te same zarzuty, gdyby postawiono je innemu landzie – na przykład w Saksonii – dawno już pozbawiłyby pracy człowieka na nieporównywalnie niższym stanowisku, na przykład nauczyciela gimnazjalnego czy profesora uniwersytetu.

Niemiecka dekomunizacja ma jeden – niespotykany w tym stopniu w innych krajach postkomunistycznych – aspekt. Ponieważ po zjednoczeniu Niemiec do byłej NRD napłynęli z Zachodu fachowi urzędnicy, prawnicy i ekonomiści, – jak pisze Tina Rosenberg „czystki osiągnęły swój niewypowiedziany cel zasadniczy – zmniejszyły nagły nadmiar urzędników i pracowników służb publicznych. Ich celem nie było ułatwieniem Niemcom sporu z przeszłością czy stworzenie nowej demokratycznej kultury politycznej; przeciwnie – czystki powszechnie uważano za egzekucją i wywoływały one reakcje negatywne. Zwolnieni nie czuli wstydu czy skruchy z powodu dawnej współpracy przeciwnie, użalali się nad sobą i byli wściekli. Znowu nie uważali się za sprawców, lecz tym razem za ofiary.” Wolfgang Nowack, który przybył do Saksonii z zachodu na stanowisko ministra oświaty, by zwolnić 13 500 nauczycieli, już po wykonaniu zadania miał duże wyrzuty sumienia: tragedia polegała na tym, mówił, że Stasi często werbowała najlepszych, podczas gdy wielu nieudolnych było „czystych” i pozostało na stanowisku.

Najbardziej frapującym elementem niemieckiej dekomunizacji okazał się skądinąd nie tyle wgląd w akta Stasi czy czystka w aparacie państwowym, ile próba przezwyciężenia komunizmu przez przełamanie „lęku przed zetknięciem” i nawiązanie publicznego dialogu ofiar ze sprawcami.

Najbardziej efektowne, najczęściej omawiane w prasie i pokazywane w telewizji przypadki to rozmowy dysydentów z agentami Stasi zakonspirowanymi w ich własnym środowisku. Z jednej strony były to smakowite wydarzenia medialne, z drugiej chodziło w tych rozmowach o swoistą publiczną psychoterapię: jak można było zostać agentem? Jakie były mechanizmy werbowania? Jaką rolę odgrywali agenci w środowiskach dysydencji? Na ile były one sterowane, na ile agenci wyrządzali szkodę, a na ile – jak twierdzili – chronili grupę łudząc się zarazem, że wpływają na władze informując je o konieczności zasadniczych reform? Nawet tak znani pisarze jak Heiner Müller ulegali pokusie „oświecania władz” przez rozmowy ze Stasi, uważając, że w ten sposób przyczynia się do zreformowania ustroju.

Możnaby sądzić, że Niemcy mają więcej protestanciej potrzeby autorefleksji i publicznego wraźnia skruchy, niż społeczeństwa katolickie czy prawosławne. W praktyce jednak niemiecki pęd do samopoznania wynika z otwarcia akt, dostarczającego niespotykanego w żadnym innym kraju bogactwa materiału, po prostu można było mówić o konkretach. Ale jak ma rozmawiać ze sobą małżeństwo, w którym mąż szpiclował żonę? W końcu i w Niemczech okazało się, że rozmowy w kuchni są najpewniejszym sposobem przezwyciężania przeszłości, choć są granice, poza którymi rozmów przestaje być możliwa. Stasi była dla wielu Niemców obsesją, silniejszą niż na przykład SB w Polsce, i stąd „syndrom

Stasi” po upadku muru – pisze Tina Rosenberg: ujawnienie winy i publiczna rozmowa pomagają, ale w sposób ograniczony. Ofiary Stasi zwykle nie mogą uwolnić się od swych traumatycznych przeżyć, podczas kiedy większość kolaborantów tajnej policji wcale nie jest gotowa do refleksji na temat krzywdy jaką wyrządzali, i bardzo rzadkie okazują się przypadki wyrażania skruchy. Niemniej audycje telewizyjne w rodzaju: „Mój przyjaciel – agentem Stasi” – były oglądane niezmiernie chętnie i w okresie największego napięcia spełniały rolę terapeutyczną. Z czasem jednak ludzie stracili nimi zainteresowanie, choć – jak dowodzi mocna w byłej NRD pozycja postkomunistycznej PDS – dekomunizacja mentalna wcale nie jest zakończona...

Marcin KULA

Jakiej historii Polacy potrzebują?

Powyższy tytuł jest parafrazą tytułu książki Jerzego Jedlickiego¹. Przeanalizował on w swej książce dyskusję, jakie w XIX w. toczyły się nad pożądanymi kierunkami ewolucji nie istniejącego wówczas kraju. Sam jednak, w odróżnieniu odeń, nie będę analizował dyskusji, gdyż na wybrany przeze mnie temat praktycznie się ona nie toczy. Przetoczyły się przez prasę, stopniowo wygasając, dyskusje nad kilkoma aspektami dziejów najnowszych – ale nie nad tym, czego się od historii oczekuje, jak ją uprawiać i jak jej uczyć. Nawet kształt programu szkolnego nie wzbudza dziś emocji.

W tej sytuacji, może nadużywając tytułu Jedlickiego, pozostaje mi powiedzieć, co sądzę w kwestii: jakiej historii Polacy potrzebują w odniesieniu do niedawnej przeszłości. Mój głos będzie kolejną z wypowiedzi, jakie już wcześniej formułowałem na temat nauczania historii². W każdej z nich postulowałem traktowanie nauczania elementarnego biegu wydarzeń dziejowych jako początku, a nie jako celu procesu dydaktycznego. Nie ulega wątpliwości, że alfabet w zakresie wiedzy historycznej trzeba znać, by w ogóle zacząć rozmowę. Po jego poznaniu rozmowa powinna się jednak dalej potoczyć.

Chętnie widziałbym rozmowę o komunizmie jako reprezentującym wiele problemów cywilizacji XX w. Nawet jeśli, jak sądzą niektórzy, komunizm byłby absolutnym ineditum w dziejach, to przecież był tworem naszych czasów, a wiele ich cech wyjaskrawił. Właśnie na jego przykładzie wiele z nich można lepiej dostrzec. Najszybciej przychodzi tu oczywiście na myśl zagadnienie totalitaryzmu. Dyskusja, w której też miałem okazję zabierać głos, nad tym, czy system PRL-owski był totalitarny, zdaje mi się być mało istotna z punktu widzenia odpowiedzi na pytanie o nasz niedawny los. W sferze faktów raczej się zgadzamy, że był to system z istoty totalitarny, który – bardzo długo zachowując podstawową strukturę – faktycznie w wielu sprawach „popuścił” bądź (i) został do tego zmuszony. W zależności od tego, jak zdefiniujemy totalitaryzm, ustalimy czy „realny socjalizm” w wydaniu PRL był totalitarny w całym okresie trwania, czy też był (nie był) totalitarny w pewnych latach. Na ile z punktu widzenia oceny PRL owa dyskusja terminologiczna zdaje mi się nieco jałowa, to przecież uważam ją za istotną z punktu widzenia zwiększania wiedzy o zjawisku totalitaryzmu, a więc o jednym ze zjawisk niestety podstawowych dla XX w. Chciałbym, ażeby to, co studenci (uczniowie) zyskają przy dyskusji na ten temat, wzbogaciło ich nie tyle (nie tylko) w zakresie wiedzy o komunizmie, ale by dało im lepsze narzędzia intelektualne do poznania wszelkiej otaczającej rzeczywistości.

Chętnie rozpatrywałbym sprawę komunistycznych zbrodni i ukarania winnych jako fundamentalną (niestety!) dla XX w. kwestię winy zbiorowej. Odnoszę wrażenie, że filozofia prawa zupełnie nie jest przygotowana do poradzenia sobie z tym zagadnieniem, zaś nasze spontaniczne odruchy obejmują cały wachlarz propozycji, od

wieszania na latarniach ludzi symbolizujących zbrodnie bądź przypadkowo złapanych, przez stawianie przed sądem najwyższych „szyszek” lub – z drugiej strony – drobnych bezpośrednich wykonawców, po uznanie, że skoro wszyscy zawinili, to w gruncie rzeczy nikt nie jest winien.

Największe zbrodnie naszych czasów były operacjami rozbitymi na wiele, nieraz zupełnie niewinnych czynności. Kolejni ludzie przy nich współpracujący jedynie dokreślali kolejne śrubki³. Największe zbrodnie XX w. były zbrodniami, w których jednocześnie stojący na szczycie zdobywali masę współpracowników i bezpośredni wykonawcy byli nieraz najmniej ważnymi zbrodniarzami. Nie jest tak, iżby za Katyni odpowiadał tylko Stalin bądź tylko strzelający sierżant NKWD – i nie jest tak, iżby za Auschwitz odpowiadał tylko Hitler i esesman wrzucający pojemnik gazu do komory. Jednak tylko te dwie kategorie ludzi można dziś, mówiąc z pewną przesadą, sądzić w ramach naszej filozofii prawa. Ucząc historii w szkole, chętnie robiłbym na lekcji nie tylko sąd nad Stanisławem Augustem, jak to się nieraz czyni, ale właśnie sąd nad zbrodniarzami działającymi w służbie komunizmu – by pokazać uczniom całe skomplikowanie sprawy, poczynając od kwestii, kogo posadzić na ławie oskarżonych.

Chętnie postawiłbym też przed uczniami zagadnienie szans przetrwania w totalitaryzmie średniowiecznych cnót rycerskich, na których – przeniesionych najpewniej przez Dekalog i, powiedzmy, Prawo Harcerskie – zbudowany jest nasz system wartości. Jeszcze w XIX w. (zaryzykuję stwierdzenie!) problem zdrady, kolaboracji i, z drugiej strony, szlachetności, przedstawiał się w miarę jasno. W dwudziestowiecznych systemach totalitarnych kolaborowali wszyscy, którzy akurat nie siedzieli w więzieniach (a i ci, jeśli się nie załamali). Oczywiście ta

kolaboracja była stopniowalna – ale znakomita większość z nas wszystkich brała pensje z państwowej kasy, była kółkami w mechanizmie systemu, a nawet, co wspominać jako dużą obrzydliwość – choć rzecz pozostawała bez znaczenia praktycznego – oddawała cesarzowi co cesarskie, np. zapewnając dla świętego spokoju tzw. płachty w Instytucie Historii PAN bzdurnymi planami i jeszcze bzdurniejszymi sprawozdaniami.

Chętnie rozpatrywałbym wraz z uczniami kwestię komunizmu w kontekście sprawy narodowej, jak się okazało fundamentalnej dla XX w. Ideologia komunistyczna nie była jedyną nie przywiązaną, przynajmniej deklaracyjnie, wagi do sprawy narodowej. Niejednemu myślicielowi wydawało się, że narody, będące na podobieństwo wyrostka robaczkowego pozostałością po strukturach plemiennych, znikną w procesie modernizacji. Tymczasem sam komunizm faktycznie nie uwolnił się od kwestii narodowej. Rewolucje komunistyczne w Azji oraz, z pewnymi niuansami, komunizm kubański i afrykański, stały się w ogóle, przynajmniej na pewien czas, formą realizacji pragnienia emancypacji narodowej. Komunizm w Rosji bardzo szybko stał się rosyjski i uznał się za spadkobiercę tradycji oraz reprezentanta interesów Rosji. Wbrew dzisiejszym potocznym wyobrażeniom, komunizm rosyjski oraz świecący światłem odeń odbitym komunizm w krajach Układu Warszawskiego potrafiły być potężnie szowinistyczne i wręcz organizować akcje godne carskiej Ochrany. Niejednokrotnie, w tym także w Polsce, komunizm wykorzystywał wątek narodowy, inna sprawa w jakim stopniu skutecznie, dla legitymizacji swego panowania⁴. Nie przeczy to oczywiście, że skądinąd cały bunt antykomunistyczny miał miejsce przy odwołaniu się do dyskursu narodowego – co stanowi kolejną sprawę do analizy, z której korzyści intelektualne

mogą i powinny być znacznie szersze niż „jedynie” powiększanie wiedzy o komunizmie.

Chętnie widziałbym rozważanie spraw komunizmu w kontekście fundamentalnego dla naszych czasów zagadnienia modernizacji i, co powiązane, potrzeby zachowania tożsamości. Komunizm przedstawiał sam siebie jako ruch zrywający z przeszłością. *Expressis verbis* stawiał sobie cele modernizacyjne. Generalnie jednak, przynajmniej w moim przekonaniu, nie udało mu się stać grubą kreską pomiędzy starymi a nowymi czasami – podobnie jak nie udało mu się wiele zmodernizować. Nawet jeśli został poczęty na zmodernizowanym Zachodzie, to po urodzeniu w zacofanej gospodarczo i mało społecznie zmodernizowanej Europie Wschodniej oraz w części Azji, komunizm nabrał cech właściwych tym terenom. Komunistyczny autokratyzm radziecki był potomkiem autokratyzmu carskiego, Mao Tse-tung jako żywy bóg stał się kolejną edycją postaci cesarza chińskiego, zaś władza duchowa i doczesna, która łączyła się w rękach carów i cesarzy, łączyła się nadal w osobach komunistycznych przywódców. Zamkniętość i konserwatyzm skądinąd przez komunizm niszczonej chłopskiej grupy wschodnioeuropejskiej czy, jak domniemywuję, azjatyckiej, objęły społeczeństwo w skali państwa i zostały wsparte karabinami. Tuchaczewski musiał przegrać z Budionnym, który w dyskusjach nad modernizacją armii twierdził, iż najważniejszy jest koń i szabla⁵. W niedawno przerobionych przeze mnie wraz ze studentami skargach na funkcjonariuszy partyjnych, wpływających do KC PZPR na początku lat pięćdziesiątych, sprawa kto śpi w czym łóżku fascynowała tyleż skarżący się „lud pracujący miast i wsi” (sformułowanie Konstytucji 1952 r.), ile badających sprawy partyjnych rewizorów⁶.

Wbrew własnym deklaracjom komunizm usiłował zawrócić ewolucję społeczeństwa od zamkniętości do

otwartości, przywrócić jego korporacyjność, odtworzyć więź patron-klient, nieraz wręcz wprowadzić stosunki parafeudalne. Walcząc z Kościołami i religiami sam przyjął formy parareligijne, wręcz nieraz je odziedziczył. Przy rozpatrywaniu takich spraw otwiera się szerokie pole dla rozważań nad tym, czym jest modernizacja i społeczeństwo otwarte. Także – czy występują i jak się ewentualnie rysują sekularne tendencje ewolucyjne w tym zakresie oraz czy nawet rozbicie (w wypadku komunizmu częściowe!) dotychczasowych struktur, uprzemysłowienie oraz urbanizacja gwarantują ewolucję w kierunku modernizacji i otwartości. Z kolei bunt antykomunistyczny, odbywający się zarazem w imię doświadczenia świata rozwiniętego tudzież w intencji zachowania (odzyskania) własnej tożsamości, stanowiłby wdzięczny punkt wyjścia do rozmowy o również kluczowym dla naszych czasów zagadnieniu możliwości jednoczesnej modernizacji i pozostania sobą. Czy rezygnacja z własnej tożsamości jest warunkiem koniecznym unowocześnienia? Czy można przemieszczać się przy pomocy samolotów, telewizji i internetu po całym świecie, a jednocześnie pozostać sobą? W jakim stopniu warto pozostać sobą? Czy przyszły świat jest skazany na ujednoliconą kulturę, na okopanie się przez różne grupy w ich okopach św. Trójcy, czy też na jakąś sytuację pośrednią? Może różne kultury, przy zachowaniu całego swego bogactwa, staną się kulturami jednakowo naszymi? Ostatnie Olimpiady są dobrymi przykładami różnorodności tendencji występujących na tym polu. Cały świat ogląda jedno i to samo widowisko, wykonywane jednakowoż przez aktorów występujących w barwach narodowych (nawet jeśli nieraz podkupionych!), zaś transmisja części artystycznej kolejnych olimpiad przekazuje lokalny, specyficzny folklor. Bardzo trudno jest w tej sytuacji przewidzieć dalszą ewolucję światow-

wej kultury, a jeszcze trudniej wskazać na pozytywne i negatywne każdej z możliwych dróg.

Bardzo chętnie widziałbym refleksję nad komunizmem w kontekście wagi samodzielnego i niezależnego myślenia człowieka. Komunizm rodził się z protestu przeciw bezmyślności, której symbol stanowiła Rosja carska. Charakterystyczne jest jednakowoż, że komunizm padał jako twór potężnie sklerotyczny. W międzyczasie zrealizował dominację ideologii nad myśleniem, zamroził obieg informacji oraz myślenie parareligijne na wielką skalę. Zamiast refleksji nad tym, skąd przyszliśmy i dokąd idziemy, proponował realizację utopii. W rezultacie doprowadził do tego, że wielu nawet mądrych ludzi zdumiewająco jakby skretyniało, co w skali społecznej dało skutki w postaci np. przegapienia w ZSRR rewolucji komputerowej. W końcu wywiad i sektory wydzielone, nawet jeśli mogły zastąpić wielu w wielu sprawach, wszystkiego nie były w stanie załatwić.

Sprawy myślenia są fundamentalne dla XX w. Z jednej strony były one ogromnie ważne także w innych systemach totalitarnych. Z drugiej strony są w ogóle istotne dla współczesnej cywilizacji, w której człowiek jest bombardowany masą informacji, poglądów i obrazów zwalniających mózg od wysiłku. Z trzeciej strony są one niezwykle istotne we wszelkich fundamentalizmach, niezależnie od ich barwy. Niedawno mój student, Jarośław Grużewski, przywiózł mi z Iranu trochę pocztówek, które reprezentowały czysty socrealizm. Występował na nich Chomejni w roli nauczającego masy wodza rewolucji, rewolucjoniści drukujący ulotki o niewątpliwie właściwej ideologicznie treści... Wszystko to nie było jednakowoż naśladownictwem socrealizmu. To było zjawisko endogenne. Tyle, że jego pierwowzorem w obydwu wypadkach był święty nauczający maluczkich z obrazka

sprzedawanego na wiejskim odpuszcie (czy jego muzulmańskim odpowiedniku) i zwalnający od myślenia. Gdy miejsce nauczającego zajmował (zajmuje) przywódca, myślenie staje się nie tylko zbędne, ale wręcz niepożądane.

Drugą grupę spraw, na którą chciałbym zwrócić uwagę uczniom (studentom, czytelnikom) przy okazji refleksji nad dziejami najnowszych, chętnie zatytułowałbym „komunizm a kapitalizm”. Komunizm, jak wiadomo, przegrał i obecnie z kapitalizmem wiąże w naszej części świata nadzieje na lepszą przyszłość. Komunizm jest obecnie zły, zaś kapitalizm dobry. Pragnę jednakowoż zwrócić uwagę, że komunizm nie zrodził się z myślenia strasznych ideologów, czerpiących inspiracje li tylko z filozoficznych przemyśleń, ale z kapitalistycznej rzeczywistości. W ramach tej rzeczywistości nie rozwiązano dwóch problemów: zabezpieczenia elementarnej sprawiedliwości społecznej oraz gospodarczo-społecznego zacofania znacznej części globu. To sytuacja w tych dwóch zakresach spraw stworzyła grunt podatny, ażeby filozofowie, którzy dotychczas myśleli, zaczęli zmieniać świat. Niedoskonałość kapitalistycznej rzeczywistości wywołała też najpierw I wojnę światową, a następnie faszyzm, które, jak to ciekawie pokazał ostatnio François Furet, stały się potężnymi czynnikami pchającymi ludzi ku komunizmowi⁷. W sumie więc to kapitalizm był brzemienisty totalitaryzmami – co ani trochę nie zdejmuje z nich odium, ale każe się zastanowić nie tylko nad nimi.

Rozważana sprawa stawia też w innym niż dotychczas świetle kwestię genezy totalitaryzmu. W poprzednich epokach historycznych, kiedy różne elementy totalitar-

nych zachowań przecież także występowały, dawały się one tłumaczyć prawem silniejszej pięści. Pojawienie się największych totalitaryzmów po stawiających na rozum i postęp epokach Oświecenia i pozytywizmu każe zadać pytanie, czy to tylko zwiększone dzięki kapitalistycznemu rozwojowi moce organizacyjne i techniczne pozwoliły na rozwinięcie się monstrualnych zjawisk w skali przedtem niespotykanej⁸. Odpowiedź nie może prowadzić do, powiedzmy, przez wiele lat przekazywanej nam idei, że wszystko co złe, płynęło z szukania rynków przez kapitalistów. Może już jednak prowadzić w kierunku wskazania różnych negatywnych rodzących się w kapitalizmie, jako do jednego z czynników sprawczych.

W realnym biegu historii wszystko potoczyło się inaczej niż zostało zaplanowane przez marksistów. Komunizm zwyciężył na obszarach, gdzie go nie oczekiwali i w konsekwencji stał się wielką próbą gospodarczego wydzwignięcia ogromnych terenów w ramach instytucjonalnych, rzekomo gwarantujących to szybciej niż kapitalizm i tworzących zarazem społeczeństwo rzekomo lepsze niż społeczeństwo świata kapitalistycznego. Recepta okazała się, jak wiadomo, fatalna. Na niedomogi i kłopoty kapitalizmu komunizm proponował lekarstwa, które okazały się gorsze w skutkach niż choroby.

Seymourowi Martinowi Lipsetowi, który odwiedził Warszawę bodajże w schyłku lat pięćdziesiątych, przypisywano wypowiedzianą pod wpływem wrażeń opinię, że „kapitalizm popemnia błędy socjalne, ale socjalizm – kapitalne”. Mądrość ludu (czy może raczej warszawskiej kawiarni) potwierdzała to samo przez zestawienie dwóch sloganów reklamowych z czasów chruszczowskich. Pytano „Dokąd zmierza kapitalizm?” i odpowiadano zgodnie z tezą propagandy „Do przepaści”. Potem zadawano pytanie: „Dokąd zmierza socjalizm?” i odpowiada-

no zgodnie z kolejną tezą propagandy: „By go doścignąć i prześcignąć”.

W świetle dalszego biegu historii diagnoza okazała się trafna. Pozostaje jednakowoż pytanie, czy dziś zwycięski kapitalizm lepiej upora się z błędami socjalnymi, które doprowadziły do tylu nieszczęść. Tylko przyszłość oczywiście przyniesie odpowiedź w tej kwestii, ale nie da się ukryć, iż istnieją podstawy do żywienia niepokoju. Nie napawają optymizmem trwałe bezrobocie, istnienie rozległych sektorów biedy oraz zmniejszenie opiekuńczej roli państwa w krajach rozwiniętych z jednej strony, zaś nierównomierności rozwoju i trwanie wielkich obszarów świata w nędzy – z drugiej. Zniknięcie komunistycznego wyzwania zmniejszyło świadomość potrzeby korekt w jednym i drugim wypadku, zaś hasłem dnia jest wzrost gospodarczy. O ile trudno kwestionować, że bez wzrostu nie będzie rozwoju rozumianego bardziej całościowo, to przecież brak tego drugiego może prowadzić do negatywnych konsekwencji z fundamentalnym zakwestionowaniem dotychczasowego modelu wzrostu łącznie. Historia może oczywiście potoczyć się tak, że dobrodziejstwa wzrostu gospodarczego będą obejmować wszystkich – nawet jeśli nie wszystkich w równym stopniu – ale nie ma apriorycznej gwarancji, że tym razem proces dziejowy przebiegnie inaczej niż kilkadziesiąt lat temu.

Trzecia grupa spraw, na które chciałbym zwrócić uczniom (studentom, publiczności) uwagę i zaprosić do wspólnej refleksji, to cechy zjawiska rewolucyjnego. Można je rozpatrywać tyleż na przykładzie realizacji przemiany komunistycznej, ile na przykładzie jej cofania. Trzeba ponownie przemyśleć wszystko, co zostało dotychczas powiedziane w nauce w kwestii genezy ludzkiego

buntu. Nie znaczy to, iżby wiele spotykanych w literaturze twierdzeń musiało zostać obalonych. Tezy o roli relatywnej deprywacji, o dezercji elit, o paralelności zjawisk prowadzących do przemiany wśród rządzących i wśród rządzonych, o wzajemnym wspomaganiu się buntów w imię chleba, wolności i emancypacji narodowej, o współgraniu warunków społecznych i wypowiedzianego słowa, najpewniej się ostaną – ale trzeba możliwie systematycznie przeprowadzić ich weryfikację. Trzeba wskazać na występujący w procesach rewolucyjnych, jak się zdaje nieuniknienie, element myślenia utopijnego. Także na upraszczanie dla potrzeb walki obrazu świata i – zwłaszcza – obrazu przeciwnika. Trzeba zwrócić uwagę na legitymizowanie własnej sprawy przez tworzenie pożądanej wizji historii i mitologizację swoich dokonań. *Last but not least* trzeba pokazywać, że z perspektywy upływu czasu okazuje się, iż rewolucja, która w przekonaniu uczestników i szerszego kręgu współczesnych „rusza z posad bryłę świata”, często zmienia ostatecznie rzeczywistość mniej niż się zdaje.

Wszystko powyższe prowadzi, jak widać, do promowania w nauczaniu myślenia, a nie uczenia. Do refleksji nad problemami, a nie tylko nad faktami. Do promowania wysiłku rozumienia, a nie osądzania.

Nie najmniej ważnym elementem proponowanego podejścia byłoby dążenie do eliminowania stereotypowych uproszczeń, których dziś funkcjonuje bardzo dużo w odniesieniu do komunizmu. Z tego, że był on generalnie zły jako pomysł na życie, nie wynika, że np. wśród komunistów nie było patriotów, że zawsze ludzi torturowano, czy że cały naród przez kilkadziesiąt lat oraz 24 godziny na dobę przeciwstawiał się reżimowi i ostatecz-

nie go pokonać. Z tego, iż za komunizmu głoszone jakąś ideologię na szkoleniach partyjnych, nie wynika, iżby ją realizowano. Warto przypomnieć, że za Gierka ideologia w praktyce została sprowadzona do hasła „Polacy bogacie się!” i „Polacy dorabiając się malucha!”. Za tegoż Gierka narazić się policji politycznej trzeba było chcieć, zaś do PZPR należało ponad 3 mln naszych współobywateli. Nawet w czasach najostrzejszego komunizmu w Polsce stopień współdziałania ludności z władzami był ogromny – choć inna sprawa, jak duży, na jakich polach i w jakim stopniu było to działanie entuzjastyczne, a w jakim wymuszone czy to przez życie, czy przez życie w połączeniu z policją polityczną. W kwestii pokonania komunizmu warto pamiętać o swego rodzaju implozji systemu, która była równie ważna jak nie dająca się oczywiście zanegować społeczna eksplozja.

Samoistnym celem dydaktycznym w walce ze stereotypami powinno być pokazanie, jak trudnym procesem jest dochodzenie do prawdy, jak skomplikowana ona bywa, jak wiele prawd istnieje i jak rzadko można powiedzieć, że osiągnęliśmy obraz bezapelacyjnie prawdziwy. Wręcz chętnie wybrałbym dla celów dydaktycznych jakiś mit współczesnego myślenia o niedawnej historii i przeprowadził jego „sekcję” – pokazując słabe punkty oraz genezę narodzin, miejsce w całości kształcie myślenia i spełniane funkcje.

Wyborów życiowych i politycznych nasi uczniowie i tak dokonają oraz powinni dokonać sami. My możemy i powinniśmy uczyć ich myśleć. Pokazywanie trudności dochodzenia do wiarygodnego obrazu dziejów współczesnych miałyby też ten pozytywny skutek dla kultury historycznej zainteresowanych, że uczyliby skromności w wypowiadaniu się o dziejach. Jak każdy historyk powinien przejść przez szkołę badania dawniejszych epok, tak

powinien przejść przez badanie historii współczesnej. Gdy zobaczy, jakie trudności nastrocza uczciwe wypowiadanie się o historii bezpośrednio mu znanej, przeżytej, wręcz dotykanej, będzie z mniejszą dozą pewności wypowiadał się o czasach, których sam nie przeżył, w odniesieniu do których dysponuje mniejszą liczbą źródeł i w wypadku których nie może już sobie stworzyć dodatkowych źródeł przez kontakt z uczestnikami wydarzeń.

Zdaję sobie sprawę, że rola, jaką wyznaczyłem historii w dydaktyce, różni się od oczekowań najczęściej formułowanych wobec naszej dyscypliny. Pragnę więc zwrócić uwagę, że w wyżej przedstawionych propozycjach nie neguję możliwości innych podejść. Elementarne odtwarzanie wydarzeń, zestawianie ich i tłumaczenie zależności przyczynowej pomiędzy nimi, zawsze było ważną rolą historii. Pisał protoplasta naszej konfraterni w pierwszych słowach swego dzieła, a myślimy się uczyli jego słów na pierwszym roku studiów:

„Herodot z Halikarnasu przedstawia tu wyniki swych badań, żeby ani dzieje ludzkie z biegiem czasu nie zatarły się w pamięci, ani wielkie i podziwu godne dzieła, jakich bądź Hellenowie, bądź barbarzyńcy dokonali, nie przebrzmiały bez echa, między innymi szczególnie wyjaśniając, dlaczego oni nawzajem z sobą wojowali”⁹.

Zwłaszcza w odniesieniu do komunizmu w ogóle i komunizmu w Polsce w szczególności, ta rola jest daleka od spełnienia. Można sobie tylko życzyć, by jak najwięcej powstało faktograficznych prac, w miarę możliwości z czasem uogólnianych – zwłaszcza takich, które będą kontynuować wysoki poziom, jaki osiągnął Andrzej Paczkowski w jednym z pierwszych opracowań podręcznikowych już istniejących¹⁰.

Nie neguję też sensu pisania historii w celu tworzenia zwornika zainteresowanej społeczności. Jeśli można od Herodota przejść do naszego środowiska, powołam słowa, jakie ksiądz koncelebrujący mszę pogrzebową przypisał w kazaniu naszemu niedawno zmarłemu koledze, Jerzemu Skowronkowi. Włożył mianowicie w usta Zmarłego myśl, iż należy uczyć młodzież historii, bowiem w przeciwnym wypadku młodzi ludzie „zapomną w jakim kraju żyją, zapomną, że są Polakami”. Mam podstawy sądzić, że owa myśl rzeczywiście była myślą Skowronka. Jest ona dyskusyjna. Łatwo wskazać kraje, w których historia nigdy nie odgrywała takiej roli jak wielokrotnie w Polsce. Szansa zbiorowej amnezji młodzieży w kraju istniejącym od ponad tysiąca lat jest niewielka. Wiem jednak, że taką rolę historia nieraz w dziejach odgrywała, że różne społeczności jej w takiej roli potrzebują, a więc nie ma powodu, by jej nie spełniała.

Nie deprecjonuję roli, jaką może odegrać historia w zakresie swego zadośćuczynienia za krzywdy. Pisał ostatnio nasz kolega, Antoni Dudek:

„Zajmuję się historią PRL nie tylko dlatego, że mnie to interesuje, ale czuję nakaz o charakterze moralnym: czytam o setkach krzywd, jakie to państwo wyrządziło tysiącom ludzi i uważam, że o tym nie można zapomnieć, nawet jeśli większość społeczeństwa o tym zapomniła. Wiedzę o tym trzeba przenieść do następnych pokoleń”¹¹.

W końcu, jeśli Herodot odczuwał potrzebę przeniesienia do przyszłych pokoleń pamięci „wielkich i podziwu godnych dzieł”, to można zrozumieć, że jego zawodowi następcy poczuwają się do obowiązku zachowania w ludzkiej pamięci również dzieł niecnych i godnych opłakania – ku zadośćuczynieniu cierpiącym i przestrodze dla innych. W końcu, jeśli w różnych epokach, także w tej ostatniej, cierpiący nieraz myśleli już tylko o tym,

by ktoś się dowiedział o ich męce, jeśli wydrapywali na ścianach cel swoje nazwiska, jeśli, w lepszym wypadku, pisali dzienniki i notatki w nadziei, że potomni je przeczytają, to wypada ich ostatnią wolę w miarę możliwości spełnić.

Nie negując sensu spełniania przez historię wszystkich ról wymienionych, a także wielu innych, najpewniej przeoczonych, pragnę jednakowoż zakończyć mój referat (artykuł) stwierdzeniem, iż chciałbym, ażeby historia była nade wszystko narzędziem czyniącym ludzi mądrzejszymi i pozwalającym lepiej rozumieć świat.

W kategoriach praktycznych nie proponuję żadnych rewolucyjnych kroków w kierunku zmiany programu szkolnego. Przemawiają do mnie argumenty za ostrożnością w tym względzie, przypomniane niedawno przez Jacquesa Le Goffa. Jako przewodniczący komisji reformy nauczania historii we Francji, Le Goff proponował uzupełnienia i modyfikacje treści w duchu nowych przemysłów historyków w miejsce burzenia, dezorientującego publicność¹². Także w Polsce należałoby raczej stopniowo dodać do programu elementy historii problemowej, niż zastępować nią „historię kompendialną”. Dodać jednak trzeba. Cieszę się, że mówiąc to, mogę powołać do współbrzmienia słowa Le Goffa:

„Dzieci powinny oczywiście nabyć pewną wiedzę. Dla mnie historia zawsze była jednak i wciąż pozostaje sposobem formułowania refleksji i myślenia o świecie oraz o współczesnym społeczeństwie. Znajomość przeszłości, obejmująca nie tylko fakty, wydarzenia, przykłady itd., ale poddająca pewien sposób indagowania ewolucji historycznej, powinna objaśniać życie w społeczeństwie, którego jesteśmy częścią”¹³.

Przypisy

1 Jerzy Jedlicki, *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku*, Warszawa 1988.

2 Z ważniejszych: *Refleksje Nikifora*, w: „Pamiętnik XV Powstania Zjazdu Historyków Polskich”, t. 1, cz. 2, red. Jacek Staszewski, Toruń 1995, s. 199–204; *Uwagi o nauczaniu historii Żydów na uniwersytetach daleko od Jerozolimy*, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce”, nr 172–174, 1995, s. 65–77; *XIX wiek to sto lat później*, *Więź*, 1995, nr 6, s. 103–109.

3 Zygmunt Bauman, *Nowoczesność i zagłada*, Biblioteka Kwartalnika Masada, Warszawa 1992, s. 144 i nast.

4 Ciekawie zarysowują się prace doktorskie, przygotowywane na ten temat przez Marcina Zarembę oraz Olivera Freemana.

5 Paweł Wieczorkiewicz, *Stalin i generalicja sowiecka w latach 1937–1941. Sprawa Tuchaczewskiego i jej konsekwencje*, Warszawa 1993, s. 42.

6 Anna Dziergowska, Artur Frelek, Mariusz Jastrząb, Monika Józwiak, Tomasz Kędziora, Jacek Kodym, Marcin Kula, Adam Leszczyński, Katarzyna Malinowska, Piotr Marczak, Paweł Mielczarek, Jarosław Mierzejewski, Dionizy Smoleń, Arkadiusz Warych, Jarosław Wtorkiewicz, *Supliki do najwyższej władzy*, pod red. Marcina Kuli, Warszawa 1996, s. 113.

7 François Furet, *Przesłotki pewnego złudzenia. Esej o idei komunistycznej w XX wieku*, Warszawa 1996.

8 Nawiązuję do referatu Zygmunta Baumana *Holocaust po pięćdziesięciu latach*, wygłoszonego podczas konferencji „Z perspektywy półwiecza”, zorganizowanej dla upamiętnienia 50 rocznicy powstania w getcie warszawskim przez Żydowski Instytut Historyczny w Polsce w marcu 1993 r.

9 Herodot, *Dzieje*, tłum. Seweryn Hammer, Warszawa 1954, s. 21. Podkreślenie w oryginale.

10 Andrzej Paczkowski, *Pół wieku dziejów Polski. 1939–1989*, Warszawa 1995.

11 *Czym była PRL?* Dyskutują Antoni Dudek, Dariusz Jarosz, Paweł Machcewicz i Andrzej Friszke, „*Więź*”, 1996, nr 2, s. 116.

12 Jacques Le Goff, *Une vie pour l'histoire. Entretiens avec Marc Heurgon*, Paris 1996, s. 140–143, 119, 235, 237.

13 Ibidem, op. cit., s. 235.

Antoni Mączak

Jakiej syntezy historii potrzebują Polacy?

„...każda generacja historyków musi na nowo dokonać bilansu narodowych dziejów. Co więcej, każdy ich zakręt skłania do nowych przemyśleń, poszerza i zmienia kwestionariusz pytań stawianych naszym przodkom” – pisał niedawno Janusz Tazbir.¹ Warto jednak zastanowić się, jakie warunki powinno spełniać syntetyczne ujęcie dziejów, czego należy po nim oczekiwać. Na tej dopiero podstawie można będzie dyskutować, czy „nasza generacja” (cokolwiek to może znaczyć) takiego bilansu dokonała. Nasuwa się jednak na wstępie refleksja (a lektura wspomnianej w przypisie książki ją potwierdza), że łatwiej nam zdobyć się na zwięzły czy obszerny zarys dziejów – głównie opis wydarzeń – niż zdobyć się na refleksję, postawić nowe pytania i próbować na nie odpowiedzieć.

Przytoczone tu zdanie o nowych przemyśleniach, które w pierwszej chwili wydało mi się w oczywisty sposób słuszne, po namyśle uznałem za zbyt optymistyczne. Nader częste za życia dzisiejszych pokoleń „zakręty” dziejów Polski nie skłaniają ani czytelników do pogoni za nowością, ani nie zmusiły badaczy do nowatorstwa ujęć.

Najpierw o czytelnikach. Pamiętam, było to pod koniec 1981 r.; w ramach serii odczytów historycznych organizowanych dla nauczycieli i pracowników kilku

wielkich zakładów przemysłowych w kościele św. Anny. Pewna uczona przedstawiała stan badań na temat *factum sancti Stanislai*, czyli politycznych okoliczności śmierci biskupa krakowskiego Stanisława ze Szczepanowa. Choć referentki nie można było posądzić o tzw. światopogląd laicki, usłyszała pełen oburzenia wyrzut słuchacza, że w jego „przedwojennym podręczniku było inaczej!”. Nieufność, patriotyczna czujność, przekroczyła granice nonsensu.

Słuchacze tych i innych ówczesnych odczytów chłonili wiedzę alternatywną wobec oficjalnej, traktując odczyt i samą swoją na nim obecność jako manifestację polityczną i poszerzenie ram swobody osobistej. Trafiali się jednak organizatorzy nie odróżniający wykładu czy odczytu od homilii (w dawnej polszczyźnie – kazania), nieufni wobec nowinek. Szczęśliwie, taka postawa nie przyjęła się wśród historyków sensu stricto.

Zakręty historii mają u nas charakter polityczny; trudno byłoby mi wskazać znaczącą ewolucję badań wynikającą z rozwoju metody badawczej, wpływu innych nauk, przemysłów filozoficznych. Korzystny wyjątek stanowi jedynie wpływ antropologii kulturowej na wczesną mediewistykę. Na twórczość naukową wpływały ostatnio głównie: kaganiec cenzury, pisanie *adversus paganos*, w nieco swobodniejszych czasach autocenzura motywowana „racją stanu” wymagającą umiaru, by nie drażnić Wielkiego Brata; w końcu nawyki ukształtowane pod wpływem wszystkich tych czynników. Nadto szczególna rola Kościoła katolickiego – ataki nań ze strony władzy i propagandy komunistycznej – umieszczały go poza obszarem krytyki. W efekcie sprzecznych nacisków, konformizm przybierał różne postaci, aż w latach osiemdziesiątych, gdy w przyzwoitych publikacjach pojawił się znak

[—], w warunkach nieporadnego totalitaryzmu, wprost nie wypadało nie zasłużyć sobie na takie wyróżnienie ze strony strażników z ul. Mysiej.

To już przeszłość, ale teraźniejszość po zakrętach od 1980 i 1989 również nie nastraja optymistycznie. Z punktu widzenia nauki powstała sytuacja wielce niezdrowa: nie nowatorstwo metod, nie nowe pytania, wynikające z nowo nagromadzonych informacji i doświadczeń kształtują liczne ostatnio ukazujące się zarysy dziejów ojczystych. Własna koncepcja historii to odpowiednik buławy schowanej na dnie teczek każdego historyka. Wolimy jednak, nie wyjmując jej z ukrycia, seryjnie produkować podręczniki różnych szczebli – z reguły jednak konformistyczne.

Regułą jest też swoista agorafobia czy też klaustrofilia autorów: dzieje powszechne, zagranica, pojawiają się w pracach polskich głównie (choć nie wyłącznie) w postaci styków z dziejami Polski, nader rzadko natomiast w ujęciu porównawczym. Chwalebne wyjątki w tym zakresie stanowią wcześniejsze dzieje średniowiecza i historia ustroju.

Rzecz w tym, że naszym przodkom przedstawiamy kwestionariusz dość niezmienny i ubogi. Zasadnicze zmiany dotyczą tylko ostatniego stulecia, którego badania pozostawały pod wnikliwą kontrolą cenzury. Jest jeszcze, być może, zbyt wcześnie, aby doświadczenia ostatnich lat mogły wpłynąć na nasz sposób widzenia odleglejszej przeszłości, na przykład na interpretację funkcjonowania Izby Poselskiej. Nic jednak nie wskazuje, by historycy polscy byli skłonni do częstych rewizji obrazu przeszłości. Dobitnie ilustruje to zestawienie dwóch dzieł zbiorowych wywodzących się z tego samego kręgu, poprzednio tylko historyków z Instytutu Historii PAN, obecnie także z innych środowisk w kraju.

Od *Zarysu historii Polski*² sprzed szesnastu lat tom *Polska na przestrzeni dziejów* różni się wyraźnie jedynie w partiach dwudziestowiecznych (ale tu zaproszono innych autorów). Andrzej Wyczański przebudował (w stosunku do *Zarysu*) swój rozdział, dodając zwłaszcza wyniki własnych studiów nad aparatem władzy ostatnich Jagiellonów i rezultaty nowszych badań demograficznych nad staropolską rodziną. Janusza Tazbira obraz XVII stulecia nie uległ zmianie; zadaje on jednak kilka nowych, ważnych pytań, do których nawiązałem we wspomnianej recenzji.

Swoją drogą zastanawia, jak niewielki, po prostu znikomy wpływ na nasz ogólny obraz XVI-XVII w. wywarły obfite już i od lat dostępne analizy prozopograficzne – zbiorowości posłów, urzędników centralnych i lokalnych, duchowieństwa katolickiego itp. Nasuwa się bolesne pytanie, czy warto prowadzić badania monograficzne, jaki jest sens uprawiania np. demografii historycznej, jeśli nie wpływa to na ujęcia o ambicjach syntetycznych? Czy mamy prawo oburzać się na podręczniki szkolne, do których wszelkie *novum* naukowe dociera niezmiernie powoli, jeśli autorzy dzieł o większych ambicjach nie postępują inaczej?

Nasuwa się wniosek, że pozycja dawnych syntez czy opracowań ogólnych – nawet przestarzałych o dziesiątki lat badań i o setki opublikowanych monografii – nie jest zagrożona. *Dzieje Polski w zarysie* Michała Bobrzyńskiego nie znalazły dotąd (w moim przekonaniu) godnego następcy jako dzieło prawdziwie syntetyczne, a wśród zalewu wznowień mamy *Dzieje Polski nowożytnej* Władysława Konopczyńskiego, czy ostatnio także *Dzieje Polski średniowiecznej* Romana Grodeckiego, Jana Dąbrowskiego i Stanisława Zachorowskiego. Wznowienie serii *Polska – jej dzieje i kultura*, podobnie jak *Wielkiej historii powszech-*

nej (dawniej wydawnictwo Trzaska, Evert i Michalski), tłumaczy zarówno nostalgia jak luksusowa szata. Jest to jednak fenomen znacznie bardziej zrozumiały niż przedruk *Encyklopedii Gutenberga* czy *Ultima Thule*.

Myślę, że trudności i nieporozumienia związane z syntezą wynikają z pewnych niedoskonałości naszego stylu pracy naukowej. Mimo ożywionych kontaktów międzynarodowych okazaliśmy się wielce odporni na wpływy zewnętrzne. Za granicą pisano wiele o wpływie „szkoły *Annales*” na historiografię polską. Krzysztof Pomian – który wywodząc się z Warszawy stał się jednym z filarów gmachu przy Boulevard Raspail – starał się w rocznikowym przyczynku podkreślić rolę *Annales* w Polsce i napisał najmniej przekonujący ze swych artykułów. Rzeczywiście, w ciągu niemal czterdziestu lat rozwinęły się żywe kontakty osobiste z historykami francuskimi i wielu z nich w tym piśmie publikowało. Jak niewielki był i jest jednak wpływ francuskiej dyskusji naukowych na badania uprawiane w dorzeczu Wisły i Warty! Jeśli historycy polscy czegoś się nad Sekwaną nauczyli, to chyba tylko polemiki milczącej, przez niedostrzeganie przeciwnika (co francuscy historycy czasem stosują, jeśli spór naukowy ma wymiar osobisty i polityczny).

Zbliżone refleksje nasuwa też spojrzenie w kierunku Niemiec i Wielkiej Brytanii. Niemiecki akcent na spory o metodę przeważnie nam nie odpowiada, ale dyskusja o najnowszych dziejach Niemiec warta jest uwagi: kwestie polityczne i moralne, żywe zwłaszcza w ocenie niemieckich losów w XX stuleciu, znalazły tam silny wyraz w rzetelnej polemice naukowej, która daleko wykracza poza korygowanie omyłek, nieścisłości i błędów, nie dając się sprowadzić do aktualnych konfliktów politycznych. Dla epok wcześniejszych polemika z historiografią NRD-owską na temat Wojny Chłopskiej doprowadziła

do wielkiej dyskusji na temat masowych ruchów społecznych, struktury i funkcji gminy wiejskiej w epoce preindustrialnej.

Casus angielski jest odmienny. Rocznikowe artykuły z lat czterdziestych przyniosły od końca wojny niezwykle zaciętą i płodną, wciąż trwającą dyskusję na temat rewolucji XVII wieku – jak chcą jedni, *interregnum* – jak wolą inni, na temat podziału społeczeństwa w wojnie domowej, społecznych podstaw Republiki i jej konsekwencji w okresie Restauracji. W ostatnich dekadach rozprawa Sir Geoffreya Eltona o „tudorowskiej rewolucji” w systemie władzy wywołała falę ostrej polemiki i dziesiątki rozpraw badających strukturę administracji angielskiej w XV w. i pierwszej połowie następnego stulecia. Jest to w znacznej mierze dyskusja pokoleń. Nie chodzi mi o tematy (podobnych polemik toczy się tam więcej), lecz o mechanizm polemiki naukowej, która skłania, nawet zmusza, do rozwijania aparatu naukowego, szukania nowych źródeł, wciąga coraz więcej badaczy, rozwija zainteresowanie laików, wreszcie ożywia rynek czytelniczy – jest ogólnie intelektualnie owocna. Tego mi brak w badaniach polskich. Zresztą, nawiasem mówiąc, wypadałoby się zastanowić, czy zainteresowanie narodową przeszłością, różnice zdań na jej temat, tak wyraźne w publicystyce, przyniosły – jakkolwiek! – postęp w metodach badawczych.

Jak więc rozumieć „syntezę” dziejów? Nie może być ona wyłącznie opisem spraw, musi stawiać pytania i szukać na nie odpowiedzi; zbyt łatwo nazywamy syntezą każde obszerne ujęcie większego tematu, np. dziejów jakiegoś kraju. Dlatego tak istotne, w moim przekonaniu – ale wbrew przyjętej praktyce nowożytników – jest ujęcie porównawcze. Nie będzie przejawem megalomanii narodowej uważać, że odrębności rozwoju państwowego Rze-

czypospolitej XVI-XVIII w. dają badającym je historykom szczególną szansę: z tego punktu widzenia, dokonując zestawień z Rzeczpospolitą, można lepiej zrozumieć także otaczającą ją Europę.

Dzieło syntetyczne nie musi obejmować długiego okresu dziejów i rezygnować z wątków analitycznych. Dam tego przykłady wedle własnego gustu i zainteresowań. Historyk z Oksfordu, Gerald Aylmer, zajmuje się okresem wczesnych Stuartów i *Commonwealth*. Wydał dwie monografie angielskiego aparatu urzędniczego, *The King's Servants* (o czasach Jakuba I i jego syna) oraz *The State's Servants* (o rządach Parlamentu i protektoracie) – obie wyprowadzone z szerokiego badań propozograficznych, ujęte od strony ludzi aparatu i jego funkcjonowania. Seria odczytów wygłoszonych w *Royal Historical Society* przyniosła zarys nowej problematyki badawczej, po czym ukazała się zwięzła książka, spełniająca wszelkie wymogi syntezy tej epoki.³ Drugi, bardziej znany przykład to Lawrence Stone'a dzieło o arystokracji angielskiej.⁴ Oba dzieła historyków angielskich (Stone przeniósł się do Princeton) przynoszą wielostronne ujęcie tematu, dają próbę rozwiązań spornych zagadnień, są zarazem dalekie od prostego opisu wydarzeń.

Charakterystyczny dla naszej tradycji badawczej wątek syntetyczny to rola narodu i rola państwa. Nawiązują do niego obie przytoczone, niedawne próby syntez; w *Polisce na przestrzeni dziejów* czytamy (s. 6), że głównym nurtom naszych dziejów, przewijającym się białoczerwoną nicią przez wszystkie epoki, na imię jest „rozwój świadomości narodowej, wpływ państwa (lub jego braku) na losy polskiej wspólnoty etnicznej, nasze miejsce w ówczesnej Europie, wreszcie jej stosunek do nas”. Dylemat naród-państwo jest zjawiskiem niekoniecznie specyficznie polskim, a raczej charakterystycznym dla narodów

z bolesną przeszłością. Estończycy i Łotysze, Litwini, Słowacy i Ukraińcy, także narody Bałkanów czy wreszcie Irlandczycy i Baskowie interpretują swe dzieje w podobnym układzie. Polska i Węgry były w sytuacji szczególnej, bowiem przechodziły przez fazy panowania politycznego i dominacji kulturowej oraz fazy ucisku narodowego. Takiej sinusoidy dziejów narodowych nie znali Bałtowie, przynajmniej do ostatnich lat.

Pojęcie „naród” jest trudne do interpretacji, co zaś dziwniejsze także „państwo” otwiera problemy. Używamy zwrotu „naród bez państwa”, rozumiejąc, że bez własnego, „narodowego” państwa. Państwa, które funkcjonowało, i to niekiedy bardzo intensywnie, nie uważamy za „nasze”. Oznacza to razem, że przedmiotem zainteresowania jest „naród polski”, czyli ludzie świadomi swej przynależności narodowej lub ci, których za Polaków (Protopolaków?) uważa dany autor. W publicystyce bywa ostatnio modne krytykowanie terminu „społeczeństwo”; dostrzeganie w tym nihilizmu narodowego wydaje mi się jednak przesadą, a nawet absurdem. Odwrotnie, istotą Rzeczypospolitej było współzycie wielu grup etnicznych, wpływających na siebie, ale często zachowujących odrębność wyznaniową, kulturową, prawną, jak też specjalizację gospodarczą – by wspomnieć Ormian, Szkotów, Tatarów czy Żydów.

Nasz tradycyjny sposób myślenia w kategoriach naród-państwo wypadałoby zmienić. Trwałym wątkiem tysiąclecia jest współistnienie – w najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc współzycie i konflikty – różnorodnych grup etnicznych. Nie wolno ich, nawet podświadomie, traktować jako mniejszości. Każdy niemal zgodzi się, że w stosunku do dawniejszych epok jest to anachronizm, ale nie zawsze wyciągamy z tego logiczne wnioski. To właśnie zjawisko lub szerzej – różnorodność więzi, ale

także czynników dzielących społeczeństwo, terytorium, państwo w ich historycznej ewolucji, byłoby dogodnym punktem wyjścia dla analizy szczególnych losów Polski.

Inny, równie ważny w *dlugiej skali* problem określam na własny użytek jako „przestrzeń władzy”: co wiązało w poszczególnych okresach terytorium państwa, żyjące na nim (i poza jego granicami) różnorodne grupy etniczne, kulturowe, wyznaniowe; jakie czynniki działały odródkowo? Z tym wiąże się problemy wpływów kulturowych (Janusz Tazbir zwrócił niedawno uwagę, że nie umiemy pisać o tym obiektywnie: „wynarodowieniu” podlegaliśmy my sami; natomiast Litwini czy Rusini „polonizowali się”, a to brzmi dla nas dużo lepiej). Słownictwo ukazuje tu nasz sposób myślenia.

Jestem zdania, że ów czynnik przestrzenny odgrywał w dziejach dawnej Rzeczypospolitej nie małą, może nawet decydującą rolę. Wypowiadałem się na ten temat kilkakrotnie, ośmielałem się jednak do sprawy wrócić, bowiem nie znalazłem w omawianej książce argumentów przeciwnych, a sam problem nie został tam postawiony. Otóż, moim zdaniem, system swobód politycznych utworzony w Polsce w XV i na początku XVI w., a następnie przeniesiony na Litwę, nadał temu państwu jakby strukturę samorządową. Rozwinęły się bujnie organa samorządu szlacheckiego, natomiast zanikła struktura administracyjna, zapewniająca więź między centrum władzy a terenem. Zwykło się u nas patrzeć na te sprawy pod kątem „swobód” i rzeczywiście, pojęcie „obywatela” przeciwstawione „poddanemu” funkcjonuje w Rzeczypospolitej wcześniej i szerzej niż w monarchiach scentralizowanych i absolutnych. Stanowi to jednak zaledwie jedną stronę medalu. Sądzę dalej, że synteza dziejów Polski powinna zawierać próbę wyjaśnienia, kiedy Rzeczpospolita osiągnęła punkt, od którego system nie dawał

się już zreformować dla zapewnienia *Rzeczypospolitej* suwerenności. Nie jest to „pesymistyczne” ujęcie dziejów ojczystych, lecz podstawowa kwestia porównawczego na nie spojrzenia, w pewnym sensie rozwinięcie zwięzłych obserwacji Janusza Tazbira w *Polsce na przestrzeni dziejów*.

Co więcej, badając wpływ zasady wolnej elekcji na sprawność państwa czy konsekwencje samorządu stanowego dla jego spójności, choćby pośrednio analizujemy także systemy alternatywne. Jeśli historyk wychodzi poza prostą narrację, nie uniknie myślenia „co by było, gdyby”, choćby niechętnie ujmował to na piśmie.³

Czy do takich porównań jesteśmy dobrze przygotowani, to inne, niepokojące pytanie. Pół biedy, póki nasi słuchacze i czytelnicy wciąż oczekują od nas dość tradycyjnej strawy duchowej. Ale ktoś młody w końcu odważy się spytać, np. dlaczego wielka Rzeczpospolita upadła, a mała Sabaudia uniknęła wchłonięcia przez potężnych sąsiadów? Kto – w ślad za Januszem Tazbirem – zastanawia się, jakie mogły być konsekwencje zwycięstwa osmańskiego pod Wiedniem w roku. 1683, zechce może także zadać pytanie o alternatywę demokracji szlacheckiej czy wolnej elekcji.⁴

Przypisy

1 *Polska na przestrzeni wieków*. Praca zbiorowa pod redakcją Janusza Tazbira, opracowali Tomasz Kizwalter, Tomasz Nałęcz, Andrzej Paczkowski, Henryk Samsonowicz, Jacek Staszewski, Janusz Tazbir, Andrzej Wyczański, Warszawa 1995, s. 1. Niniejszy referat ściśle nawiązuje do uwag, jakie poczyniłem na temat tej książki. Por. *Dla naszego pokolenia*, „*Nowe Książki*”, wrzesień 1995 i *Jakiej syntezy historii potrzebują Polacy*, „*Przegląd Humanistyczny*”, 1, 1996, s. 27-32.

2 Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979.

3 Gerald Aylmer, „Collective Mentalities in mid-Seventeenth-Century England”, I-IV, *Transactions of the Royal Society*, Fifth Series, 36-39 (1986-1989); tenże, *Rebellion or Revolution? England 1640-1660*, Oxford 1986.

4 Lawrence Stone, *The Crisis of the Aristocracy, 1558-1641*, Oxford 1965.

5 Por. doskonale w swej zwięzłości wywód Winstona Churchilla na temat przełomowej roli wydarzeń wiosny 1917 r. na frontach Wielkiej Wojny. *The World Crisis 1911-1918. Abridged and Revised Edition*, London 1943, s. 671.

6 Por. artykuł Macieja Janowskiego „Gdyby nie rozbiory...” (*Tygodnik Powszechny* N° 41 z 8 października 1995), skłaniający do dyskusji na temat metod i granic dyskusji kontrfaktycznej.

Do kwestionariusza komparatystycznego powracam w szkicu „Dylematy historycznych badań porównawczych” (w druku, Białystok).